

 HARLEQUIN®

POWIEŚĆ
HISTORYCZNA

WYJĄTKOWA AUTORKA Z LISTY
BESTSELLERÓW NEW YORK TIMES

COURTNEY
MILAN

GRA W UWODZENIE

Courtney Milan

Gra w uwodzenie

*Tłumaczenie:
Krzysztof Dworak*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Londyn, lipiec 1841 roku

Sir Mark Turner nie przypominał żadnego ze znanych Jessice cnotliwych mężczyzn.

Być może, zastanawiała się, różnica brała się stąd, że otaczał go wianuszek kobiet?

Nierówne szkła barowych okien skrywały szczegóły scenki, która rozgrywała się po drugiej stronie ulicy. Lecz nawet stojąc po kostki w rynsztoku, Jessica nie zobaczyłaby wiele więcej. Gęste zbiegowisko gapiów otoczyło go w niecałą minutę. Już z chwilą, kiedy sir Mark wyszedł przed dom naprzeciwko, woźnica przejeżdżającego powozu prawie osadził konie na zadach. Ze środka wystrzeliła parka młodych dam, popędzana przez podochoconą przyzwoitkę. Dwie matrony, które akurat przechadzały się przeciwległym chodnikiem, w jednej chwili nabrały zdumiewającego pędu i podkasawszy spódnice, przemknęły przez drogę, płosząc nadciągające cuganty.

Najstarsza wczepiła się szponiastymi palcami w połę szarego szynela sir Marka, ale nie ona jedna chciała go choćby dotknąć. Ze

wszystkich stron tłoczyły się na niego kobiety; w tłumie zapodział się nawet jeden mężczyzna z tyleż modną, co groteskową błękitną rozetką na kapeluszu. Jessica nie mogła dostrzec dżentelmena, który był powodem tego zamieszania, poza okazjonalnym błyskiem złotych włosów i, tu i ówdzie, kawałkiem szarego płaszcza. Pomimo to oczyma duszy widziała go nadzwyczaj wyraźnie: olśniewał na prawo i lewo swoim słynnym uśmiechem, który, uwieczniony w drzeworycie, wielokrotnie ukazywał się na łamach poczytnych gazet. Był to śmiały i ujmujący uśmiech najbardziej wziętego kawalera Londynu.

Jessice nie zależało, żeby przyłączyć się do zbiegowiska. Nie dysponowała książeczką na autografy, a kobieta jej pokroju nie była w takim towarzystwie mile widziana.

Sir Mark świetnie sobie radził z tłumem. Nie pławił się w zachwytach, czego wielu znajomych Jessiki za żadne skarby by sobie nie odmówiło, ale też nie sprawiał wrażenia onieśmiałonego. Panował nad entuzjazmem tłuszczy z łagodną stanowczością, rozdawał autografy własnym piórem i ścisnął ręce, niestrudzenie przedzierając się do swojego powozu u zbiegu ulic.

Na hasło „cnotliwy” przychodzili na myśl Jessice młodzieńcy o twarzach upstrzonych pryszczami albo jękający się okularnicy. Na pewno nie nazwałaby tak gładko ogolonego blond dżentelmena o wyrazistych rysach. Nie pomyślałaby o wysokim mężczyźnie, którego uśmiech potrafił rozjaśnić pochmurny dzień. Wszystko to świadczyło dobitnie, że Jessica nie miała o cnotliwości zielonego pojęcia.

Nie było to dla niej zaskoczenie; przez lata spędzone w Londynie nie spotkała nikogo cnotliwego.

Siedzący obok niej George Weston parsknął pogardliwie.

- Popatrz tylko na niego! - rzucił drwiąco. - Paraduje po ulicy jak po swojej posiadłości!

Jessica przeciągnęła palcem po szybie. Prawdę rzekłszy, brat sir Marka, świeżo upieczony książę Parford, istotnie posiadał tu połowę budynków. Jessica uznała jednak, że irytowanie Westona byłoby co najmniej nieuprzejme - już sama obecność sir Marka groziła mu apopleksją.

Można było odnieść wrażenie, że gdy tylko sir Mark kichnął, londyńskie kroniki towarzyskie rzucały w miasto wydania specjalne. Wcale nie była to wielka przesada; nieraz Jessica mijała gazeciarzy z naręczami

pism, których tłuste nagłówki głośiły przez wszystkie szpalty: „Sir Mark – czy grozi mu choroba?”.

– Pewnie mu się zdaje, że mając księcia za brata... – Weston splunął – i przychylność królowej, może obnosić się z wyższością między lepszymi od siebie. Słyszałaś, że rozważają jego kandydaturę na komisarza?

Rzuciła mu przeciągłe spojrzenie, ale uznała, że nie warto go denerwować. Weston wystarczająco łatwo sam się wprawiał we wściekłość.

– Wszystko miał zawsze podane na tacy – gderał dalej George Weston. – Nie musiał o nic walczyć. Rozpychałem się łokciami, aż sobie skórę zdarłem. Stołek Lefevre’a miałem praktycznie w kieszeni. I co? Teraz Turner może go dostać w prezencie!

Sir Mark przedarł się właśnie do swojego powozu. Jego pożegnalny uśmiech objął wszystkich wokoło, sięgnął nawet siedzących w barze. Jessicę doszły okrzyki zawodu, kiedy lokaj zatrzasnął za nim drzwiczki.

– Nie pojmuję, w jaki sposób stał się pupilkiem Londynu! – Weston wylewał dalej żółć. – Uwierzyłybyś, że go wybrali nie dla doświadczenia w administracji – bo go nie ma – ale dlatego, że chcą zyskać poparcie? A skąd

nagle on wytrzasnął poparcie? Przecież pasje prawdziwego dżentelmena ma w głębokim poważaniu!

Jessica domyśliła się, że Weston mówi o pijaństwie i rozpuście.

- Napisał książkę - odrzekła Jessica, kładąc ręce na kolanach. Niedomówienie mogło się jej najlepiej przysłużyć. - Chwilowo jest popularna.

- Nawet mi nie wspominaj o *Przewodniku dżentelmena!* - warknął Weston. - Ani o przekłętej Gwardii Kawalerów Czystości! Ten człowiek jest jak zaraza w moim domu.

Nim sir Mark mógł się niepostrzeżenie oddalić, lokaj musiał uprzejmie rozegnać zbiegowisko sprzed koni. Powóz był już zamknięty, ale w bliższym oknie Jessica widziała jeszcze sylwetkę bohatera tego zbiegowiska. Zdjął kapelusz i pochylił głowę w wyrazie znużenia i rozpacz.

Zatem te wszystkie uśmiechy i poklepywania po plecach były fałszywe - utwierdziła się Jessica. Była to dla niej sprzyjająca okoliczność. Człowiek zdolny do podtrzymywania jednej fasady chętnie budował następną. Skoro jego wychwalana moralna wyższość była tylko na pokaz, Jessiki nie czekało dużo pracy.

A rozpacz, jaką napawało go uwielbienie tłumu, świadczyła wymownie, że zasługuje na pohańbienie. Koniec końców, tą walutą zawsze się płaci za popularność.

Niemniej jednak dziełko sir Marka było niezwykle poczytne. Poznała je królowa i nadała autorowi tytuł szlachecki w uznaniu zasług krzewienia rycerskości. Książka stała się nieodzownym elementem każdej szanującej się biblioteczki w Londynie. Czytywano ją w salonach, cytowano w niedzielnych kazaniach. Nie dalej jak w zeszłym miesiącu został wydany kieszonkowy wybór z *Praktycznego przewodnika cnotliwego dżentelmena*, aby panie z dobrego towarzystwa nie musiały się rozstawać z ulubioną pozycją. Modne stało się wręcz wszywanie w halki tajemnych kieszonek przeznaczonych specjalnie na ten cel.

Jessicę bawiło, że porządne panienki chowały *Przewodnik cnotliwego dżentelmena* tak blisko nagich ud, jak tylko zdołały.

Co prawda nie tylko kobiety go uwielbiały. Niekiedy Jessice się zdawało, że połowa mężczyzn w Londynie ślepo się na nim wzorowała. Na każdej ulicy widać było błękitne rozetki, a spotkania naśladowców oznajmiały niby tajemne uściski dłoni. Sir

Mark dokonał niemożliwego. Czystość była w modzie.

Weston też patrzył przymrużonymi oczami na odjeżdżający powóz. Stangret trzasnął z bicia i zaprzęg ruszył wolnego stępa, roztrącając zbiegowisko.

- Chyba nie zaprosiłaś mnie tutaj tylko po to, żebyśmy rozmawiali o tym nędznym Marku Turnerze? - Zanurzył wzrok w jej dekolcie. - Mówiłem ci, że się za mną stęsknisz, Jess. Opowiedz mi o tej swojej... propozycji.

Wziął ją za ramię. Jessica zacisnęła zęby, ale zdołała się nie skrzywić na dotyk jego palców. Nie cierpiała tego zdrobnienia. Przypominało imię sokolicy, którą schwytał, uwiązał i której zamknął oczy na świat. Dawał jej namiastkę wolności tylko wtedy, gdy była mu potrzebna. A ona nie miała sił, żeby mu się przeciwstawić.

Kiedyś, obiecała sobie w duchu. Może już niedługo...

Nie był to chwilowy opór. Włożyła w te słowa całą siłę, jaka pozostała jej niemal zgaszonej nadziei.

Pół roku temu posłałaby go do wszystkich diabłów. Wtedy zdawało się jej, że już nigdy nie będzie musiała mieć z nim do czynienia. Jeśli teraz jej plan się powiedzie, uwolni się od Westona i opuści Londyn na zawsze.

Usiadła w krześle, które jej wskazał, sam zajmując miejsce u szczytu stołu. Nigdy go naprawdę nie kochała, ale przez jakiś czas nie był przykrym towarzyszem. Niezbyt hojnym ani też szczególnie wymagającym. Dbał o nią i opiekował się nią. Nie musiała przy nim zbyt wiele udawać – nie życzył sobie fałszywych przejawów uczucia.

- Mam zadzwonić po herbatę, Jess? - zapytał.

Jessica zacisnęła palce na lepkiej krawędzi stołu. Z każdym oddechem powietrze paliło jej płuca. Przez chwilę zdawało się jej, że wznosi się coraz wyżej i wyżej, a Weston staje się coraz mniejszy. Rzeczywistości nie udało się jednak zaczarować.

- Żadnej herbaty - zdołała tylko szepnąć.

- Och, racja! - Zerknął na nią. - Całkiem zapomniałem! Jeszcze się z tym nie uporałaś?

Jessice zdawało się, że życie kurtyzany będzie stopniowo odciskało na niej piętno. Że ma przed sobą jeszcze najmniej dziesięć lat, nim jej uroda zblednie na zawsze.

Lecz już pół roku temu życie stało się dla niej nie do zniesienia, przy jednej zaledwie filiżance herbaty. Milczała. Weston ciężko westchnął i rozwalił się w krześle.

- Więc czego sobie życzysz? - zapytał.

Łatwo było ująć to w słowa: Jessica życzyła sobie znowu poczuć na twarzy ciepłe promienie słońca. Nim nadeszła wiosna, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest z nią źle. Kiedy wyszła na dwór – gdzie bez mała wypędziła ją przyjaciółka – nie poczuła absolutnie nic. Żadnego ciepła na skórze, żadnego w sercu. Nie było jej zimno, ale wiosenne słońce nie ogrzało jej ani trochę.

Ten oto mężczyzna uczynił z niej granitowy posąg, była jak skamieniała do szpiku kości. Bez uczuć ani nadziei. Bez przyszłości.

- Nie po to tu jestem – odparła stanowczo.

Chciałaby już nigdy nie spełniać zachcianek żadnego mężczyzny. Tak długo zmuszała ciało do kłamstw, że teraz nie potrafiła znaleźć drogi do swoich prawdziwych pragnień, pozbyć się mroku ze swojej duszy i brudu z życia. Była jak jastrząb na uwięzi, paliła się do lotu.

- Oferujesz nagrodę za uwiedzenie sir Marka Turnera.

Zdumienie Westona nie miało granic. Na moment zapomniał nawet oddychać.

- Skąd wiesz, że to ja? Zachowałem wszelkie środki dyskrecji. - Zerknął na nią podejrzliwie.

- Sprawa miała być załatwiona po cichu. Nic mi nie przyjdzie z jego dyskredytacji, jeśli sam

stracę przy tym reputację.

- Wystarczyło trochę popytać. - Jessica wzruszyła ramionami. - Między kurtyzanami nie ma tajemnic.

- Nawet elita londyńskich dziwek nic nie wskórała. A trzysta funtów jest ciągle w mojej kieszeni. Tylko mi nie mów, że sama chcesz się na niego porwać, Jess.

Jessica nawet nie mrugnęła.

- A więc taki to plan! - Weston się skrzywił. - Oczywiście! Nie znalazłaś jeszcze nowego protektora. Jess, jeśli jesteś w takiej desperacji, mogę cię przygarnąć.

Jessica sądziła, że po tym, co jej zrobił przed pół rokiem, taka propozycja powinna napawać ją grozą. Tymczasem był to tylko jeden więcej cierń w jej ponurym życiu.

Może powinna domagać się sprawiedliwości. Może powinna pragnąć zemsty albo przynajmniej zadośćuczynienia za jałową pustkę, którą pozostawił w jej duszy. Lecz już wiele lat temu pojęła, że sprawiedliwość nie obejmuje takich kobiet, jak ona, i że ich krzywdy nigdy nie zostają wynagrodzone. Bywa tylko niekiedy, że w mrocznej gęstwinie trafia się wąska ścieżka i przy nieludzkiej wytrwałości można uciec od straszego losu.

- Tak się akurat sprawy mają - odparła - że

mam coś, czego żadna z nich nie miała.

Weston potarł podbródek.

- No to wykrztuśże to.

Desperację, pomyślała.

- Informację - odrzekła na głos. - Sir Mark zamierza spędzić nadchodzące lato w domu swojego dzieciństwa, w małym miasteczku targowym zwanym Shepton Mallet. Myślę, że pragnie na jakiś czas uciec od popularności. Nie będzie go cały czas otaczał wianuszek wielbicieli. Zamieszka w małym i odosobnionym domu, a nie w posiadłości brata. Będą mu tylko niekiedy usługiwać wieśniacy.

- To wcale nie jest wielka tajemnica.

- Ale z dala od czujnej gawiedzi znacznie łatwiej ulegnie pokusie. Tu, w Londynie, nigdy się na to nie zdobędzie. Wszyscy go obserwują i ma zbyt wiele do stracenia. A tam...? - Jessica zawiesiła sugestywnie głos. - Chciałabym przynajmniej spróbować.

- Skoro wiesz, że złożyłem ofertę, znasz pewnie jej warunki. Uwiedź go. Sprawa musi być do udowodnienia, bo żadne pomówienia dotąd nie poskutkowały. Masz zdobyć jego pierścień. Następnie zrelacjonujesz swoje przeżycia na łamach dzienników towarzyskich i zrujnujesz jego reputację. Potem pieniądze

będą twoje.

Położyła palec na ustach.

- Włożę w to więcej niż tylko jedną noc pracy. Będzie musiał uwierzyć, że jestem wolna i choć nie dość dobrze sytuowana, by miał mnie pojąć za żonę, to jednak dostatecznie, żeby spędzać ze mną miło czas. Potrzebny mi dom na wsi i służba. - Jessica miała zaledwie tyle oszczędności, żeby podjąć jedną jedyną próbę. W przypadku porażki pozostałoby jej tylko znalezienie następnego opiekuna. Wpatrywała się zawzięcie w blat stołu. - Chcę trzy tysiące.

Ta suma wystarczyłaby do nabycia domu na wsi, gdzie nikt by jej nie znał, i rozkoszowania się ciepłem każdego pogodnego poranka. Mawiano, że czas leczy rany - Jessica miała gorącą nadzieję, że pewnego dnia znów poczuje coś oprócz przerażającej pustki.

Weston klasnął w dłonie.

- No proszę! Córka pastora nauczyła się targować! Przyznaj, Jess, że to ja cię stworzyłem. Masz u mnie dług.

Istotnie, miała u niego dług. Oszukał ją nie raz, ale dwa razy. Nie mogła jednak liczyć na zemstę. Chciała tylko przetrwać.

- Trzy tysiące - powtórzyła niewzruszenie.

- Tysiąc funtów - zareplikował. - Zniszcz sir

Marka, a uznam, że zasłużyłaś.

Jessica nie zamierzała się poddać, choć była już bliska apatycznego otępienia. Pragnęła jedynie dobrze sprzedać to, co pozostało z jej duszy.

- Półtora - odrzekła. - I ani pensa mniej.

- Zgoda. - Weston wyciągnął rękę, jakby naprawdę oczekiwał uścisku. Na mgnienie oka Jessica zamarzyła, że złapie pogrzebacz, który akurat leżał na podorędziu, i zgruchocze mu ramię. Weston upadłby na kolana... lecz siła zmyślnego ciosu wyrwała ją z rozkosznej wizji.

- A więc zgoda - przypieczętowała umowę i podniosła się zza stołu.

Wyciągniętej ręki jednak nie uścisnęła.

ROZDZIAŁ DRUGI

Shepton Mallet, dwa tygodnie później

Nareszcie spokój.

Ta myśl towarzyszyła sir Markowi całą drogę z domku leżącego na północ od Shepton Mallet do samego miejskiego ryneczku. Nie zwracał niczyjej uwagi bardziej niż jakikolwiek inny nieznajomy, który pojawiłby się rankiem na targu. Zasłużył jedynie na kilka skinieć głową i parę przeciągłych spojrzeń. Nie utworzyło się żadne zbiegowisko, nie towarzyszyły mu przerażające okrzyki mdlejących niewiast. Nikt też nie deptał mu po piętach, choć nie otaczał go tuzin strażników.

Potrzebował spokoju i anonimowości, żeby przemyśleć propozycję stanowiska w Komisji Praw Najuboższych. To miejsce dawało mu potrzebne wytchnienie.

Przystanął na rynku. Nikt go nie zaczepił. Już jutro prostokątny plac mieli zapełnić nawołujący rzeźnicy i serowarzy. Dzisiaj panowała radosna cisza, pojawiło się zaledwie kilku przypadkowych przechodniów.

Mark wychował się tutaj. Znał dobrze historię miasteczka – najnowszą, dawną,

nawet starożytną. Karczmę przy rynku wybudowano wieki przed narodzinami Marka. Pod antycznymi łukami na środku placu schroniła się starowinka. Krzyż Targowy był dziwną konstrukcją: połączeniem gotyckich wieżyczek i sześciokątnej kamiennej altany. Najwyższa z wieżyczek była zwieńczona krzyżem. Budowla sterczała samotnie z morza kocich łbów jak zagubiony kuzyn kamiennego kościoła na rogu.

Dwie dekady, jakie upłynęły od wyjazdu Marka, odmieniły miasteczko. Koledzy z dzieciństwa zdążyli dorosnąć. Po drodze mijał dawniej prosperującą przędzalnię – została z niej tylko wypalona skorupa ścian. Te nieliczne różnice podkreślały, jak wolno biegł tu czas. Shepton Mallet było bardzo daleko od rozgorączkowanego Londynu. Nie znało pośpiechu. Nawet owce zdawały się beczeć z nonszalancją, której brakło ich podmiejskim kuzynom.

Na krańcu placu zebrało się kilkoro mieszkańców. Rozmawiali. Mark nie rozróżniał słów, dobiegła go tylko szorstka melodyka wiejskiej gwary z Somerset, intonacja, która z daleka przypominała mu dzieciństwo.

Minęło dwadzieścia lat, odkąd ostatni raz

postawił nogę w rodzinnym miasteczku. Zgubił akcent. Jego własna mowa wydała mu się zbyt ostra i szybka, stał się obcym we własnym domu. Londyn pędził w rytm tłoka i pary; Shepton Mallet sunęło przez życie niespiesznie, jak kroczy bydlę do obory w ciepły letni wieczór.

Gdyby ktoś tutaj poznał jego nazwisko, wspomniałby raczej jego matkę. Albo nawet ojca, którego on sam wcale nie pamiętał. Mark stanąłby przed ich oczami jako chudy i blady chłopiec towarzyszący matce podczas prac dobroczynnych.

Nawet by nie pomyśleli o sir Marku Turnerze, który otrzymał z rąk królowej Wiktorii tytuł szlachecki w uznaniu za *Przewodnik dżentelmena*. Nie zobaczyliby nad jego głową żadnego nimbu.

Dzięki Bogu udało mu się od tego uciec.

Rozejrzył się niespiesznie wokoło. Był wczesny czwartkowy poranek. Rynek wyglądał jak zawsze. Te same stare stragany z nieheblowanych bali, które pewnie służyły od wieków, bo nikt nigdy nawet nie pomyślał, żeby je wymienić. Od zarania dziejów nazywano je kramami. Możliwe, że wiekiem dorównywały gospodarze.

Mark uśmiechnął się do swoich myśli.

Nikogo nie obchodziło, kim jest człowiek, który za ledwie na mgnienie oka zawitał w tej niekończącej się opowieści.

- Sir Mark Turner?

Mark obrócił się ze zdziwieniem i stanął twarzą w twarz z korpulentnym jegomościem, który uniósł rękę w niepewnym, powitalnym geście. Czarna sutanna i biała koloratka zdradzały stan duchowny.

Pastor opuścił dłoń.

- Nazywam się Aleksander Lewis, jestem proboszczem parafii pod wezwaniem Świętych Piotra i Pawła. Nie ma powodu do niepokoju, oczekiwałem pana przybycia, odkąd rozeszła się wieść, że ksiązę, brat pana, nabył stary dom Tamishów.

Nie chodziło o dom Tamishów, lecz Turnerów. Sir Mark był skłonny jednak wybaczyć tę nieścistość, bo obecny proboszcz należał najwyraźniej do nielicznych nowości w Shepton Mallet. Był też naturalnie zainteresowany każdą nową twarzą w swojej parafii, a nie forpocztą rozszalałego tłumu. Uświadomiwszy to sobie, Mark poczuł się nieco swobodniej.

- Słyszałem o pana rodzinie od mego poprzednika - wyjaśnił Lewis. - Witam z powrotem w Shepton Mallet.

Mark pojął, że przypadła mu rola syna marnotrawnego, który wraca w rodzinne strony. Z radością przyjął tę odmianę.

- Miasto prawie wcale się nie zmieniło - zauważył. - Ale ojciec jest z pewnością dobrze poinformowany. Co się ostatnio wydarzyło ciekawego?

Zgodnie z przewidywaniami Marka pastor nie potrzebował szczególnej zachęty, żeby podzielić się najnowszymi plotkami. Potok słów, którymi go zalał duchowny, wymagał tylko częściowej uwagi. Obaj doskonale wiedzieli, że jedyną zmianą, jaka następowała w Shepton Mallet, był powolny rozkład opuszczonych warsztatów tkackich.

- Pojawił się jednak promyk nadziei. - Pastor podsumował przydługi monolog o miejscowym rzemiośle. - Rozbudowuje się fabryka obuwia. Na dokładkę producenci krepy nie nadążają z zamówieniami. Odkąd jej wysokość nabyła u nas jedwabną tkaninę na suknię ślubną, zjawia się coraz więcej patronów.

Oto, jak wyglądało życie miasteczka. Ostatnia wiadomość nie była żadną nowością, bo królewskie zaślubiny odbyły się przed ponad rokiem; wciąż był to jednak najważniejszy temat rozmów.

Mark nie żałował wyboru. Być może doszły

tu słuchy o jego książce i nadaniu szlachectwa, ale nie czekały na niego szalejące tłumy. Mieszkańcy mieli swoje sprawy.

Miał wręcz przeczucie, że uznają go za człowieka, a nie współczesną wersję świętego męża i dadzą mu prawo do niedoskonałości i błędów.

- Zapewniam pana - ciągnął proboszcz - że wszyscy żywią tutaj wobec niego ogromną wdzięczność.

Był to pierwszy dysonans w sielankowym marzeniu sir Marka.

- Wdzięczność? - zdziwił się. - Wobec mnie? Ale czym sobie na nią zasłużyłem?

- Cóż za skromność! - Lewis uśmiechnął się szeroko. - Nie ma cienia wątpliwości, że waszemu wstawiennictwu zawdzięczamy uwagę jej wysokości.

Poklepał Marka w klapę marynarki. Nie był to poufały gest. Nabożny dotyk przywodził na myśl zanurzenie opuszek w kropielnicy.

- Och, nie! - sprzeciwił się Mark. - Nic podobnego! Nie można przykładać takiej wagi...

- Jesteśmy ogromnie zobowiązani. Bóg jeden wie, jak byłoby nam w Shepton Mallet ciężko, gdyby upadły zakłady jedwabnicze.

Lewis rozłożył szeroko ramiona, a Mark

rozejrzał się chyłkiem wokoło. Tak jak się obawiał, nieliczni obecni na rynku przyglądali się im z rosnącym zaciekawieniem. A przecież przybył tutaj, żeby uciec od zainteresowania, a nie zdobywać nowych wielbicieli.

- Nasze miasteczko tak wiele panu zawdzięcza. Wszyscy nie mogą się doczekać, aż pana oprowadzę i zapoznam ze wszystkimi. Zacznę zaś od przedstawienia pewnego wyjątkowego młodzieńca.

Lewis skinął ręką i od Krzyża Targowego oderwała się oparta o ścianę postać. Na pierwszy rzut oka mężczyzna okazał się tylko bardzo wysokim chłopcem. Raz prawie się potknął o swoje własne szcudłowate nogi.

Młodzieniec nie mógł mieć więcej jak siedemnaście lat i był dobrze ubrany. Na głowę nasadził cylinder, który co chwilę poprawiał niepewny, czy dobrze leży. Tutejsza młodzież zwykle nosiła berety.

- Sir Marku - rzekł Lewis z wielkim namaszczeniem osoby duchownej - proszę pozwolić, że panu przedstawię pana Jamesa Tollivera.

James Tolliver przypiął do swego cylindra błękitną wstążkę misternie uformowaną w kształt róży. Mark całkiem podupadł na duchu. Tylko nie błękitna róża! - błagał, licząc

na cud. Być może ozdoba była przypadkowa; może przywiózł ją z Londynu handlarz, który nie dbał o jej znaczenie. Alternatywa była dla Marka zbyt straszna, by o niej myśleć.

Tolliver przyglądał mu się niestety szeroko otwartymi, błyszczącymi oczami. Mark znał to spojrzenie – wzrok przepełniony zachwytem. Tolliver wyglądał, jakby dostał na Gwiazdkę kucyka i nie mógł się doczekać pierwszej przejażdżki.

A rola kucyka przypadła Markowi. Nim zdążył zaprotestować, jego dłoń została schwytna w gorącym uścisku.

- Czterdzieści siedem, sir! - pisał Tolliver.

Mark popatrzył niepewnie na rozentuzjzmowanego młodzieńca. Chłopak wyrzucił z siebie te słowa, jakby miały szczególne znaczenie.

- Czterdzieści siedem... ale czego? - zapytał.

Czterdzieści siedem wielbicielek, które w uniesieniu są gotowe wdeptać go w bruk? Jeszcze czterdzieści siedem miesięcy, nim zostanie zapomniany?

Tolliverowi zrzęła mina.

- Czterdzieści siedem dni - wyjaśnił, spuszczając wzrok.

Mark pokręcił głową w zmieszaniu.

- Nawet biblijna powódź tyle nie trwała, a do

świętego Michała trzeba będzie zaczekać dłużej... - próbował się wykić Mark.

- Dzisiaj mija czterdziesty siódmy dzień czystości, proszę pana. - Tolliver zmarszczył czoło. - Czy nie tak witają się członkowie GKC? Założyłem lokalny oddział i bardzo chciałbym robić wszystko tak, jak należy.

Zatem rozeta nie trafiła na cylinder przypadkiem. Mark zdusił jęk. Miał płonną nadzieję, że GKC ograniczało swój zasięg do Londynu. W mieście nie było końca jego zażenowaniu, kiedy napotykał błękitne rozetki i widywał ich cotygodniowe spotkania. Nie wspominając już o tajnych znakach. Bez przerwy ktoś próbował go uczyć tajnych znaków.

Dlaczego ludzie z każdego sensownego pomysłu muszą sobie robić ekskluzywny klub wzajemnej adoracji? - pytał się w duchu. - Czemu nikt nie chce zwyczajnie i bez zadęcia robić, co do niego należy? I w jaki sposób on, Mark, wbrew swojej woli stworzył kolejną organizację z pretensjami?

- Nie należę do Gwardii Kawalerów Czystości - odparł znużony, usilnie łagodząc ton swoich słów. - Ja tylko napisałem książkę.

Tolliver osłupiał, jakby go kto huknął obuchem w ciemność. Zaraz się jednak otrząsnął

i wyszczerzył zęby.

- A! Oczywiście! - mrugnął porozumiewawczo. - Jezus też nie należał do Kościoła anglikańskiego.

Proboszcz pokiwał z aprobatą głową na to nedorzeczne porównanie. Mark nie był pewien, czy wybuchnąć śmiechem, czy gorzko zapłakać.

Spokojnie wyjął dłoń z uścisku Tollivera.

- Mam ogromną prośbę - rzekł. - Porównywanie mnie do Jezusa Chrystusa jest...

Groteskowe, najłagodniej rzecz ujmując, dokończył w myślach Mark. Nie chciał jednak upokorzyć chłopca. Było też absurdalne, ale Tolliver miał dobre intencje. Starał się. Trudno było Markowi gniewać się na chłopaka, który z całych sił walczył o zachowanie czystości, gdy wielu jego rówieśników traciło fortuny na walkach bokserskich i płodziło nieślubne dzieci.

Wystarczyła jednak chwila zastanowienia, by Tolliver zbladł jak ściana.

- To było bluźnierstwo - jęknął przytłoczony.
- I to w obecności Marka Turnera! O Boże!

Mark postanowił przemilczeć, że właśnie dopuścił się następnego.

- Wierz mi, że wolno przy mnie popełniać

błędy.

Tolliver uniósł z uwielbieniem oczy.

- Tak. Oczywiście! Powinienem był się domyślić, że masz w sobie, panie, dość dobroci, aby mi przebaczyć!

- Nie jestem świętym! Ja tylko napisałem książkę!

- Och, taka skromność! I wyrozumiałość! Jesteś dla nas wszystkich przykładem, sir!

- Ja też popełniam błędy...

- Naprawdę? Czy wolno mi zapytać, ile ty, panie, wytrwałeś?

Tolliver zrobił krok wstecz. Być może pojął niedelikatność pytania.

- Jestem pewien, że wszystko już opisano w gazetach - tłumaczył się - ale tak niewiele wiadomości tu do nas trafia. Tylko czasem, jak ktoś wróci z Londynu. To prawda, powinienem wiedzieć. Proszę, wybac mi tę rażącą ignorancję.

Zatem nie chodziło raczej o takt. Jednak Mark nie chciał mu sprawić przykrości. Tym bardziej że istotnie napisał książkę o czystości. Westchnął i zastanowił się chwilę.

- Dziesięć tysięcy - odpowiedział. - Mniej więcej.

Chłopak zagwizdał z podziwu.

Mark jednak zdążył już stracić dobry humor.

To mogło oznaczać koniec spokoju, na jaki tutaj liczył.

- Do twoich wielbicieli nie zaliczają się oczywiście wyłącznie mężczyźni, panie - wtrącił Lewis. - W niedzielę, po mszy, mam nadzieję przedstawić cię mojej córce, Dinie.

To też było do przewidzenia. Nie pierwszy raz ktoś usiłował go zeswatać z odpowiednią w jego mniemaniu kobietą. Mark nie miałby nic przeciwko poznaniu naprawdę odpowiedniej dla siebie kobiety. Lecz Tolliver spochmurniał i przestąpił z nogi na nogę, ustawiając się do Marka odrobinę bokiem. Nieufność i zakłopotanie zdradziły, że niespodziewanie ujrzał w swoim mentorze rywala. A skoro chłopak interesował się Diną, nic nie wskazywało na wyjątkowość sytuacji. Wszystkim zdawało się, że kryształowy Mark może być zainteresowany tylko kobietą, która...

- Jest naprawdę urocza - ciągnął niezrażony Lewis. - Skromna, cnotliwa i śliczna. Do tego posłuszna. Mógłbym przysiąc, że za męża pragnęłaby kogoś takiego jak wy, panie. Silnego, pewnego siebie mężczyznę. Do tego nie ma nawet szesnastu lat i można ją urobić wedle własnego gustu.

Zrozpaczony Mark zacisnął powieki.

Okazało się, że wystarczy napisać książkę o czystości i nagle wszystkim się zdaje, że za żonę pragniesz mieć uległe dziecko.

- Mam dwadzieścia osiem lat - odparł chłodno Mark.

- Zatem jeszcze nie dwa razy więcej od niej!
- uradował się proboszcz. Pochylił się i dodał poufałym szeptem: - Nie chciałbym jej wydać za starego capa.

Zerknął na Tollivera i dodał:

- Ani za szczeniaka, który sam nie wie, czego chce. - Podniósł głowę. - Do rzeczy. Wiem, że prowadzi pan kawalerski dom. Natychmiast zacznę planować rotację i jeśli każdego dnia umówimy podwieczorek i kolację, już za sześć tygodni pozna pan wszystkie najlepsze rodziny...

- Nie. - Nie było wyjścia, Mark musiał być obcesowy. - W żadnym wypadku. Przyjechałem tu w poszukiwaniu spokoju i samotności, a nie codziennych spotkań towarzyskich. A już na pewno nie spotkań dwa razy dziennie!

Lewis natychmiast zmarkotniał, a Mark poczuł się, jakby właśnie kopnął szczeniaczka. Dlaczego, ach, dlaczego tej książki nie pochłonęły odmęty zapomnienia jak tylu innych? - uskarżał się Mark w duchu.

- Raz na tydzień. Najwyżej - ugiął się, a proboszcz westchnął z nieskrywaną ulgą.

- To być może wystarczy. Jeśli tylko zorganizujemy większe wydarzenia. Może parafialny piknik? Tak, powinno się udać. Oj! - Lewis urwał swe rozważania i popatrzył na drugą stronę placu. Głos mu spowaźniał. - W ten sposób będziemy mogli trzymać na dystans niechciany element.

Mark podążył za jego spojrzeniem. Wilgotne kramy zaszklily się w promieniach słońca, które przedarło się przez chmury. Lecz Lewis nie podziwiał widoków - wpatrywał się w kobietę.

Z początku Mark spostrzegł tylko jej włosy, lśniące i hebanowe, upięte wysoko i opadające falami na ramiona, przykryte skrawkiem koronki, który tylko semantyczna gimnastyka pozwalała nazwać czepkiem. Dotąd Markowi się zdawało, że czerń jest pozbawiona koloru, ale na jej włosach światło iskrzyło wszystkimi kolorami tęczy. Miała piękne i wyjątkowo długie włosy. Uwolnione od spinek i szpil, musiały sięgnąć co najmniej ud. Uniesiony skrzydłami fantazji Mark czuł, że zanurza rękę w ich jedwabistej chmurze.

Poruszała się z wielką gracją, prawie unosiła się nad brukiem. Stąpając, karmiła

wyobrażnię kształtem długich i smukłych nóg, które ukazywały się w muśnięciach zwiewnej spódnicy. Przystanęła naprzeciwko gospody. Choć targ miał się rozpocząć dopiero jutro, zieleniarz zbierał już swoje towary na rano. Zerknęła na stragan. Krytyczna ocena główki kapusty była w jej wykonaniu czystą poezją.

Dopiero wtedy Mark dostrzegł, czym wywołała taki wstrząs u proboszcza. Sukienka była w najbledszym odcieniu różu, ale przepasała ją w talii wiśniową wstążką. Inne wstążki, wplecione w gorset, przyciągały uwagę do krągłości piersi. Co prawda, nie były wcale konieczne; figurę miała oszałamiającą. Ani nazbyt szczupła i delikatna, ani też przesadnie obfita. Lecz przy niej wszystkie inne kobiety zdawały się nieproporcjonalne.

W sercu Marka zabrzmiała tęskna nuta. Dlaczego nikt nie stara się mnie poznać z takimi kobietami? – myślał rozzalony.

W Londynie przyciągałaby nawracające spojrzenia raczej podziwu i ciekawości aniżeli pogardy. A tutaj? Mieszkańcy Shepton Mallet musieli być w nie lada kłopotcie, jak zareagować na kobietę tak zjawiskową i prowokującą zarazem. Mark nie miał z tym problemu – wyzywająca sukienka oznaczała żądanie uwagi.

Mark zaś nie lubił być nagabywany. Odwrócił wzrok i popatrzył na Lewisa.

- Tak - rzekł w zamyśleniu kapłan. - To pani Farleigh.

Wyniosły ton pastora wskazywał, że pani Farleigh jest w miasteczku niemile widziana, ale jego postawa wyrażała całkiem inne emocje. Patrzył za nią zachłannie spod przymrużonych powiek.

- Proszę na nią popatrzeć!

Mark nie posłuchał. Zbudował w umyśle szklany mur - przejrzysty, ale nie do przebicia. Z każdym oddechem przypominał sobie, kim jest, przypominał sobie, w co wierzy. Każdy oddech był kolejną przezroczystą cegłą w murze, którym otoczył żądzę, zanim zdążyła zamienić jego życie w piekło. Był panem swoich przywar; nie mogły go do niczego zmusić.

Żadne potrzeby, pragnienia, a już na pewno żądza nie miały nad nim władzy. Dopiero kiedy odzyskał pełną kontrolę, podniósł wzrok. Chociaż odrzucił od siebie głupawe słabości, pani Farleigh pozostała dla niego piękna.

- Przybyła tu ponad dwa tygodnie temu. Jest wdową, ale niewiele więcej o niej wiadomo. Unika przeszłości, bo pewnie to dla niej korzystne. Wystarczy na nią spojrzeć,

a wyobraźnia sama podsuwa, czego się dopuszczała.

Pastorzy mieli najwyraźniej pełne prawo do lubieżnych fantazji. Mark jednak nie chciał zgłębiać tego tematu i postanowił milczeć. Tymczasem pani Farleigh zerknęła na nich i zwróciła uwagę na Marka. Nie zdradziła żadnych emocji - na jej ustach nadal gościł ten sam nikły, tajemniczy uśmiech.

Pomimo to, i pomimo całej szklanej fortecy, Mark poczuł w sobie lekki dreszcz elektrycznego wyładowania, jakby tuż obok trafił piorun. Piękność ruszyła w jego stronę.

Zanim zdołała się zbliżyć, pastor wystartował w kurs kolizyjny, złapał ją pod ramię - i to bynajmniej nie w przyjaznym uścisku osoby duchownej ani nawet w upomnieniu. Dłoń Lewisa zanadto zbliżyła się do jej piersi.

Wystudiowany uśmiech pani Farleigh sugerował osobę światową, kreacja zdradzała kusicielkę. Lewis sugerował coś znacznie bardziej nieprzyjemnego. Ale gdy pastor jej dotknął, skrzywiła się na mgnienie oka jak rozzłoszczona kotka, a nie wzdrygnęła jak spłoszony łąbędź. Ten ułamek sekundy zdradził, że jej natura odbiegała od pozoru wytwornej zmysłowości.

Mark poczuł znacznie większe zainteresowanie, niż mógł wywołać jakikolwiek dekolt czy figura.

Z oddali trudno było chwytać sens konwersacji i rozmówcy byli przekonani, że ich nie słyszy. Zatrzymali się jednak akurat po drugiej stronie Krzyża Targowego, a kamienie miały nadzwyczajną akustykę.

- Pani Farleigh - mówił proboszcz. - To nie jest dzień targowy i nie ma potrzeby, żeby się pani otwarcie obnosiła ze swoim towarem. Szczególnie że takich dóbr nikt tutaj nie kupuje.

Skrzywiła się na jego dotyk, ale oskarżenie o cudzołóstwo przyjęła bez mrugnięcia.

- Czcigodny pastarze - odparła równie łagodnie - „wszystko, co się sprzedaje w jatkach”...

Zawiesiła głos, a Mark bezwiednie dopowiedział w myśli: „jedzcie, o nic nie pytając dla spokoju sumienia”. Słowa obudziły wspomnienie sprzed dwudziestu lat. Recytował Pismo Święte, a matka wpatrywała się w ścianę za jego plecami, kiwając głową w takt muzyki, którą tylko ona sama słyszała. Słowa wypaliły się w jego pamięci z całą mocą kontrastu między słusznym a okrutnie niewłaściwym.

Lewis pokręcił głową.

- Nie rozumiem, o czym mówisz. Tutaj sprzedajemy ziarno. I trzodę.

A pani Farleigh uśmiechnęła się ociupinkę szerzej, zyskując w oczach Marka. Pastor, obłapiający ją prawy i szanowany członek tutejszej społeczności, nie zauważył, że nierządnicza zaczerpnęła cytat z Biblii. Pani Farleigh podniosła rękę, chwyciła dłoń pastora jak zeschnięty liść w dwa palce i zdjęła ją ze swojej ręki.

- Nie będę ojca zatrzymywała - rzekła ze słodyczą. - Jestem przekonana, że niejedno wpadnie mu w oko. Być może niektóre z tych śliczności będą nawet istotnie na sprzedaż?

Odwróciła się, nie patrząc więcej w stronę sir Turnera. Proboszcz spoglądał za nią z założonymi rękami, manifestując niezadowolenie. W końcu podszedł do Marka.

- Zrobione - rzekł egzaltowanym tonem, zacierając ręce. - Proszę się nie obawiać, panie. Nie pozwolimy, żeby takie jak ona się wam naprzykrzały.

Mark popatrzył jeszcze w stronę straganu, gdzie oddalała się pani Farleigh. Przy wstażkach jej sukienki buraki wypadały blado. Prócz niej całe miasto było jak wyblakła, stara akwarela.

Mark zaś nie uważał się za świętego, jedynie dochowywał czystości. I tylko się niewinnie przyglądał.

Pani Farleigh zdążyła się pokazać jako kobieta mocnych kontrastów, nieustępująca śmiałością kolorom swojej sukni. Napiętnowała hipokryzję proboszcza, a ten nawet nie zauważył. Mark był ciekaw, co by powiedziała, gdyby jemu popatrzyła prosto w oczy.

Dostrzegłaby świętego? Ikonę cnót?

A może ujrzałaby jego samego?

Ta druga możliwość była niezwykle pociągająca i zbyt wyraźna, aby o niej zapomnieć.

Mark nie lubił się okłamywać. Nie tylko się jej przyglądał. Chciał ją poznać lepiej.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jessica nie dość dogłębnie rozważyła, co oznacza powrót sir Marka na lato do rodzinnej miejscowości. Ostatnie siedem lat sama mieszkała w Londynie lub bliskich okolicach. Co prawda, protektorzy zabierali ją na sielankowe przejażdżki, ale nigdy nie przedstawiali jej sąsiadom. Wyobrażała sobie, że małe miasteczka to tylko skromniejsze wersje metropolii - z mniej licznymi mieszkańcami i bez opery. Tak łatwo jej przyszło zapomnieć dzieciństwo.

Pomimo małomiasteczkowych realiów udało się jej jakimś cudem zdobyć tu nieco prywatności. Znalazła chatynkę na obrzeżach miasteczka, pół mili dalej, niż bruk ustępował pyłowi, a domy - polom. Czasem całymi godzinami nie widziała żywej duszy poza służką, z którą przyjechała.

Z tego samego względu nie mogła za bardzo liczyć, że sir Mark trafi na dróżkę prowadzącą do jej domku. Wiedziała, że bez wątpienia znajdzie go tylko w jednym miejscu: w kościele. Choć od niedawna w Anglii gościło lato, wczesnym rankiem kamienne ściany

nadal były zimne. Wiernych na mszy jednak nie brakowało i chłód nie był zbyt dojmujący. Kościelne ławy podtrzymywały hierarchię obywateli. Przy ołtarzu zajmowali miejsca najbogatsi, biedota tłoczyła się w kruchcie.

Mieszkańcy Shepton Mallet nie byli wciąż pewni, jakie miejsce należy się Jessice. Była dość zamożna, aby wynająć dom i utrzymać służącą, zarazem unikała rozmowy o rodzinie i pochodzeniu, co stawiało jej przyzwoitość pod znakiem zapytania. Na dokładkę była piękną kobietą, a pięknym kobietom nie należało ufać.

W Londynie nikt nie darzył zaufaniem nikogo, więc jego brak wcale Jessice nie doskwierał. Tutaj wybrała miejsce w połowie nawy, trochę dalej od prezbiterium. Sir Mark siedział oczywiście w pierwszej ławie, ściągając na siebie co najmniej tyle uwagi, ile wierni poświęcali kapłanowi odprawiającemu nabożeństwo.

Jessica liczyła, że zapozna się z Markiem Turnerem jeszcze przed kościołem, ale połowa miasteczka wyszła z podobnego założenia. Tymczasem druga połowa z wielką determinacją broniła dostępu do honorowego gościa pani o wątpliwej reputacji. Przy czym reputacja ta doskonale służyła jej celom, bo

miała sir Marka uwieść, a nie skłonić do małżeństwa. Musiała być taką kobietą, jakiej mężczyźni jego pokroju w żadnym razie nie chcieliby poślubić.

Podczas całego nabożeństwa sir Mark ani na chwilę nie odwrócił wzroku od celebransa. Gdy jednak Lewis zmierzał już do nieuniknionego zakończenia, sir Mark odwrócił się. Nie był to przypadkowy, daremny ruch. Popatrzył prosto na nią. Jakby doskonale wiedział, gdzie usiądzie. Jakby zdawał sobie sprawę, że go obserwuje.

Ich spojrzenia się spotkały. Jessica nie odwróciła wzroku, jak zrobiłaby każda skromna niewiasta. Spokojnie patrzyła mu w twarz. Nagle opuścił niżej oczy, a ona pożałowała, że choć minęło tyle lat, nadal nie mogła się przemóc i założyć do kościoła bardziej odważnej kreacji.

Podniósł wzrok, popatrzył jej w oczy i naraz, bardzo wyraźnie, puścił do niej oko.

Na tę krótką chwilę, nim się od niej odwrócił, Jessica całkiem osłupiała.

Co to miało znaczyć? Co zamierzał?

Poczuła ucisk w brzuchu jak młodziutka dziewczyna, która stara się poznać znaczenie każdego spojrzenia swojego wybranka. Z tym, że teraz nie ważyły się losy dziewczęcego

zauroczenia, tylko całego życia, jej przetrwania. W tym jego mrugnięciu mogłaby odczytać swoją przyszłość.

Zebrani już podnieśli się z ław, a wątpliwości wciąż nie przestawały dręczyć Jessiki. Sir Mark natychmiast został otoczony przez gromadkę, a kiedy dotarł do przedsionka, kłębił się wokół niego cały tłum.

Czekała przy żeliwnym ogrodzeniu. Nie chciała być jedną z tuzina omdlewających dziewczic, które błagały o jego spojrzenie. Z drugiej jednak strony żałowała, że nie może przypatrzeć mu się z bliska, poszukać w jego oczach nadziei.

A tak pozostała jej tylko chłodna kalkulacja. Brzydziła się intrygami, nie cierpiała oszustwa. Ale już dawno odpuściła sobie bezkresne moralne rozważania. Jeśliby sir Mark nie znalazł dla niej czasu, nim wyczerpią się jej fundusze, nie zawahałaby się użyć podstępu.

Dostrzegł ją i wzniosł rękę nad tłumem. W jednej chwili jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszelki rozgwar ucichł.

- Zaczekajcie tu - rzekł do wznoszącej ku niemu oczy ciżby matron, młodych wielbicieli i nadzwyczajnie optymistycznych trzpiotek.

Tłum wstrzymał oddech jakby w jednej, wspólnej piersi. Sir Mark ruszył przez przykościelny cmentarz, prosto do Jessiki.

Dzieliło ich już tylko parę nagrobków. Trawa zieleniła się soczyście, słońce prażyło. Jego włosy jaśniały jak blade złoto, lśniły blaskiem królewskiego skarbcza.

Przystanął dwa kroki przed nią.

- Pytałem, czy ktoś mógłby nas sobie przedstawić - rzekł na tyle cicho, że publika nie mogła go słyszeć. - Niezwykłe, ale nikt się nie kwapił.

- To dlatego że jestem bardzo niegrzeczna. - Zrobiła krok w jego stronę i wyciągnęła dłoń w rękawiczce. - Pani Jessica Farleigh, oficjalna zakała miasta, do pańskich usług.

Nie ucałował jej palców, jak uczyniłby inny dżentelmen, ale też się nie zawahał. Uścisnął jej rękę, jakby zawarli tajną umowę. Nawet przez materiał Jessica poczuła pierścień na jego palcu. Jej cel był tak blisko!

- Sir Mark Turner - przedstawił się. - Mówię głosem tysiąca aniołów. Fruną za mną motyle. Ptaki śpiewają w rytm mego oddechu.

Uwolnił jej dłoń z podobną swobodą. Wrażenie dotyku utrzymało się jeszcze chwilę, miał uścisk mocny i spokojny. Jessica próbowała odczytać, jak ma zareagować na

jego wyznanie. Gdyby sir Mark był naprawdę obłąkany, gazety niechybnie by o tym choć raz wspomniały.

- Pewnie jest pan zaniepokojony - odpowiedziała po chwili. - Motyle chyba zgubiły drogę.

W jego oczach zabłysło rozbawienie.

- Chciałbym pani zaproponować pewien układ. Obiecuję nie dawać wiary krążącym o pani plotkom, o ile pani zgodzi się nie wierzyć we wszystkie pogłoski na mój temat.

- Sir Marku! - dało się słyszeć wołanie z za jego pleców. Odważniejszy wielbiciel wystąpił przed tłum. Zgromadzeni musieli dojść do wniosku, że zbyt dużo czasu zmitrężył już w jej niegodnym towarzystwie. Nie chcieliby, żeby pokalała złote dziecko miasta.

Jessice została tylko chwila prywatności.

- Zupełnie inny pana obraz rysują prasowe doniesienia.

- Czytujesz je? Błagam cię, zapomnij o nich.

Przechyliła lekko głowę i posłała mu najbardziej zniewalający uśmiech. Od razu zauważyła reakcję. Krył się z nią lepiej od wielu mężczyzn, ale przez jego usta przemknął cień uśmiechu, wyprostował się nieznacznie i odrobinę pochylił w jej stronę. Pociągała go, i to bardzo. Złapała go.

A wystarczyło go tylko troszkę sprowokować. Po tym wszystkim okazał się niespodziewanie łatwą zdobyczą.

Gawiedź zaczynała się już niecierpliwić, a Jessica i tak nie mogła dokończyć dzieła na ich oczach.

- Czy to znaczy, że nie uważasz się za świętego? Sir Marku, twoja publika będzie wstrząśnięta.

Popatrzył jej w oczy.

- Nie - odparł. - Proszę mnie nie kanonizować. Jestem tylko mężczyzną, pani Farleigh. Zwyczajnym mężczyzną.

Odwrócił się w chwili, kiedy dama w purpurze sięgała jego ramienia. Jessice nie umknęło mordercze spojrzenie, które rzuciła jej nobliwa starsza pani. Sir Mark ponownie wszedł między ciżbę. Kobiety rozstąpiły się przed nim i zamknęły mu odwrót.

Zwyczajnym mężczyzną, powtórzyła szeptem Jessica. Poznała zwyczajnych mężczyzn. Wiedziała, czego pragną, i umiała im to dawać. Nie musiała nawet za bardzo zagłuszać skołatanego sumienia. W końcu do niczego nie zamierzała go zmuszać.

Wiedziała, że nie będzie to konieczne.

Wystarczy, że da po sobie poznać, że jest dla niego osiągalna. Sir Mark z rozkoszą sprzeda

swoją reputację. Musiała tylko użyć podstępu, żeby się trochę pospieszył.

Pierwszy tydzień w Shepton Mallet upłynął Markowi na rozważaniach. Miał twarde orzech do zgryzienia, odkąd zaproszono go do Komisji Praw Najuboższych.

Z jednej strony komisja, nadzorująca przytulki pracy, była znienawidzona przez wszystkich. Otrzymał tę propozycję tylko po to, żeby odwrócić uwagę opinii publicznej od licznych nadużyć. Mark przypuszczał, że efekt byłby przeciwny, i komisja pociągnęłaby go na dno. Szczególnie że obecna polityka pomocy najuboższym tonęła w chaosie.

Z drugiej strony Mark mógłby naprawdę pomóc wielu ludziom, gdyby włożył w to całą siłę i zaangażowanie. Skoro otrzymał popularność w darze od kapryśnego losu, czuł się w obowiązku wykorzystać ją w zbożnym celu. Tymczasem jednak cały system przytułków pracy wydawał mu się z założenia błędny i Mark nie był wcale pewien, czy da się go w ogóle naprawić.

Wyznał swoje wątpliwości nieszczęsnemu podsekretarzowi, który złożył mu towarzyską wizytę. Była jednak jeszcze jedna sprawa, o której nikomu nie wspominał, a która tu,

gdzie się wychował, najbardziej rzucała się w oczy. W Shepton Mallet dorósł i tutaj jego brat omal nie umarł przez szaleństwo matki.

Poświęcenie życia opiece nad najuboższymi brzmiało w teorii szlachetnie. Niestety, matka doprowadziła to poświęcenie do najdalszych granic; rozdawała niewielki rodzinny majątek, aż prawie nic się nie ostało. Z czterech braci tylko Mark rozumiał, dlaczego to zrobiła. Świadomość tego, jak łatwo pojął logikę obłędu, nie poprawiała mu samopoczucia.

Może właśnie dlatego wrócił w to miejsce. Nie chciał się wdawać w politykę. Jeśli nawet pragnął pomagać, wolałby to robić inaczej niż przez nadzór nad administracją przytułków pracy.

Zdarzało mu się często myśleć, że powierzono mu na Ziemi zadanie dokończenia dzieła matki, aby jej duch zaznał spokoju. Dla niej tylko perfekcja miała wartość, on napisał praktyczny przewodnik, który nie odżegnywał się od człowieczeństwa. Wpadała w furję z lada przyczyny – on włożył ogromną pracę, żeby opanować swój wybuchowy temperament. Ona każdy szlachetny poryw doprowadzała do skrajności, on stawiał na umiarkowanie.

Dlatego wciąż jeszcze nie odmówił. Być

może nadarzyła się okazja, żeby poświęcić życie ubogim i nie popaść w obłąd.

Być może.

Wrócił do domu rodzinnego, gdzie ożywało tak wiele wspomnień. Nie znalazł lepszego miejsca do namysłu. Tym bardziej że tutaj mógł liczyć przynajmniej na odrobinę prywatności.

Dzisiaj deszcz bębniący o dach przekonał go, że powinien wziąć sobie wolne. Służkę odesłał w południe do domu, a chłopiec, który zajmował się ogrodem, przychodził co drugi dzień.

Przy tej ulewie drogi i ścieżki bez wątpienia tonęły w błocie. Nikt rozsądny nie przyszedłby w taką pogodę z wizytą. Mark zaczynał wręcz żywić ostrożną nadzieję, że uda mu się uniknąć towarzyskich zobowiązań do dnia pikniku, który wypadł pojutrze. Liczył, że będzie miał dość czasu na kontemplację.

Zaledwie jednak zasiadł w fotelu, żeby poczytać jeden ze starych pamiętników matki, rozległo się kołatanie do drzwi. Mark westchnął boleśnie.

Zdażył już zapomnieć, że ludzie rzadko zachowywali w jego sprawie rozsądek.

Zapatrzył się w ogień na kominku. Rozważał, czy nie udać, że go nie ma. Mógł się w końcu

napatoczyć pastor, ciągnąc tu swoją przemoczoną córkę. Popuścił jeszcze wodze fantazji i natychmiast stanęła mu przed oczami pani Jessica Farleigh z ociekającymi włosami i mokrą od deszczu twarzą. Zagubiona i spragniona...

Powstrzymał dalsze obrazy. Czas na podobne młodzieńcze wizje był nocą, kiedy miał pełną swobodę rozładowania żądy.

Uznał, że najprawdopodobniej to pani Ashton, która zajmowała się domem i mogła zajrzeć, czy nie trzeba czegoś uprzątnąć. Pewnie wyjrzała na deszcz, zakutała się w płaszcz i przemierzyła trzy mile w kaloszach tylko po to, żeby się upewnić, czy niczego mu nie potrzeba. Miała dobre serce.

Wszyscy mieli dobre serca.

Westchnął jeszcze raz i podniósł się do drzwi. Pani Ashton niosła dla niego zapewne osełkę masła i bochen świeżo upieczonego chleba w naoliwionym papierze. Było to jedyne realne wytłumaczenie. Rozwarł z rozmachem drzwi...

...i stanął jak wryty, bo oto spełniło się młodzieńcze marzenie. U progu czekała na niego Jessica Farleigh.

Namokła w ulewie suknia lgnęła w ociekającej masie do jej wilgotnego ciała.

Mark bezwiednie uniósł nieco ręce w napoczętym geście wdzięczności, jakby chciał podłożyć dłonie pod jej krągłe piersi. Przez lekki muslin prześwitywał wierzch otoczek sutków, ledwie skrywanych cienkim gorsetem.

Równie dobrze mogłaby wcale się nie trudzić zakładaniem sukni. Mark dostrzegał wyraźnie każdy ciemnozielony szew intymnej bielizny, każde sznurowadło gorsetu, a gdy opuścił wzrok niżej - wszak był tylko mężczyzną - ujrzał na moment zmysłowe uda oblepione mokrą halką, wyśnione pragnienie każdego mężczyzny.

Nie była ucieleśnieniem pragnienia uczniaka, lecz obietnicą spełnienia żądz dojrzałego mężczyzny. Oszłamiająca i na wyciągnięcie ręki. Zatem - całkiem niegodna zaufania.

Rozmyślnie powoli podniósł wzrok ku jej twarzy. Właśnie tak, upominał się. Ku twarzy, nigdzie indziej.

Bez skutku. Strużka potoczyła się po jej patrycjuszowskim nosku, a Mark miał przemożną ochotę strząsnąć kroplę, która zawisała, drwiąc sobie z praw natury.

Na szczęście nie ona jedna to potrafiła. Mark ponownie wzniosł szklany mur, zza którego pragnienie, by scałować deszcz z ust

Jessiki, nie mogło go sięgnąć.

- Sir Marku - rzekła głosem czystym i czułym jak pieszczota. - Strasznie mi wstyd, że pana nachodzę, ale sam pan widzi, że to nadzwyczajny zbieg okoliczności.

Ścisnęła mocniej w ręce przemoczony czepek.

Popatrzył jej w oczy. Były tak ciemne, że w ten ponury i pochmurny dzień nie umiał poznać, co wyrażają. Na oczywiste kłamstwo nawet się nie zająknęła, nie odwróciła też wzroku.

- Widzi pan - podjęła - spacerowałam, nie bacząc na czas ani pogodę...

- Bez chusty, płaszcza czy parasola. - Jego głos zabrzmiał głucho i bezdźwięcznie. - Chmury zbierały się od rana, pani Farleigh.

- Och, powinnam była przynajmniej zabrać szal. - Roześmiała się perliście. - Ale zupełnie nie miałam do tego głowy.

Skoro miała włosy już tak długo mokre, powinny być zmierzwione i opadać bez ładu. Tymczasem ledwie kilka uroczych loczków wysunęło się z całkiem porządnego koka.

Opanowanie podniecenia okazało się dla Marka na tyle łatwe, że poczuł się nawet trochę rozczarowany. Pani Farleigh udawała głupiutką gąskę, co to zawsze się da na

spacerze zaskoczyć przez deszcz. Wielu znajomych Marka uwierzyłoby jej z miejsca. Każdą kobietę uważali bowiem za głupiutką gąskę.

Mark się z nimi nie zgadzał. A już na pewno nie co do tej kobiety. Zgadywał, że każdy element swojego ensemble'u przygotowała z zegarmistrzowską precyzją i pieczołowitością.

Westchnął ciężko.

- Pani Farleigh, gdyby pani była idiotką, za jaką się przedstawia, już dawno padłaby pani ofiarą drapieżników tego świata. A skoro dotąd nie przejawiała pani żadnych umysłowych niedomagań, czuję się w obowiązku nazwać tę pani historyjkę po imieniu. To kompletna mistyfikacja.

Zamrugła z niedowierzaniem, strącając rosę z rzęs.

- Widzisz? - dodał. - Wcale nie jestem taki milutki, jak mnie malują. Inaczej nigdy bym cię nie oskarżył o kłamstwo.

Spuściła wzrok i splotła ręce za plecami.

- Dobrze, przyznaję - zgodziła się. - Byłam pana ciekawa. Przy mojej i pana reputacji obawiałam się, że nie będzie nam dane więcej porozmawiać.

Mark znalazłby na to radę. Już nawet się

zastanawiał, do jakiego wybiegu mógłby się uciec. Zaintrygowała go przenikliwością i błyskotliwymi ripostami, rażącym kontrastem ubioru i manier, a w jej uśmiechu widział mądrość, żal i udrękę. Nie spocząłby, zanimby z nią dłużej nie porozmawiał. Tymczasem jej eskapada napawała go niesmakiem. Pewnie się jej zdawało, że kiedy zjawi się w całej przemoczonej krasie, Mark zapomni języka w gębie.

- Jeśli chodzi tylko o rozmowę - podsumował - to nie trzeba było rezygnować z płaszcza. Ani czekać na deszcz.

Podniosła na niego wzrok i odetchnęła efektownie. Niestety, Marka nie ciekawiła wypracowana poza uwodzicielki. Chciałby rozmawiać z kobietą, która umiała celną uwagą ukrócić zapędy pastora.

Marzył o tym nawet bardziej niż o jej wilgotnych kształtach. Pragnął, żeby i ona choć przez chwilę posłuchała jego, a nie jedynie pogłosek, jakie o nim krążą.

- Uważam panią za wyrafinowaną kobietę, pani Farleigh.

Oblizła usta z deszczu i posłała mu niewinny uśmiech. Mark nie był oczarowany.

- Wie pani, czym się różnią marmury z Partenonu od cnotliwego mężczyzny?

Jej uśmiech ustąpił miejsca zmieszaniu.

- Och, nie mam pojęcia - odparła z infantylną nieśmiałością. - Trudno znaleźć jakąkolwiek różnicę. Marmury są chyba tak samo twarde?

Mark pokręcił głową.

- Cnotliwy przyciąga większe tłumy - wyjaśnił.

Popatrzyła na niego zakłopotana spod długich rzęs. Mark liczył, że sprowokuje jakąkolwiek wprost rozmowę odbiegającą od motywów biblijnych. Pani Farleigh przygryzła tylko wargę.

- A co odróżnia cnotliwego od sterty kamieni? - zaryzykował jeszcze jeden dowcip.

- Kamienie też są twarde...

- Kamieni jest znacznie więcej, i są znacznie bystrzejsze.

Śmiejąc się ze mnie, zaklinał ją w duchu. Jestem błaznem, a nie jakąś przeszkodą do pokonania.

- Ojej, to nieprawda! - zawołała. - Pan jest taki mądry...

Mark zaczął w nią wątpić. Kto wie, może jej upragniona błyskotliwość była jedynie produktem pobudzonej wyobraźni? Liczył, że choć raz ktoś zobaczy jego samego ze wszystkimi wadami. A nie sam nieskazitelny wizerunek, który czynił go zakładnikiem

plotek.

- Jak sobie pani życzy, pani Farleigh - odrzekł zrezygnowany. - Wygrała pani. Wyszła pani na ulewę wbrew elementarnemu rozsądkowi, ryzykując zdrowie, żeby mnie zobaczyć. Akurat tak się złożyło, że jest wtorkowe popołudnie i ogrodnik dziś nie przychodzi. Jesteśmy całkiem sami.

Pokręcił głową.

- Nie mogę pani z czystym sumieniem odprawić. Do wioski jest bardzo daleko. Na pewno pani przemarzła, a na kominku płonie ogień. Niezależnie od pani pobudek, na gruzlicę pani nie zasłużyła.

- Jestem bardzo wdzięczna za gościnność.

Mark nie liczył na wdzięczność. Widział tylko kolejny i niebezpieczny element rozpoczętej przez nią gry. Prowadził kawalerski dom, a ona była przemoczona do suchej nitki. Musiała się całkiem roznegliżować i wysuszyć ubranie przy ogniu. Dopiero potem mógł ją pognać precz. Pożyczenie spodni nie wchodziło w rachubę.

Odwrócił się i skierował w głąb domu. Słyszał za sobą miękkie i chlupoczące kroki pani Farleigh. Zaprowadził ją do salonu, gdzie na kominku w buzujących płomieniach trzaskały smolne szczapy. Rozejrzała się,

chłonąc nastrój wnętrza.

- Dziękuję - powiedziała prosto.

- Niedługo wrócę. - Popatrzył jej w oczy. - Przyniosę ręczniki i szlafrok, żeby się pani mogła osuszyć.

Jeden nerw nie drgnął na jej twarzy. Dziwne mu się zdawało to jej milczenie - była jak nieobecna. Co zamierzała? Najpierw zjawiała się u jego progu całkiem przemoczona. Potem próbowała mu nakłaść do głowy bajeczkę o swoich zamiarach. Teraz zaś zamiary okazały się jasne, ani na chwilę w to nie wątpił.

- Wracam za dwie minuty - zapowiedział. - I naprawdę jestem tu sam, więc tylko ja mogę się tutaj zjawić. Czy się dobrze rozumiemy, pani Farleigh?

Skinęła głową.

Wyszedł. Jeszcze podsycił w sobie nadzieję, że myli się co do niej. Bił się z myślami, bo w końcu prawie nic o niej nie wiedział. Tylko plotki i krój sukni. I bardzo chciał wierzyć, że to nie wszystko.

Jego dorosła fantazja wyglądała trochę inaczej. Pragnął wrócić i zastać ją całkiem ubraną. Pragnął z nią nareszcie swobodnie porozmawiać. Chciał mieć okazję, żeby ją polubić. Od początku budziła w nim ciepłe uczucia. Na rynku rozdzielono ich, zanim

choćby wymienili grzeczności. Pod kościołem mieli dla siebie tylko chwilę.

Zaciekawiła go, kiedy się wzdrygnęła. Jak młokos nie umiał przestać myśleć o tamtej chwili. Prawie uwierzył, że, tak jak on, i ona ma duszę, której nikt nie dostrzega.

A teraz tracił tę wiarę. Wszystko wskazywało, że był dla niej tylko środkiem do celu, kolejnym podbojem. Wziął ręczniki i zebrał się w sobie. Kiedy był gotów, wrócił do salonu. Nie zamknął za sobą drzwi.

Miał rację. Stała plecami do wejścia. Zrzuciła już suknię, halkę i właśnie leniwie rozsznurowywała koronkowy gorset. Widział jej delikatne i smukłe kostki, jasne łydki w przemokłych pończoszkach. Powędrował wzrokiem wyżej, wzdłuż linii pięknych ud. Koszula subtelnie opadała na pośladki, kusząc wyobraźnię.

Odwróciła się zaskoczona.

- Och! Sir Marku! Jakie to krępujące...

- Oszczędź sobie. - Głos miał bezbarwny, bez emocji.

Zarumieniła się.

- Ależ...

Nie odrywał oczu od jej twarzy. Czuł się jak na szczycie urwiska nad burzliwym morzem. Gdyby spojrział w topiel, zawrót głowy mógł go

kosztować życie.

- Możesz sobie darować wymówki. Daj mi raczej okazję zrozumieć. Na co liczyłaś? Miała mną ovladnąć nieopanowana żądza?

- Nie chciałam... - Wzięła głęboki oddech i zrobiła krok w jego stronę.

- Naprawdę myślałaś, że na widok piersi i pośladków natychmiast zapomnę o swoich zasadach? Żyję w czystości, ale żadne ze mnie niewiniątka. Nie jestem i nigdy nie byłem naiwny.

Zacisnęła zęby i zatrzymała się tuż przy nim. Mógłby ją wziąć w objęcia. Mógł rzucić ją na fotel i rozgrzać jej przemarznięte ciało gorącymi dłońmi.

- Teraz pewnie miałem już oszaleć w huraganie zmysłów.

Upuścił ręczniki i szlafrok na podłogę.

- Sir Marku, proszę mi wybaczyć tę zuchwałość. Liczyłam... miałam nadzieję...

Sięgnęła do klap jego marynarki. Mark instynktownie złapał ją za rękę.

Bez czułości ani delikatnie. Uchwyt ćwiczył z bratem wiele lat temu. Nawet najsilniejszy mężczyzna nie radził sobie z chłopakiem, który wyłamywał mu kciuk do tyłu. Trenowali po wiele godzin, całymi dniami, aż płynny i pewny ruch stał się ich natychmiastową

odpowiedzią na zagrożenie.

Kiedy podniosła ręce, zszedł z drogi i zareagował bezwiednie. W następnej sekundzie naciskał na jej dłoń pod bardzo nieprzyjemnym kątem.

Wzdrygnęła się. Nie z bólu, bo wcale jej nie skrzywdził. Tak samo jak wtedy, kiedy na rynku pastor złapał ją za ramię. Skrzywiła się, bo jej dotknął.

Gdyby miał w zwyczaju przeklinać, kląby jak szewc. Jeśli bowiem kobieta mogła go rozczarować bardziej, niż wabiąc go dla swojej satysfakcji, to tylko w jeden sposób: starając się go uwieść wbrew sobie. Pomimo skrywanej niechęci podniosła jeszcze do niego usta, licząc na pocałunek.

- Większość mężczyzn nie zaglądałaby darowanej klaczy w zęby - wycedził. - A już na pewno nie w takiej chwili.

- A ty?

- Gdybym miał apetyt na koninę, nic bym nie przeoczył. Jedna niedoskonałość i odchodzę bez namysłu i bez żalu.

Przyłożyła wolną dłoń do jego twarzy.

- Jaka szkoda. Swoje wady uważam za moją główną zaletę. - Jej głos przypominał mruczenie kotki. - Nie nadaję się do rozplodu, ale przecież nie tego pragnie mężczyzna taki

jak pan, sir!

Doskonale jej szło udawanie żądz. Ale puls, który wyczuwał pod palcami, przeczył odgrywanej scenie. Nie odpowiadał pozie wyciągniętego jak struna ciała.

- Jak widać, mięso mnie w żadnej postaci nie interesuje - odparł surowo.

- Nie? - Pociągnęła palcem po jego policzku.
- Jesteś mężczyzną. Masz potrzeby jak każdy. A ja? Owdowiałam, a nie umarłam. Potrzebuję trochę ciepła i tak samo jak ty pragnę zachować tajemnicę. Oboje potrzebujemy dyskrecji.

Dotknęła jego szyi, ramienia.

- Chcemy tego samego. Twoja reputacja nie ucierpi, a będziesz mógł sobie użyć naprawdę do woli.

Chłodnymi, jeszcze wilgotnymi palcami objęła jego nadgarstek. Powtarzał sobie, że to nic nie znaczy. Miała pod palcami granit, nie ciało. Dobrze wiedział, że nocą zatęskni do tej chwili i wspomni jej dotyk. Rozpustna część jego duszy każe mu zakosztować goryczy. Będzie żałował przepuszczonej okazji.

Mimo to pozostał z kamienia.

- Nic nie wiesz o moich potrzebach. Wcale tego nie chcę.

- Jeśli mnie nie pragniesz - odparła ze

słodyczą – to dlaczego dalej mnie trzymasz?

– Pozwól, że ci coś wyjaśnię. – Docisnął jej kciuk na tyle lekko, żeby jej nie skrzywdzić, ale dość zdecydowanie, żeby zrozumiała. – Trzymam cię na dystans. To nie to samo, co trzymanie w objęciach. Poza tym to pani dygocze, pani Farleigh, nie ja. Skąd więc przypuszczenie, że nie będę mógł się pani oprzeć?

Puścił ją i cofnął się za drzwi. Pani Farleigh opuściła uwolnioną rękę, oniemiała.

– Widzisz, ja wcale nie dbam o tę moją nieskazitelną reputację. Zależy mi tylko na cnotliwym życiu. Nie zakładałbym się, że stracę głowę dla kobiety, która wzdraga się przed moim dotykiem. Osusz garderobę. – Poleciał jej szorstko. – Pewnie to chwilę potrwa. Jeśli się znudzisz, weź sobie coś do czytania.

Wskazał niedbale regały.

Raz jeszcze zrobiła krok w jego stronę. Mark uznał, że może tę żenującą sytuację ukrócić tylko w jeden sposób. Ostatnia rzecz, jaką ujrział, kiedy zamykał przed nią drzwi, była jej twarz, ani rozgniewana, ani uwodzicielska – tylko przepełniona obezwładniającym przerażeniem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Zanim zdążyła się zorientować, co się stało, usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Nieodwołalnie obwieścił jej porażkę. Nawet deszcz nie pomógł.

Drżącymi palcami rozsznurowała gorset. Nie było jej już zimno. Przez ostatnie miesiące zdążyła przywyknąć do chłodu. Popełniła nie jedną, ale dwie wielkie pomyłki i lękała się, że są nieodwracalne.

Niewielki kapitał funtów, którym dysponowała, już skurczył się do liczby dwucyfrowej. Może sprzedaż garderoby pozwoliłaby jej przedłużyć agonię, ale czy rolnik przejada siewne ziarno? Na dodatek kurtyzana nie może nigdy dać po sobie poznać, że jest doprowadzona do ostateczności. Mężczyźni, których pociągają zrozpaczone kobiety, są gorsi od samej rozpaczki.

Sir Mark przypuszczał pewnie, że powodowało nią pożądanie albo zwyczajna kobieca ciekawość. Nie miał pojęcia, w jak zdradliwej jest matni. Nic dziwnego, że w pośpiechu tak bardzo się przeliczyła.

Łudziła się, że uwiedzie go bez jakichkolwiek przeszkód, o ile przekona go, że nikt się o tym nie dowie. Co gorsza, uwierzyła, że pomimo wszystkiego, co ją spotkało, łatwo zniesie zaborczy dotyk mężczyzny.

Była w strasznym błędzie.

Powrót do zdrowia trwał miesiącami. Zawdzięczała go nieustępliwemu lekarzowi i swojej przyjaciółce Amalii, która codziennie przy niej była, karmiła kilkoma łyżkami kleiku i nakłaniała do zadbania o siebie. Nawet teraz Jessica musiała sobie przypominać o jedzeniu.

Właśnie dlatego podjęła tak zdecydowane działania. Znała los, jaki czekał kurtyzany, które opadły z sił. Wystarczyło im przestać dbać o swój wygląd albo zwlekać z poszukiwaniami kolejnego protektora. Wystarczył jeden błąd – mężczyzna, który trochę za mocno lubił się znęcać albo ukrywający wstydliwą chorobę. Po czymś takim wkrótce spojrzenie kobiet stawało się równie puste, jak spustoszone były ich serca.

Bywało, że nurzały się potem w morzu dżinu albo oparach opium, a dalej był już tylko grób. Pierwszego roku Jessica była tak naiwna, że wręcz uznała życie kurtyzany za całkiem znośne.

Nie o takim marzyła, ale przynajmniej umiała

przetrwać. Skandaliczna Jess Farleigh odkryła swobodę, o jakiej uczciwa Jessica Carlisle nie śmiała nawet pomarzyć. Za dnia myślała o swojej pracy jak o handlu, zarządzała kontami bankowymi, rozmawiała z koleżankami o relacjach damsko-męskich. O nocach wolała nie pamiętać, więc wieczorami oddawała się hulankom. Z początku zabawa trwała bez końca, a mężczyźni wychodzili z siebie, żeby spełnić jej zachcianki.

Kolejne lata pokazały, że olśniewające kreacje mogą być więzieniem, a zabawa ma swój kres. Kawałek po kawałku gangrena opanowywała duszę. Drwiąc z miłości i nie oglądając się na serce, wkrótce uświadomiła sobie, że sprzedawała je na części za jedwabne wstążki i błyskotki. Jedna pomyłka i rozchwytywana kurtyzana stawała się dziwką o pustym spojrzeniu, gotową oddać wszystko, byleby choć na chwilę zapomnieć. Zbyt wiele razy Jessica to widziała.

Poznała, że ten sam jest klucz do sukcesu kurtyzany i zawodowego gracza. Trzeba umieć we właściwym momencie zakończyć rozgrywkę. Po pewnym czasie każdy przegrywa. Ona straciła wszystko.

Zsunęła koszulę z ramion i powiesiła przed

kominkiem. Dywan pod stopami był miękki i ciepły, nie jak pończochy, które wisiały na krześle. Płomienie przeglądały się w jej nagiej skórze. Jessica pamiętała, że ogień grzeje, ale nie czuła jego ciepła. Nie czuła już niczego.

Sir Mark był jej ostatnią szansą. Położyła na szali wszystko i mylnie go oceniła. Jej własny cynizm podszeptał jej same bzdury. Ani przez chwilę nie przypuszczała, że był szczerzy w swoich przekonaniach i nie da się łatwo podejść. Przekonania nie miały znaczenia dla żadnego znanego jej mężczyzny.

Zanosilo się na kosztowny błąd, a ona nie miała już czym uregulować rachunku.

A nie walczyła przecież tylko o pieniądze. Pieniądze nie dałyby jej upragnionej wolności, ucieczki od dotychczasowego życia. Chciała mieć własny dom na wsi, poczuć na twarzy ciepłe promienie słońca. Nie chciała stać się jedną ze zgaszonych kobiet, które po nocy sprzedawały dusze za dzin, aby tylko na chwilę zapomnieć.

Była zawzięta; po tylu latach znowu uczyni to, w czym była najlepsza. Przetrwa.

Nieistotne, przekonywała się, że zamknął ją w pokoju, że straciła jego zaufanie i nie mogła liczyć, że się do niej choćby uśmiechnie. Mimo tego wszystkiego uwiedzie sir Marka,

zdobędzie półtora tysiąca funtów, kupi dom na wsi i zamieszka w nim z Amalie. I obie będą miały nowe życie.

Jeszcze jeden, ostatni raz musiała sprzedać ciało, żeby w zamian odzyskać serce. Żadne zamknięte drzwi ani niezłomna moralność sir Marka nie mogły jej powstrzymać.

Wiedziała już, jak go podejść. Drugi raz nie popełni błędu.

Tym razem odda się mu naprawdę.

Deszcz ustał. Ubranie Jessiki też zdążyło już wyschnąć. Łomotanie do drzwi rozległo się głucho i złowieszczo.

- Proszę.

Cisza.

- Nic ci nie grozi - dodała.

Rzeczywiście, Jessica siedziała skromnie przed kominkiem, i to całkiem ubrana. Nie mogła sobie pozwolić na choćby jedną nieostrożność.

Zabrzmiał szcęk klucza i drzwi się uchyliły. Jego twarz skrywał mrok korytarza.

- Pogoda powinna się utrzymać - oznajmił futrynie okna obok głowy Jessiki. - W każdym razie na tyle, żebyś wróciła sucha do siebie. Poczęstowałbym cię herbatą, ale...

Zamilkł i gwoli wyjaśnienia wzruszył

ramionami.

Jessica i tak zrezygnowałaaby z herbaty.

- Odprowadzę cię - rzucił obojętnie i obrócił się na pięcie.

Jessica była obolała, jakby całą drogę biegła. To czekanie tak ją zmęczyło. Mark szedł sztywno wyprostowany, ale chód miał sprężysty. Pociągnął za klamkę od wejściowych drzwi.

Jessica trzymała się na dystans.

- Sir Marku, jestem panu winna prawdę.

Odkąd otworzył drzwi salonu, ani razu na nią nie popatrzył. Ale na te słowa znieruchomiał. Puścił klamkę i rzucił spojrzenie przez ramię.

- Prawda jest dość oczywista - odrzekł znacznie łagodniej, znowu patrząc przed siebie. - Ale byłem zbyt surowy. Nie chcę twojego upokorzenia, nie musisz nic mówić.

Równie dobrze mógłby powiedzieć, żeby nigdy więcej się do niego nie odzywała.

A to było dla Jessiki nie do przyjęcia.

- Ale jestem ci winna wyjaśnienie dlaczego.

Puścił klamkę.

- Zrobiłam to, bo cię nienawidziłam.

Odwrócił się do niej i tym razem spojrzął na nią z uwagą. Niewielu mężczyzn uśmiechnęłoby się na takie słowa. Ale to nie był radosny uśmiech. Wyglądał, jakby był

speszony, i wydawało się, że wstrzymał oddech.

- Nienawidziłam cię - ciągnęła - bo postanowiłeś żyć w zgodzie z zasadami, jakich żadna dama nie może poniechać. A choć to najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem, uznano cię za bohatera i jesteś wychwalany pod niebiosa.

Mówiła bez emocji, ale jakimś cudem głos jej drżał. I ręce.

- Nienawidzę tego, że jeśli kobieta popełni jeden błąd, to jest jak trędowata, a twoi zwolennicy po latach rozpusty obwieszają się wstążkami i uchodzą za opokę społeczeństwa. Zatem tak, sir Marku, chciałam cię uwieść i udowodnić, że jesteś zwykłym mężczyzną. Żadnym świętym przewodnikiem. Że nie zasługujesz na taką cześć.

Podniosła głos, a jednocześnie przyglądała się sobie zdziwiona z boku. Była bardzo przekonująca w tym uniesieniu i sama by w nie pewnie uwierzyła, gdyby nie dziwna obojętność, jaką przejmował ją ten widok.

Pozostała niewzruszona. Nie czuła nic, tylko zimny pot na dłoniach, dygot ramion, którymi się otoczyła. Najwyraźniej jej ciało znało emocje, które nie miały dostępu do serca. Mówiła prawdę do bólu.

I on to wiedział. Otworzył szeroko oczy,

a uśmiech znikł z jego twarzy. Przyglądał się jej dłuższą chwilę, a Jessica odpowiadała śmiałym spojrzeniem.

- Masz absolutną rację - rzekł w końcu. - Zgadzam się z tobą pod każdym względem.

Następnie uśmiechnął się, nie blado, tylko olśniewająco i szczerze.

- Wybacz - dodał. - Jest jeden wyjątek. Widzisz, ja siebie raczej lubię.

Jessica nie poznała wcześniej mężczyzny, który wolał fakty od pochlebstw. Wydawał się baśniowym bohaterem, jak smoki i czarodzieje. Niezłomny i nieskalany. Zastanawiała się, jaka rola jej przypadnie w tej bajce.

- Byłbyś znacznie przyjemniejszy w obyciu, gdybyś nie był taki dobry.

- Nic z tych rzeczy, pani Farleigh. Nie powinnaś w to wierzyć. Dobrze ci szło unikanie uprzykrzonych frazesów. Już mówiłem, że żaden ze mnie święty. Trawią mnie grzechy i cieszę się, że wreszcie ktoś to zauważył.

- Grzechy? Na pewno nie chodzi ci o przypadłości zwykłych śmiertelników.

- Zapewniam cię, że są całkiem zwyczajne. - Wzruszył ramionami. - Mam w sobie wiele dumy.

- Och?

- Och - zgodził się. - Widzisz, żaden ze mnie kamyczek, który można zawiesić na sznurku i obnosić się przed całym światem. Jestem zbyt dumny, żeby dać się zawojować.

Ostrzeżenie i wyjaśnienie w jednym zdaniu. Dostrzegła już silnie zarysowaną linię szczęki. Jej bezpośrednie podejście nie mogłoby przynieść skutku nawet, gdyby miał większe inklinacje do rozpusty. Ten mężczyzna lubił zapracować na swoją nagrodę.

- Duma też nie pozwala mi pragnąć kobiety, która mnie nie lubi.

- Sympatia nie ma tu nic do rzeczy. Co różni cnotliwego od szklanki wody?

Pokręcił głową.

- Cnotliwego - odparła - znacznie łatwiej zdobyć.

Roześmiał się niewymuszenie.

- Tak - dodał. - Tak mi się znacznie bardziej podobasz. Jeśli ma to jakieś znaczenie, pani Farleigh, to wcale nie żywię do pani nienawiści. Ani nawet niechęci, mimo pani dzisiejszych intencji. Na pewno nie jest pani łatwo.

Opuścił wzrok i zaraz podniósł z promiennym uśmiechem.

- Mogę wiele wybaczyć przenikliwej

kobiecie, która potrafi zajrzeć za zasłonę świątobliwości.

Jessica nie była pewna, co ma przez to rozumieć, ale wystarczył jego uśmiech. Nie wyrzucił jej, nie zakazał się do siebie odzywać. Miała ostatnią szansę na sukces. Czekala ją ciężka droga, praktycznie nie do przebycia. A musiała poruszać się z bolesnym ociąganiem.

- Mnie też trudniej cię nienawidzić, skoro nie jesteś tylko workiem moralizujących aforyzmów. Ale będę się starała.

- Uważaj - ostrzegł poważnie, ale oczy błyszczały mu łobuzersko. - Jestem na tyle dumny, że mogę jeszcze postanowić cię do siebie przekonać.

- Nie możemy do tego dopuścić - zaripostowała przekornie. - Jeśli naprawdę cię polubię, mogę postanowić cię znowu skusić. Nie żeby coś udowodnić, ale dla samej przyjemności zaciągnięcia cię do łóżka.

Nawet nie wiedziała, co ma na myśli, aż sama to powiedziała. Nie chodziło o żaden fizyczny pociąg, od wielu lat nic takiego nie czuła.

Powodowała nią raczej tęsknota. Choć zaprotestował, kiedy go tak nazwała, zdawał się całkiem przyzwoitym mężczyzną. Jessica

nigdy nie spała z nikim przyzwoitym.

Tymczasem sir Mark zaczerpnął głośno powietrza. Nie omiótł jej chciwym wzrokiem zblazowanego rozpusznika. Ale też nie zamknął oczu jak zawstydzony chłopczyk, który boi się spojrzeć wprost na upragnioną kobietę.

Podniósł głowę i popatrzył jej z przekorą w oczy. Sir Mark w niczym nie przypominał piewcy prawości, jakiego sobie wyobrażała. Był zbyt męski, zbyt pewny siebie. Nie przerywając spojrzenia, otworzył drzwi za plecami - być może podkreślając, że przekroczyli barierę znajomości, dał sygnał zakończenia rozmowy.

- Pani Farleigh - rzekł - jest pani interesująca. Obdarzyła mnie pani szczerością.

Zrobił jej miejsce i owionął ją przedwieczorny chłód. Chmury już się rozstały, słońce znad horyzontu padło na jej twarz.

- Ja też będę szczery. - Uśmiechnął się nieznacznie. - Może mnie pani kusić do woli. Ale nie dopnie pani swego.

Nie zgodziła się z nim. Nic innego jej nie pozostało. Odpowiedziała podobnym uśmiechem.

- Chyba już pan o tym wspominał.

Minęła próg.

Kiedy przechodziła obok, sir Mark dotknął jej ręki. Nagie palce musnęły rękawiczkę. Nie zatrzymywał jej, ale Jessica przystanąła.

Przesunął palce jakieś pół cala w górę. Nieświadomy ruch, była tego pewna. Żadna zamierzona pieśczoła. Ale przez moment jakby się zawahał. Spojrzał jej w oczy, a promienie czerwieniejącego słońca zagrały na jego twarzy. Pochylił się do niej z ogromną pewnością, aż zobaczyła jego niebieskie, obramowane kasztanem oczy. Pachniał mydłem i solą. Mógłby ją z łatwością pocałować.

Nie pocałował jednak.

- Twoja prawdomówność skłania mnie, żeby dodać jedno. - Jessica czuła jego oddech na policzkach. - Jeśli naprawdę polubiłaś mnie na tyle, żeby mnie kusić, nie będę sobie odmawiał tej przyjemności.

Jakby nic się nie stało, ukłonił się na pożegnanie i zamknął drzwi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Nie musiał pan tu sam przychodzić, sir Marku. - Za kontuarem nowego urzędu żona poczmistrza, pani Tatlock, wsparła się pod boki i zatupała parę razy.

Słońce wspaniale rozświetlało przykurzone okna. Promienie były przez mętne powietrze i jarzyły się ciepło w sennym wnętrzu.

Teoretycznie pani Tatlock była tylko żoną miejscowego listonosza. Bez wyznaczonego zakresu obowiązków ani ustalonej pensji. Ale jej mąż rzadko miał melodię do odwiedzania najodleglejszych gospodarstw, osobliwie latem, bo wolał wędkować. Oddana małżonka opracowała więc system pracy, w którym to ona obejmowała każdą przesyłkę swą pieczęcią, póki mąż-listonosz nie zechciał jej doręczyć. Tymczasem adresat miał pełne prawo samemu się po korespondencję zgłosić.

Dzień promieniał paletą najpogodniejszych kolorów natury, pan Tatlock łowił ryby, a Mark zrobił sobie pyszny spacer do miasteczka, po pocztę.

- No proszę, tu są. - Pani Tatlock boczyła się jeszcze. - Pan, honorowy obywatel, sam

odbiera listy. To nie przystoi!

Mark nie westchnął.

- Przechadzka wcale nie była męcząca - odrzekł uprzejmie. Miał niemiłe podejrzenie, że służka czyta jego korespondencję. Ostatnim razem przyniosła mu rozpieczętowany list i przebąkiwała, że klej do kopert już nie ten sam. Mimo to Mark nie pozbył się wątpliwości.

- A poza tym - ciągnął - trochę ruchu dobrze mi zrobi. Nie chciałbym całkiem zgnuśnieć.

Poczmistrzowa złagodniała.

- Nikt pana nie posądzi o próżniactwo. - Zahurgotała zasuwaną szufladą i wręczyła mu dwa listy. - Martwimy się jednak, że nie dość pan dba o siebie. Tylko dwoje służących, a żadnego na stałe! Tak może się urządzać dżentelmen w tarapatach, a pan jest kawalerem korony! Bratem księcia! Pan się prowadzi doprawdy skandalicznie. Jeśli zwietrzą to londyńskie gazety, Shepton Mallet będzie skompromitowane. Można by pomyśleć, że nie umiemy zadbać...

Pokręciła głową ze zgrozą.

Mark zaś pomyślał o wszystkim, o co rodzinne miasteczko wiele lat temu jakoś nie zadbało. Szczytem dobrobytu był świeży bochenek chleba. Przyjechał tu oddać się

wspomnieniom, a nie dusić je w niewczesnym dobrobycie.

- Nonsens - uspokoił ją. - Pisma na pewno uznają to za kolejną z moich ekstrawagancji.

Pociągnęła nosem.

- Pan miałby być ekstrawagancki? Pan do nas pięknie pasuje, czego nie można powiedzieć o takich, co to przez przyzwoitość nie wspomnę. - Pociągnęła nosem. Mark nie chwycił przynęty, więc wbrew przyzwoitości dodała: - Jak ta, druga nietutejsza.

Mark położył ręce na blacie najbardziej swobodnym gestem, jaki mógł pewnością siebie udać. Nie mogło być dwóch zdań co do tego, o kim wspomniała samozwańcza urzędniczka. Mark ujrzał tę nietutejszą oczyma duszy, przemoczoną, z fryzurą na ostatnich szpilkach.

Postanowił, że skoro nie dał się pokusie, nie da się też plotkom. Był daleki od tego, żeby się dopytywać.

- Hm - mruknął. Mruknięcie nie było pytaniem.

Pani Tatlock chwyciła w lot.

- Pani Farleigh - zniżyła głos i głowę nad kontuarem. Rytuał dzielenia sekretu obudził w jej głosie rodzime nuty. - Pani Farleigh pisuje każdego tygodnia.

Skinął prawie niezauważenie.

- Tydzień w tydzień, nigdy nie zapomni, kwoka. I zawsze dwa albo trzy pisma.

- Ba! - dorzucił monosylabę. - A odbiera co?

Listy, które miał w kieszeni, naprowadziły go na pewną myśl. Wiedział dobrze, że będą na niego czekały, bo spodziewał się wyczerpującej odpowiedzi od księżnej bratowej, a od brata zwięźlejszej, choć podobnie życzliwej. Przeciwnie, dopiero gdyby listy nie nadeszły, zaczęłyby się martwić.

Pani Tatlock uśmiechnęła się chytrze.

- Odzywa się do niej radca prawny - odparła.

- Zatem może pisuje do inwalidy - zasugerował Mark.

- Może. Ale za to na inne listy wcale nie odpowiada. - Pogrzebała w torbie i wyciągnęła dwie koperty z pensowymi znaczkami. Adres nakreślony schludnym, zdecydowanym pismem; pani Farleigh nie bawiła się w zawijasy. Odbiorcą był pan Alton Carlisle w Watford. Mark znał tę nazwę, miejscowość jawiła mu się w niejasnych okolicach Londynu. Drugi list nadano do samej stolicy, do Amalie Leveque.

- Co kilka dni przynosi nowe. A co dzień dopytuje, czy nic nie przyszło. - Listonoszowa pokręciła głową. - Ciekawam, do kogo pisuje.

To jakaś Francuzka, jak mi Bóg miły. Wiadomo, co z nich za ziółka. Żadnej przyzwoitości. A ten drugi to pewnie gach, co ją kantem puścił.

Mark przypomniał sobie iskrę, jaką widział w jej oczach przedwczorajszego wieczoru. Prawie usłyszał jej słowa: „Zrobiłam to, bo cię nienawidziłam”.

- Nie wierzę, żeby tęskniła za kochankiem.

Mark spotykał już kobiety polujące na kochanka. Za pierwszym podejściem pani Farleigh całkiem zgrabnie pokazała, jak to robiły. Powłóczyście spojrzenia i zachęcające uśmiechy, pięknie zainscenizowany negliż... Ale coś nieuchwytnego burzyło jej staranną kreację. Nie umiała się całkiem oddać roli. Nie pasowało to do obrazu kobiety, która śle do kochanka rozpaczliwe listy. Na myśl, że raz za razem wysyła je bez odpowiedzi, Mark pragnął ją pocieszyć, a nie piętnować.

Pani Tatlock prychnęła z pogardą.

- A co, myśli pan, że ma ich kilku?

Mark podniósł się i spojrzał na nią z góry.

- Czy ma pani pełną wiedzę o jej sytuacji?

- Sam pan wie...

- Odkąd przyjechałem, doszło mnie ogromnie dużo plotek o pani Farleigh, a nie widziałem jednego dowodu.

Co prawda sama pani Farleigh przedstawiła mu dość dobitny dowód. Miał świetną okazję, żeby doszczętnie zrujnować jej reputację. Wystarczyłoby mu jedynie zrelacjonować ich ostatnie spotkanie. Tylko że psucie innym opinii jakoś go nie bawiło.

- Ależ, sir Marku...

- Proszę mnie tu nie czarować. Szarganie kobiecej reputacji zarówno słowem, jak i czynem, uważam za skrajną podłość.

Pochylił się nad kontuarem i otaksował ją wzrokiem.

- Sir Marku, wcale nie chciałam, naprawdę myślałam...

- Pani myślała? Naprawdę myślała pani, że chciałbym, żeby kobietę opuścili przyjaciele, a obcy odrzucili tylko dlatego, że na swoje nieszczęście jest trochę ładniejsza? - Mark mówił wolniej, przypominał sobie melodykę akcentu z Somerset, którą od dzieciństwa zapomniał. - A może pani się zdawało, że lubię obmawiać nieobecnych, żeby się nie mogli bronić? Niech pani nikogo nie znieważa z powodu plotek. A w każdym razie nie przy mnie.

Pani Tatlock zrobiła krok do tyłu. Z szeroko otwartymi oczami nerwowo mięła fałdę spódnicy.

- Ojej - powiedziała z namysłem, pół oktawy wyższym tonem. - Nie sądziłam... wydawało mi się... Ale nie. Może się rzeczywiście zapomniałam. W końcu pan naprawdę jesteś synem Elizabeth Turner.

Syn Elizabeth Turner nie zaprzeczył. Nie mógłby. Dała mu swoje najlepsze i najgorsze cechy. Dobroć, siłę przekonań. Nadgorliwość.

Widział w sobie jej okrucieństwo, brawurę i czułość, jakimś cudem złączone w jedno. Zacisnął pięści.

- Niech pani rozpowiada o tym. To przynajmniej jest prawda.

Pani Tatlock przemilczała swoją utarczkę z Markiem o panią Farleigh. W każdym razie nie przeszkodziła w zorganizowaniu przez kółko różańcowe pikniku na jego cześć. Na miejscu powitały go wiwaty i okrzyki radości. Z pastwiska, gdzie odbywało się spotkanie, przepędzono inwentarz, z wyjątkiem stadka kur, które gdakały niespokojnie przy ogrodzeniu. Nie tylko owce były tu niemile widziane - organizatorzy zadbali, żeby ci, którym gorzej się powodziło, też się nie pojawili na pikniku. W środę rano prości ludzie pracowali w polu albo okolicznych zakładach czy też trudnili się tkactwem w domowych

warsztatach. Jedynie służba reprezentowała ludzi pracy.

Kiedy przybyła pani Farleigh, fala wzburzenia przetoczyła się przez tłum gości. Zaczęła się od tłumionych okrzyków zdumienia, narosła wśród szeptów i zanim pani Farleigh przemierzyła połowę drogi, falanga wzburzonych dam porwała się w jej stronę. Otoczyły ją, gestykulując histerycznie i naradzając się na kilka głosów.

Chociaż nie słyszał słów, Mark wyobrażał sobie przebieg dyskusji.

- Na pomoc! - prawie słyszał panią Lewis. - To piękna kobieta, a do tego ma ładny biust...!

Tak to sobie wyobrażał. Bo po co inaczej wskazywałaby dekolt pani Farleigh?

- Proszę poczekać, pani Farleigh - mogła mówić pani Finney, szarpiąc ją za łokieć. - Nie zdążyłam jeszcze całkiem zawstydzić mojej trzynastoletniej córki przed sir Markiem. Prawdziwa kobieta mogłaby odwrócić jego uwagę!

Cała gromadka przemieszczała się niechętnie, wchodząc w paradę kurom, które rozgdakały się na znak protestu. Pani Farleigh podparła się ręką w bok.

Pani Lewis uśmiechnęła się cukierkowo. Nawet Mark widział jad ukryty pod fałszywą

słodyczą. Wszystkie damy pokiwały jak na komendę, pokręciły głowami i zostawiły panią Farleigh dwadzieścia metrów od reszty zgromadzonych, w towarzystwie stadka kur.

Farleigh patrzyła za nimi. Nie wzdychała, nie kręciła głową, nawet nie wzruszyła ramionami. Wyciągnęła koc z kosza i rozłożyła na trawie, nie oglądając się na kwoki.

Pani Lewis, żona pastora, zatarła dłonie, najwyraźniej zadowolona.

Choć bawił się myślą o rozmowie, jaka się przed chwilą odbyła, wiedział, jak musiała być dla Jessiki nieprzyjemna. Damy wróciły na swoje miejsca, trajkocząc, jakby nic nie zaszło.

Mark miał nieodparte wrażenie, że żadna z nich nie przeczytała nawet jego książki, tylko od razu postawiły ją na piedestale jako niemy obiekt czci. Może właśnie dlatego zwrócił się do pani Lewis, która była uosobieniem statecznej żony pastora. Rozprawiała akurat o manierach dam i pogodzie, poprawiając czepek córki.

Mark uznał, że czas wstrząsnąć jej ślicznym, uporządkowanym światem.

- Pani Lewis?

Puściła wstążkę, a wszyscy wokoło zamilkli, chłonąc jego słowa.

- Dlaczego panią Farleigh posadzono między

kurami?

Tuzin par oczu zwróciło się na niego z trwogą. Młody James Tolliver się aż zakrztusił.

- No, ona... - zaplątała się pani Lewis. - Nie słyszał pan naszej rozmowy?

- Doszły mnie jakieś uwagi - odparł, ważąc słowa. - Moim zdaniem jej suknia nie wyłamuje się z obecnych kanonów.

Pani Farleigh miała bardzo gustowną kreację, co prawda może dość prowokującą jak na prowincję. Na przechadzce w londyńskim parku uznano by ją jednak za ledwie za nieco śmieiej ubraną.

Oczy wszystkich zwróciły się na panią Farleigh i z powrotem na Marka.

- Sir Marku... - Żona proboszcza była zmieszana. - Proszę o wybaczenie. Może gdzieś w Londynie takie rzeczy są tolerowane, ale my tutaj się szanujemy.

- Jakie to rzeczy ma pani na myśli? - drążył Mark nieubłaganie.

Pani Lewis poczerwieniała. Wyręczyła ją córka.

- To się nazywa dekolt - wyjaśniła po prostu.
- Gdyby sięgał tu, a nie tutaj...

Nakreśliła linię na własnych piersiach.

- Dino!

- Co? - zaprotestowała Dina. - Wszyscy panowie się patrzyli. Gdybyś mi pozwoliła się pozbyć tych wstrętnych koronek...

- Ani mi się waż tak mówić. - Pani Lewis posłała Markowi bolesciwy uśmiech. - Kochanie, ktoś może uznać, że naprawdę tak myślisz!

- Przecież to tylko wycięcie - rzucił Mark. - Taki problem można łatwo rozwiązać.

Zanim ktokolwiek zdążył go zatrzymać, ruszył przez łąkę. Kiedy stało się jasne, że gość honorowy zamierza rozmawiać z gościem niechcianym, zapadła cisza jak makiem zasiał. Kury rozpierzchły się przed nim, bijąc skrzydłami.

Mark stanął przy kocu. Jessica podniosła leniwie wzrok. Choć trzy dni wcześniej widział ją prawie rozebraną do rosołu, teraz bardziej mu się podobała. Może to słońce lśniło w jej włosach, może jej oczy, kiedy patrzyła, czy jego spodnie dobrze leżą.

Gdy w końcu spojrzała mu w oczy, Mark wiedział już, że nie poczucie sprawiedliwości go do niej zaprowadziło ani zwykła ciekawość. Nawet nie zwykłe pożądanie, choć nie umiał znaleźć na to określenia. Czuł ścisk w dołku, a to oznaczało kłopoty. Ucieszył się z tego jak nigdy.

- Sir Marku - zagaiła - jak to miło, że pan do mnie przyszedł.

Mówiła ostrożnie, jakby się bała, że ją całkiem wygna z tej rajskiej kościelnej majówki.

- To nie jest wizyta towarzyska.

Uniosła wyżej brodę.

- Czyli przyszedł pan dokończyć ich dzieło?

Mark wypiął spinkę z mankietu i schował do kieszonki kamizelki.

- Panna Lewis właśnie mi mówiła, że wszyscy panowie patrzą się na pani dekolt.

Nawet nie drgnęła, żeby się zakryć.

- Naprawdę? - zapytała. - Czy naprawdę patrzą wszyscy?

Schował drugą spinkę.

- Nie mam pojęcia, im się nie przyglądałem.

- A pan?

W odpowiedzi Mark rozpiął marynarkę. Ściągnął jeden rękaw, a wśród kobiet za jego plecami rozległ się pomruk oburzenia. Nie dbał o to. Zdjął marynarkę i podał Jessice, patrząc w oczy.

- Włóż to - polecił szorstko.

Popatrzyła na marynarkę, ale nie wyciągnęła ręki.

- Ależ sir Marku! Doceniam pana rycerski gest, tylko że mnie wcale nie jest zimno.

- A mnie się zdawało, że etap udawania głupiej mamy już za sobą. - Pochylił się nad nią. - Doskonale wiesz, o co cię proszę.

Wzruszyła ramionami, od niechcienia uwydatniając jeszcze ponętny dekolt.

- A mnie się zdawało, że znasz swoją książkę. To było w rozdziale trzynastym, prawda? Że mężczyzna powinien wziąć odpowiedzialność za swoje słabości, a nie obarczać nimi kobietę. To tylko sukienka, sir Marku. Nawet nie jedna z moich odważniejszych. A pan się jej lęka niby żmii, co by chciała zielonym jadem zatruć pana nieskalaną biel. Musiałam chyba źle zrozumieć pana przesłanie.

- Nikt nie rozumie mojego przesłania - odparł surowo. - Napisałem chyba najmniej praktyczny przewodnik świata.

- Wcale cię nie kuszę? - zapytała, spoglądając spod długich rzęs. Znowu ogarnęło Marka przeczucie, że Jessica walczy ze sobą. Tak jakby chciała, żeby jej pragnął i zarazem starała się go odepchnąć.

Kusiła go, a jakże. Ale właśnie jej wahanie skłoniło go, żeby upuścić marynarkę na jej koc.

- Wcale nie chodzi mi o pozbycie się pokusy.
- Zniżył głos do szeptu. - Bo nie kryje się ona

w ubraniu. Nie zapomniałem ani jednej linii twojego ciała i z jego wspomnieniem będę dzisiaj zasypiał.

Wyciągała już rękę po marynarkę, ale zamarła w osłupieniu.

- Nie - ciągnął. - Proponuję ci okrycie, nie żeby uniknąć grzechu, ale żeby mieć go tylko dla siebie.

- Grzech?

- Omawialiśmy już moje wady, pani Farleigh. Jestem chciwy, pożądliwy, samolubny. I jeszcze jedno... - Nachylił się niżej. - Nie lubię się dzielić.

- Ale przecież nic między nami... - Spuściła oczy zmieszana.

- To, że żyję w czystości, nie znaczy, że chcę dzielić swoje fantazje z innymi.

Jessica odetchnęła głęboko.

- Gdyby mi to powiedział inny mężczyzna, obawiałabym się, że chce mnie uwieść - wyszeptała.

- Jest gorzej. Mogę cię polubić. Myślę, że uwiedzenie łatwiej by ci przyszło zrozumieć.

Uśmiechnęła się skromnie.

- Sir Marku, nie musi się pan posuwać do takich grózb. Już akceptacja byłaby dla mnie dostatecznym szokiem.

Mark wyprostował się.

- Jeszcze jedno. - Zaczekał, aż na niego spojrzy, i uśmiechnął się drapieżnie. - Do twarzy ci w czerwonym.

Jessica podniosła i otrzepała marynarkę sir Marka, patrząc, jak wraca na majówkę. Szukała w myśli na niego sposobu.

Z początku zdawało się jej, że łatwo będzie pomóc zwolennikowi czystości postawić pierwsze, nieśmiałe kroki na drodze do zmysłowych przyjemności. Tylko sir Mark wcale się nie okazał nieśmiały. Nie wypierał się pożądaniami. Nie miała pojęcia, jak nagiąć tak niezłomną pewność siebie.

Tak, pragnę cię - zdawał się jej mówić - ale jestem od tego pragnienia silniejszy.

A miała jeszcze większy problem.

Mark przyglądał się jej z cichym wyczekiwaniem. Pamiętała, co jej powiedział tamtego dnia: „Ja siebie raczej lubię”. Był o tym przekonany i powoli zaczynał przekonywać i ją.

Wbrew rozsądkowi szanowała go. Trudno było go nie szanować. Był prostolinijny i szczery. Nie krył się za sztywnymi regułami, nie widział w innych swoich wad. Nie ukrywał słabości.

Nie popełniał błędów.

Jessica złapała się na tym, że chciałyby, żeby wszystko to działo się naprawdę. Żeby była tylko wdową o nie najlepszej reputacji, która wybrała zesłanie. Wolałyby naprawdę cieszyć się flirtem bez obawy o przyszłość, straszącej ją widmem nędzy.

Sir Mark powrócił już do hołubiących go dam, które z uwagą obserwowały zajście. Jessica podniosła się i poprawiła sukienkę, strzepnęła marynarkę, jeszcze ciepłą od jego ciała. Pachniała też po nim czystym, męskim zapachem. Owinęła się w nią. Marynarka była oczywiście za duża i ogrzewała ją przyjemnie. Jessica czuła się w niej jak w przyjaznych objęciach - niezobowiązujących i kojących, bez przymuszania do czegokolwiek. Nie pamiętała, kiedy ostatnio miała takie wrażenie w ramionach mężczyzny.

Gromadka zatroskanych damulek otoczyła Marka z jazgotem. Pewnie martwiły się, czy go nie zbrukała nadmierną poufałością.

Roześmiał się i zaczął mówić, żywo gestykulując. Gdy już opanował świętoszkowate oburzenie zgromadzonych, odwrócił się wprost do niej. Ciepły wiatr powiał w plecy Jessiki, dotknął jej karku kołnierzem marynarki.

Nie знаła sposobu na uwiedzenie takiego

mężczyzny. Nie domagał się próżnych komplementów, nie wypierał się pragnień, którymi mogłaby skrycie manipulować. Pragnął jej, myślał o niej i przyznawał to otwarcie, a więc nieuczciwość też nie wchodziła w rachubę. To raczej on skłaniał ją do wyznania prawdy.

Posłał jej ciepły uśmiech i poczuła ścisk w gardle. Zdawało się jej, że kiedy znów przemówią uczucia, będzie to cicha i delikatna przyjemność jak czuła obietnica oczyszczenia. Nie rześki policzek, który wyrywał ją ze snu.

Chciałaby powiedzieć mu o sobie wszystko, zapomnieć o uwodzeniu i cieszyć się jego szczerym towarzystwem. Dać mu szansę, żeby ją polubił tak, jak lubił siebie – serdecznie, bez zbędnego patosu. Było to jednak niemożliwe i ta świadomość zadała jej ból.

Schyliła się i zerwała dmuchawiec spośród trawy. Kilka białych nasion wydostało się z poruszonego puchu.

Mark nie przestawał się do niej promiennie uśmiechać. Jessica uniosła dmuchawiec i dmuchnęła, puszczając nasiona na wiatr. Puch zatańczył w powietrzu, niesiony w jego stronę. Nie widziała już drobnych nasion, nie spodziewała się, żeby pofrunęły aż tak daleko; mimo to w następnej chwili Mark podniósł

rękę, jakby ją pozdrawiał, i zacisnął palce,
jakby coś łapał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nie widziałeś mnie, panie? - upomniał się James Tolliver.

Mark niechętnie oderwał wzrok od pani Farleigh i spojrzał na chuderlawego młodzieńca.

- Wybacz, Tolliver. Próbowaleś zwrócić mi na coś uwagę? Myślami... - Zamilkł, bo przed oczami wciąż miał czerwoną, jedwabną sukienkę pani Farleigh, rozrzuconą na kocu. Szkarłatny materiał w doskonałym kontraście uzupełniał bladą doskonałość jej cery. Nie tyle jednak kusilo go to alabastrowe ciało, co kryjący się w nim żar. Dziki, niebezpieczny i piekielnie ponętny. - Myślami jestem gdzie indziej.

- Nie teraz, sir. Zanim podszedł pan do pani Farleigh. Dałem panu znak. - Tolliver podniósł rękę i przygiął wskazujący palec oraz kciuk.

- To znak?

- Ważny znak - poprawił go chłopak.

Mark popatrzył na niego skonsternowany. Wyglądało to tak, jakby Tolliver chciał pokazać głowę pieska, strzygącego uszami. Młodzieniec dotknął niebieskiej rozetki przy

kapeluszu, powiódł podejrzliwie wzrokiem wokoło i zniżył głos.

- Sir, to ten sygnał!

- Nie całkiem rozumiem - odparł Mark całkiem głośno. Tolliver zaczerwienił się i rozejrzał ukradkiem.

- Błagam, ciszej... Nie mogą nas usłyszeć...

- Nie wiedziałem, że jesteśmy na terenie nieprzyjaciela. Kogo się boimy?

Tolliver powtórzył ważny znak i dla pewności wskazał go palcem.

- Zrobiłem coś nie tak? To miał być tajemny znak - „uwaga, niebezpieczna kobieta”!

Mark powoli policzył w myślach do trzech.

- Tolliver, skąd wzięłeś ten kod? - zapytał.

- Z broszury Jedidiah Pruwetta *Przewodnik młodych Kawalerów Gwardii Czystości...*

- Jest już taka broszura?

- Tak, ogłoszono ją w gazetach! Trzeba posłać szylinga...

Ucichł, spoglądając na Marka. Najwyraźniej zauważył jego gniew. Być może Marka zdradziły zaciśnięte zęby, a może pięści...?

- Nie wiedział pan o tym, sir?

- Nie.

Przekazując rękopis do druku, Mark nie liczył na honorarium. Filozoficzne prace, nawet tak przystępne, rzadko kiedy dobrze się

sprzedawały. Wydawca zapłacił dwadzieścia funtów za wyłączne i nieograniczone prawa do dzieła. Mark był przekonany, że tak znaczną kwotę zawdzięczał jedynie pokrewieństwu z księciem Parford. Brat usiłował go przekonać, żeby zachował prawa do tantem, ale Mark chciał tylko wydać swoją pracę. Dwadzieścia funtów przekazał na cele dobroczynne i na tym się jego rola skończyła.

Nie przejął się, kiedy usłyszał o trzecim, a nawet dwunastym wydaniu. Ale potem przyszła pora na edycję ilustrowaną, następnie oprawę koronną, specjalnie dla królowej Wiktorii w skórze jej ulubionego koloru, a także w kwiatach; edycję z komentarzem i drzeworytami przedstawiającymi rezydencję Parfordów, oksfordzki pokój Marka i dom jego brata w Londynie. Oraz, oczywiście, osławione wydanie kieszonkowe.

Mark wyobrażał sobie, że w przygotowaniu był tom myśliwski, w którym rolę autora przejmuje gadający jelen. Może nawet podobny.

Nie przejmował się straconymi pieniędzmi, ale kompletnie utraconą kontrolą. Znalazł się w matni, między brukowcami a Jedidiah Pruwettem, założycielem Gwardii Kawalerów Czystości.

- Wolę nie wiedzieć, dokąd posłałeś swoje pieniądze. - Mark bębnił palcami w nogawkę spodni.

- Ale to stamtąd dowiedziałem się o znakach.
- Tolliver miał mętlik w głowie. - Chodziło mi o to, że ona jest niebezpieczna.

- Tego uczy GKC? Unikać takich niebezpieczeństw?

Panna Lewis, córka pastora, w pół słowa ucięła rozmowę z matką i innymi damami. Wybuch Marka zwrócił uwagę wszystkich.

Nie cierpiał być w centrum uwagi. Szczególnie tutaj, w Shepton Mallet, ukrytym wśród zielonych wzgórz jego dzieciństwa. Miał przykre wspomnienia o tym, jak mieszkańcy miasteczka unikali jego matki. Chowali się przed nią, jakby była oszalałą bestią.

Tylko w Marku tamte czasy były jeszcze żywe, dla innych już dawno utraciły znaczenie. Ale jego osobiste uprzedzenia nie mogły mieć wpływu na poczucie sprawiedliwości. W przeciwieństwie do matki Mark nie musiał się narzucać ani podnosić głosu. Był lubiany i brał swoją odpowiedzialność serio.

- Zapewniam cię - odrzekł nieco ciszej - że nigdy nie pochwalałem nieżyczliwości.

- Ależ sir Marku, ona ma szkarłatną suknię!

I zabrała twoją marynarkę, panie. Chyba nie sądzisz, że to niewinna istota. Może być nawet kobietą upadłą!

- Nie ma czegoś takiego, jak kobieta upadła. Trzeba się po prostu rozejrzeć za mężczyzną, który ją popchnął.

Od razu pożałował, że to powiedział. Wielu mogło rozpoznać cytat. Nikt jednak nawet okiem nie mrugnął. Tylko pastorowa pokręciła głową w zamyśleniu i popatrzyła w stronę pani Farleigh.

- Tolliver - dodał Mark - skłoniłem się ku prawom czystości, ponieważ nie uważam wymuszania za właściwe podejście. Jako mężczyzna nie zadaję innym bólu tylko dlatego, żeby poczuć się lepszym od nich. Plotki też mogą krzywdzić, podobnie jak lubieżność. Prawdziwy mężczyzna nie musi szukać w nich swojej wartości.

Tolliver popatrzył zdumiony.

- Nie pomyślałem o tym.

Mark nie był zaskoczony.

Pani Farleigh wyglądała pięknie w jego wielkiej marynarce. Nawet ponury granat nie zdołał zgasić jej urody.

- Kiedy ktoś się potyka - ciągnął Mark - nie rzucamy go twarzą w pył, tylko pomagamy się podnieść, jak przystało na chrześcijan.

Jednak myśl o podaniu pani Farleigh ręki obudziła w nim wcale nie chrześcijańskie uczucia. Wracał wciąż do tamtego wieczoru, ale nie do widoku jej ciała oblepionego mokrą suknią, ale dzikiego błysku w oczach, kiedy wyznawała mu nienawiść. Nawet teraz na to wspomnienie przechodziły go całkiem niezrozumiałe dreszcze.

Tolliver przyjął krytykę z godnością.

- Więc co powinienem zrobić? - zapytał.

Panna Lewis zerwała się na równe nogi.

- Chodź. Zaproszmy ją tutaj.

Rzuciła matce wyzywające spojrzenie. Mark wstrzymał oddech, ale nikt nie próbował ich zatrzymać.

Majówka miała się ku końcowi. Składano koce, a pozostałości smakowitego posiłku trafiały do koszyków na później. Jessica nie przeczuwała zamiarów sir Marka, kiedy skierował się w jej stronę.

Dotąd ze sobą nie rozmawiali, ale była pewna, że mówił o niej z innymi. Córka proboszcza podeszła pochwalić jej sukienkę i fryzurę. Dziewczyna przedstawiła ją nawet kilku damom, które w kościele nawet na Jessicę nie spojrzwały. Przechadzała się w towarzystwie panny Lewis, wywołując coraz

większą konsternację.

Sir Mark stanął przed nią, a Jessica nie była pewna, czy jest mu rzeczywiście wdzięczna. Do dziś była praktycznie wyrzutkiem, a on odmienił bieg krążących plotek jak Herkules zawracający rzekę. Jego siła nie brała się tylko z reputacji.

Wielu mężczyzn czułoby się niepewnie, przemawiając do eleganckiego grona w koszuli z zakasnymi rękawami. On tymczasem był tak wytworny, że niekompletna garderoba straciła jakiegokolwiek znaczenie. Teraz przyglądał się Jessice bez słowa. Złapał róg koca i pomógł jej go złożyć raz i drugi, nim przekazał jej zawiniątko.

Wszystko tak uważnie, że ich ręce ani razu się nie zetknęły. I nadal milczał.

Wreszcie Jessica przerwała ciszę.

- Dziękuję za pomoc. Pewnie chciałby pan... odzyskać marynarkę?

Sięgnęła do mankietu, ale Mark pokręcił głową.

- Mylisz się. Chciałbym cię odprowadzić do domu - zaproponował. - Mieszkasz przy drodze za starym tartakiem?

Jessica schowała koc do kosza.

- Jak to, odprowadzić? - zdumiała się.

- Na piechotę. - Dwoma palcami pokazał

w powietrzu, jak to się robi. – Większość ludzi w twoim wieku już to umie. Zauważyłem, że osiągnęłaś w tym pewną biegłość.

– Nie o to chodzi – syknęła.

– Więc może zastanawiasz się, co to jest dom? Ale uczciwie ostrzegam, że pójdziemy naokoło, o ile zniesiesz moje towarzystwo przez bite pół godziny. Pomyślałem, że przespacerujemy się nad Doultling Water, a potem przy żywopłocie.

– Tylko że...

– A, czyli problem stanowi środkowe słowo.

– Środkowe?

Zajrzał jej głęboko w oczy, aż poczuła ścisk w sercu.

– Ty – rzekł tak, jakby nikogo innego nie było na świecie.

Głos uwiązał jej w gardle. Powoli założyła koszyk pod ramię i zerknęła z nadzieją na pozostałych. Tym razem jednak najwyraźniej nikt nie ruszał sir Markowi na ratunek, by ich rozdzielić. Nie pojmowała, jak mógł tego dokonać. Ani też dlaczego chce ją tak zawstydzić.

Wyprostowała się, kryjąc zmieszanie.

– Na pewno to słowo też mi wyjaśnisz?

– Nawet gdybym miał czelność tłumaczyć cię tobie samej, nie umiałbym. Za słabo cię znam.

Właśnie dlatego proponuję tę przechadzkę. – Wyciągnął do niej rękę, jakby mogła ją zwyczajnie przyjąć, jakby byli po prostu dwojgiem dobrych przyjaciół.

Zachował się całkiem nieodpowiedzialnie.

– Ale to przecież...

– Nie do przyjęcia? – Wzruszył ramionami. – Zapewniono mnie, że nie ma w tym nic niewłaściwego. Jesteśmy na wsi, to inny świat. Spacer to nic złego, o ile nie zejdziemy z głównego szlaku.

Wziął ją za rękę i podał jej ramię, zanim zorientowała się, co się dzieje. Nawet przez rękawiczki poczuła ciepło bijące od jego ciała. Miał na sobie tylko cienką koszulę i nie zwracał na to wcale uwagi. A Jessica wprost przeciwnie.

– Ciekawe, z jakiego podręcznika wiejskiej etykiety to zaczerpnąłeś.

– Nie wziąłem tego z książki. – Pomachał niefrasobliwie do pani Lewis i poprowadził Jessicę w stronę bramy, nie przejmując się złym spojrzeniem proboszczowej. – Zapytałem o to w liście do księżnej Parford.

Jessica przygryzła wargę i zeszywniała. Dopiero po chwili zrozumiała, co czuje. Była zadziwiona.

– Do księżnej Parford – powtórzyła

bezwiednie. - Napisałeś o mnie księżnej Parford!?

- Już drugi raz.

Zamilkła. Nie umiała odpowiedzieć. Mark zachowywał się swobodnie, jakby pisywał do księżnej przy lada okazji. Co prawda miał księcia za brata, więc może tak właśnie było. Jessica zapomniała, jak wysoko postawiona jest jego rodzina. A może nawet nie zapomniała, tylko dzięki jego otwartości nie musiała zwracać na to uwagi.

Pozwoliła się prowadzić brukowaną drogą w milczeniu. Dopiero kiedy skryli się w cieniu drzew Jessica podjęła wątek.

- Co napisałeś księżnej?

- Jest moją szwagierką i wcale nie jest taka wyniosła, jakby można sądzić po tytule. Chciałem ukrócić gadaninę, więc zdobyłem jej błogosławieństwo. Oczywiście, po pierwszym liście Margaret zarzuciła mnie pytaniami.

- Jakimi pytaniami? - Szli nad wysokim, trawiastym brzegiem rzeki. Właśnie przeszli przez drewniany mostek nad kanałem młynówki; główny nurt szemrał i chlupotał.

- Chciała wiedzieć, jak długo się znamy. Czy jesteś ładna? I lotna? - rzucił jej chytre spojrzenie. - Na pierwsze odpowiedziałam, że za krótko. Na pozostałe - bardzo.

Parę lat temu na pewno by się zaczerwieniła. Nawet teraz poczuła ciepło na policzkach i w brzuchu.

- Gdybym cię nie znała, podejrzewałabym, że ze mną flirtujesz.

Popatrzył na nią zagadkowo.

- Pewnie wiesz, co mówisz. Ale pod wnioskiem bym się nie podpisał.

- Przecież jesteś...

- Zwolennikiem czystości? - dokończył z rozbawieniem. - Zgoda. Ale to, że nie popieram kłusownictwa, wcale nie zabrania mi polować.

Jessice zaschło w ustach.

- Miałem nadzieję, że wymuszone grzeczności mamy już za sobą - dodał. - To bardzo proste, pani Farleigh. Lubię panią.

- Ale ja...

- Ty mnie nienawidzisz? - uśmiechnął się, jakby zwietrzył podstęp. - To dla nas obojga bardzo korzystna sytuacja. Wiesz, że nie będę ci się narzucał, więc możesz się czuć bezpiecznie. A póki nie zdecydujesz, żeby mnie przestać nienawidzić, mogę mieć pewność, że nie będziesz miała żadnych oczekiwań. Żadne z nas nie ma oczekiwań.

- Myślisz o moim bezpieczeństwie? - Przyjrzała mu się uważnie, ale choć opowiadał

niestworzone rzeczy, nie zdradzał objawów szaleństwa. – A nie zapomniałeś przypadkiem, że to ja próbowałam cię uwieść?

– Racja. – Wzruszył ramionami. – Ale ja się nie mam czego obawiać, bo nie bardzo ci to wychodziło.

Wydała okrzyk oburzenia i wyrwała rękę spod jego ramienia.

– Ty podły...

– Nie byłeś w tym dość szczerą. – Machnął ręką, bagatelizując jej sprzeciw.

– Do twojej wiadomości, to byłam całkiem szczerą i każdy inny mężczyzna byłby już mój! Nie mógłby się opanować.

Mark przybrał solenny wyraz twarzy, tylko nie całkiem opanował kąciki ust.

– I naprawdę nie rozumiem, co rozumiesz przez to, że mi nie wychodziło. Byłam świetna!

– Spojrzała mu w oczy. – Jestem świetna! Mogłabym cię mieć tu i teraz, ty bezczelny draniu. Gdyby nie to...

– ...że mnie nienawidzisz – dokończył rozbawiony.

– Tak. – Splotła ręce. – Gdyby nie to.

Szli dalej w milczeniu. Każdy inny mężczyzna, słysząc, że tylko z nienawiści kobieta nie chce go natychmiast mieć, dygotałby z wściekłości. A sir Mark sobie

pogwizdywał; schylił się po jakiś kamień i cisnął przez rzekę.

- Dużo się o tobie dowiaduję - zauważył w końcu. - Po pierwsze, jesteś ambitnym stworzeniem. Założę się, że byłeś z tych dzieci, które jak się je podpuści, to gotowe są zrobić wszystko.

- Jestem potulna jak baranek.

- Jak byk na korridzie.

- Jeśli tak sobie wyobrażasz polowanie, to nie bardzo ci to wychodzi - odcięła się.

Zniewaga nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia, nawet się uśmiechnął.

- Tak łatwo to mnie nie zrazisz - odparł. - Bardzo mi się w tobie podoba, że lubisz mnie otwarcie obrażać. Dużo mi się w tobie podoba, co jest trochę niesprawiedliwe, skoro ty mnie tylko nienawidzisz.

- Tak?

- Przypominasz mi brata.

Zamilkła zdziwiona.

- Brata? Sir Marku, flirtowałam z niezliczonymi mężczyznami, ale nie zawaham się powiedzieć, że jesteś spośród nich najgorszy. Popracuj nad komplementami. Żadnej kobiecie się nie spodoba, że jest podobna do mężczyzny. Nawet do księcia.

- Nie chodziło mi o najstarszego brata. Jeśli

chcesz się dowiedzieć, o co chodzi Smite'owi, musisz patrzeć, co robi, a nie go słuchać. To u niego kompletnie różne rzeczy.

- Nazywasz mnie kłamczuchą. - Pokręciła głową. - Nie ma dla ciebie nadziei.

- Chodzi mi o to - ciągnął, nie zwracając uwagi na protesty - że cały czas powtarzasz, że możesz mnie uwieść.

- Jak zechcę, padniesz przede mną na kolana.

Przystanął na środku drogi. Powoli odwrócił się do niej.

- W takim razie dlaczego jeszcze nie padłem?

Byli całkiem sami. Jeżynowy żywopłot cały w białych kwiatach zasłaniał najbliższy dom. Polna droga nagle stała się dla Jessiki stanowczo za wąska. Podszedł bliżej, zatrzymując ją spojrzeniem w miejscu. Gorące powietrze wypełniło jej płuca. Zmusiła się, żeby się nie cofnąć i zachować dumną postawę. Bez mrugania patrzyła mu w oczy.

Podniósł powoli rękę. Chciał jej dotknąć. Poczula mrowienie, ale w głębi serca narastał dławiący sprzeciw. Nie, nie - powtarzała bezwiednie w myślach. Nikt nie mógł jej przyjść z pomocą. Żeby zdobyć nagrodę, musiała pozwolić mu na wszystko. Udawała,

że jest nieczułym automatem. Bez uczuć, bez serca, bez lęku.

Mark uniósł brew.

- Pani Farleigh - rzekł łagodnie - pani się zmusza, żeby nawet nie drgnąć.

- Wcale nie. Nie wiem, o co panu chodzi.

- Wiesz dobrze. Tyle w tobie życia, co w lodowej rzeźbie.

- Nieprawda.

Bez ostrzeżenia podniósł rękę do jej policzka. Wstrzymała oddech, żeby nie dać po sobie poznać napięcia.

- Prawda - odparł i musnął palcami jej twarz.

To wystarczyło, żeby się cofnęła i serce zadudniło w jej piersi. Teraz już była przekonana, że zawiodła. Zaczekała, żeby głos jej nie zadrżał.

- To bzdury - próbowała nadrabiać miną.

- Nie mogę cię rozgryźć - przyznał. - Boisz się dotyku, a mimo to...

- Naprawdę nie rozumiem, o czym mówisz.

- Nie? - zabrał rękę, a Jessica wzięła głęboki oddech.

Wpatrywał się w nią uparcie i wyczekująco. Czują się tak, jak niedawno w jego salonie - całkiem naga. Mogła mu zaoferować tylko prawdę.

- Mężczyźni dotykają koni, żeby je uspokoić

- powiedziała nieobecny głosem. - Dotykają sokołów, żeby zapomniały o wolności. Dotyk jest zaborczy, a ja już nie chcę być niczyją własnością.

- Nikt cię nigdy nie dotykał czule, przyjaźnie? Nie masz rodzeństwa?

Bała się otworzyć oczy. Minęło siedem lat, odkąd widziała ostatnio swoje siostry. Ellen musiała już prawie dorosnąć. Miała co prawda Amalie, ale jej najdroższa przyjaciółka była w dalekim Londynie.

Amalie tuliła ją po tamtych wydarzeniach. Jessica nie sprzeciwiała się czułości. Nie mogła znieść poczucia, że ktoś chce ją mieć na własność.

- Chcesz mnie dotknąć czule czy przyjaźnie?
- zapytała złośliwie. - Nie myślałam, że będziesz się uciekał do eufemizmów, sir Marku.

Zesztywniał.

- Nie robię tego.

- Wszystkim się zdaje, że skoro żyjesz w czystości, to jesteś niegroźny. Ale ja widziałam, jak na mnie patrzysz. Jesteś taki sam, jak inni mężczyźni i chcesz tego samego. Doprawdy, sir Marku, przecież nie ma innego powodu, żebyś stał na środku opuszczonej drogi z kobietą o niepewnej reputacji.

- Pani Farleigh - odparł ochryple - pani nawet nie wie, jak długo czekałem, żeby ktoś to zauważył. Nie jestem żadnym niewiniątkiem i nigdy nie byłem. A jestem traktowany jak jakiś bożek, który ma za nic cielesne pragnienia.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- To zguba dla mojego dzieła - ciągnął. - Ludzie myślą, że jestem jakimś świętym, że nie znam pokus i żądz, nie mam pragnień. Napisałem o tym w pierwszym rozdziale, a nikt mi nie wierzy. Czystość nie jest łatwa!

- A mnie się wydawało...

- Pragnę. Pożądam. - Przeczesał włosy dłonią. - Nie. Masz rację. Zaslugujesz na to, żebym był bezpośredni. Pragnę ciebie. Ciebie pożądam.

Widziała w jego spojrzeniu, że w tej chwili tylko ona się dla niego liczyła.

- Ale nie będę cię do niczego przymuszał. A jeśli chcesz wiedzieć, co tu z tobą robię... - Zamilkł. - Wszystkich moich ślepych wyznawców zamieniłbym na jednego prawdziwego przyjaciela. Na kogoś, kto patrząc mi w oczy, widzi człowieka jak każdy inny. Nie śmiałbym być wobec ciebie zaborczy, bo mógłbym zniszczyć coś bezcennego.

- Sir Marku...

Raz jeszcze podniósł rękę, prawie dotknął jej twarzy, ale powstrzymał się.

- Pragnę cię, ale jesteś przy mnie bezpieczna.

Bezpieczna - powtórzyła bezwiednie w duchu. Ziemia zdawała się kręcić wokół niej. Całymi latami prowadziła z mężczyznami rozmowy wyłącznie z wyrachowania. Cały czas myślała, czy ich nie urazi, czego od niej oczekują. Kiedy mężczyzna brał ją sobie za kochankę, kupował nie tylko jej ciało. Kupował jej duszę.

Czyżby Sir Mark naprawdę chciał ją poznać, a nie zmusić do spełniania swoich potrzeb? Właśnie ta myśl przyprawiła ją o zawrót głowy.

Właśnie przy nim jednym nie była bezpieczna.

Uchylił przed nią kapelusza z bezczelnym uśmiechem, jakby wyczuwał jej wzburzenie i był z tego zadowolony. Zdążył już odejść dość daleko, nim się otrząsnęła.

- Sir Marku! - zawołała.

Zatrzymał się.

- Pan zapomniał marynarki! - Spróbowała pospieszenie ją ściągnąć.

- Wcale nie - odkrzyknął. - Specjalnie ją zostawiłem. Będę miał pretekst, żeby panią

odprowadzić do domu po mszy.

Zaniemówiła.

Puścił do niej oko.

- Do zobaczenia!

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Serce podskoczyło Jessice w piersi, kiedy nazajutrz rozległo się pukanie do drzwi. Sąsiedzi jej nie odwiedzali i nie czekała na żadne listy, szczególnie że listonosz jakoś nigdy nie znalazł do niej drogi.

Chociaż jednak nazwisko, które szepnęła służąca, wydawało się jej znajome, Jessica nie umiała powiedzieć, gdzie je wcześniej słyszała. Niepewnie skierowała się do sieni, gdzie czekał chuderlawy, niski mężczyzna z resztkami rudawych włosów na głowie i bujnymi wąsami. Był w wymiętym płaszczu i rozchełstany fularze. Na jej widok zmrużył oczy, zmarszczył brwi i schował zegarek, jakby spóźniła się na spotkanie.

Poklepał się jeszcze po kieszeni, może dla pamięci, i wyprostował się.

- Jak mogę panu pomóc? - zapytała Jessica.

- Pani miałyby pomóc mnie? - rzucił napastliwie. - Szczerze wątpię.

Zacisnął zaciekle usta i zgarbił ramiona, co mogłoby wyglądać groźnie, gdyby nie był o pół głowy od niej niższy. Jessica przywykła już do obelg, ale nie we własnym domu.

- Pan wybaczy. - Podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko. - Czy byliśmy sobie przedstawieni?

Skrzyżował ręce na piersi.

- Cholernie dobrze pani wie, że nie byliśmy - odparł oskarżycielskim tonem. - I cholernie dobrze pani wie, kto ja jestem. Nigel Parret, tak, ten Parret z „London Social Mirror”.

Właśnie on wydał większość sensacyjnych artykułów o sir Marku, był to wręcz fundament pisemka, które posiadał. Jessica uważnie czytała wszystkie jego relacje.

O propozycji Westona dowiedziała się od kobiety, która próbowała już uwieść sir Marka. Postanowiła wyjść na swoje, zmyślając opowiastkę. Ale to nie był pierwszy raz, kiedy jakaś dama chwaliła się romansem z sir Markiem. Parret weryfikował wszystkie pogłoski i to on obalił pierwsze doniesienia, dowodząc, że sir Marka nie było tam, gdzie twierdziły. Właśnie Parret wyznał znajomemu, który później przekazał to Westonowi, że jedynym wiarygodnym dowodem romansu sir Marka byłby jego złoty pierścień z czarnym kamieniem. Podobno była to pamiątka po ojcu i sir Mark nigdy się z nim nie rozstawał.

Tylko dlaczego, zastanawiała się Jessica, Parret przyjechał do niej?

- No i proszę - mówił Parret - rozbija się pani po moim terenie, a mnie nawet nie uznała za stosowne poinformować, nie wspominając o uzyskaniu zgody. Po miasteczku chodzą słuchy, że jakimś cudem uzyskała pani od niego wyłączność na wywiad.

- O czym pan mówi?

- Proszę nie odgrywać niewiniątka. - Prychnął głośno. - Znam ja dobrze takie, jak pani. Życzliwe powierniczki, które sprowadzają na manowce najuczciwszych mężczyzn.

Jessica poczuła się dotknięta do żywego.

- Mam tego dość - zezłościła się. - Do widzenia panu!

Wzięła intruza za łokieć i odprowadziła go do drzwi. Ale nie zdążyła ich zatrzasnąć. - Parret wetknął nogę w futrynę.

- Nie uda się pani tak łatwo wymigać od kradzieży. Tak, powiedziałem: kradzieży! - Teatralnie pokiwał głową osłupiałej Jessice. - To czyste złodziejstwo! Odejmuje pani chleb od ust mojej córce!

- Pan się zapomina! Żądam, żeby pan natychmiast...

- Pani żąda!? Nie ma pani prawa! Kto jest pani mocodawcą?

Pan Parret spurpurowiał już całkiem, aż po

czubek łysej głowy. Podparł się pod boki, wydymał pierś.

Jessicę zmroziło. On wie, myślała przerażona. Parret musiał wiedzieć to, o czym sama tak mocno starała się zapomnieć. Że jest tu dla pieniędzy, że planuje wydać sir Marka jego wrogom i zrujnować jego reputację!

- Ha! - Promieniał z dumy. - Wiedziałem. Pani milczenie to przyznanie się do winy. Miller z „Today’s Society”? A może Widford z „The Daily Talk”?

Jessica znowu przestała cokolwiek rozumieć.

- Już się tego pani nie wyprze - chełpił się dalej. - Wiem dobrze, czym pani się para!

Parret grzmiał już jak kaznodzieja z ambony.

- Pani jest reporterką!

Uniósł wysoko brodę i wyprostował się w świętym oburzeniu. Pokręcił nawet nosem, jakby reporterki cuchnęły wyjątkowo paskudnie.

- A pani nawet nie próbuje zaprzeczać! - ciągnął. - Jesteśmy zjednoczeni w walce z tak rażącymi naruszeniami etyki! Z kobietami, które odbierają mężczyznom zdolność do zarabiania na chleb.

- Ktoś jeszcze tu z panem przyjechał? - zapytała niewinnie, wyglądając do żywo płotu.

- Nikogo więcej nie widzę.

- Mówię w imieniu wszystkich mężczyzn! Sir Mark to moja historia, moje terytorium. Ja go stworzyłem, inwestowałem w jego reputację. Tylko dzięki mnie jest ulubieńcem Londynu! A pani teraz chce zbierać owoce mojej ciężkiej harówki! Wszystko już wiem - jak rozmawialiście na osobności pod kościołem. Zgodził się udzielić wywiadu, co?

- Ma pan mylne pojęcie - odparła Jessica. - Nie pracuję dla nikogo.

- Wolna reporterka? - Parret prawie zawył zbulwersowany. - Pani chce zlicytować swój materiał! Takie haniebne obyczaje są zniewagą szacownej profesji!

Jessica nie mogła wyjść z podziwu choćby na tyle, żeby kopnąć natręta w kostkę. A Parret naraz złagodniał i nachylił się poufale.

- Niech go pani sprzeda mnie - podsunął. - Podzielimy się wpływami, dobra? Za wyłączne prawa do nawet mdłego osobistego wywiadu mogę obiecać pięć funtów. Niech sobie pani wyobrazi tę zawrotną sumę!

- Chce mnie pan zniechęcić do fachu? A może to ma być jałmużna? - Jessica popatrzyła na wydawcę z politowaniem. - To już trzeba się było trzymać zastraszania, przynajmniej było w miarę składne.

Parret się przygarbił i westchnął boleśnie.

- Brzytwy się chwytam - przyznał. Oburzenie już całkiem wyparowało. - Żle się dzieje w interesach, odkąd sir Mark wyjechał z Londynu. Pani Farleigh, stoi przed panią zrozpaczony człowiek. Mam córkę, nie skończyła jeszcze pięciu lat. Jest prawdziwym aniołkiem, wszystko, co mam, wkładam w jej wychowanie. Będzie prawdziwą damą i znajdzie świetną partię.

- Szykuje ją pan dla sir Marka?

Zbladł i nerwowo pokręcił głową.

- O, nie. W żadnym razie. Ale może znajdę jej bogatego kupca. Albo kapitana marynarki. Może nawet duchownego? - Uderzył pięścią w dłoń. - Każdego pensa jej zapisuję. Chyba nie chce pani odbierać niewinnej dziewczynce wiana?

- Panie Parret - odrzekła spokojnie Jessica. - Nie wierzę już w ani jedno pana słowo. Proszę mi powiedzieć, co mam o tym wszystkim myśleć. Najpierw oskarżył mnie pan o kradzież, potem zaproponował spółkę, a teraz chce pan ze mnie zrobić filantropkę. Wiem na pewno tylko to, że zależy panu na pieniądzach i uważa pan, że mogę go ich pozbawić albo zdobyć dla niego fortunę. Oba przypuszczenia są, pan wybaczy, kompletnie idiotyczne. Nie jestem reporterką i nie mam

zamiaru szkodzić... pana profesji.

Parret skinął mechanicznie.

- Dobrze. Być może pani mówi prawdę. Ale dlaczego tak się nim pani interesuje, skoro nie chce go naciągnąć na zwierzenia?

- Jestem pewna, że wydawca plotkarskiego pisma potrafi zrozumieć, czego kobieta może chcieć od mężczyzny.

- Powszechnie wiadomo, że sir Mark jest odporny na pochlebstwa dam - myślał na głos.

- Obserwuję go od wielu miesięcy. A może zechciałaby pani zdawać mi relacje?

Zakrztusiła się.

- Opłaci się pani - dodał szelmowsko. - Co czyta? Czy pracuje nad następną książką?

Uśmiechnął się do niej, ale to go tylko bardziej upodobniło do lisa.

- Nie pożąda pani.

- Pan oszalał.

- Moja wizytówka. - Wyciągnął do niej karteczkę, a że się nie kwapiła jej przyjąć, położył ją na progu i odmaszerował, pogwizdując. Jessica patrzyła przez okno, jak się oddala, czekała, aż zniknie za żywopłotem.

Nie wiedziała, co o tym myśleć. Co powiedzieć. Prawie się jej chciało śmiać. Przez chwilę była reporterką, która miała w planach fastrygować artykuł o prywatnym życiu sir

Marka. Ale nadszedł czas powrotu do innej nieuczciwości.

Choć nie całkiem innej. Miała go uwieść, zrujnować – więc musiała sprawić, żeby uwierzył w jej historyjkę. Więcej ją łączyło z szalonym panem Parretem niż z sir Markiem Turnerem.

Otworzyła drzwi i przykucnęła. Wizytówka prawie nic nie ważyła, a mimo to wydawała się bardzo ciężka. To sumienie przypominało jej, że nie porzuciła zamiaru uwiedzenia sir Marka. A przecież dotąd nie upadła tak nisko, żeby skrzywdzić niewinnego.

Do tego sir Mark ją lubił. Lubił ją najbardziej, kiedy się zapominała, przestawała dbać o pozory.

- Obiecuję – szepnęła, jakby stał przed nią – że cię uwiodę. Muszę. Ale rezygnuję z podstępów. Sir Marku, uwiodę cię i będę sobą.

Mark nierozsądnie założył, że łatwo będzie mu się wyrwać z tłumu po niedzielnej mszy. Mylił się bardzo. Kiedy odśpiewano ostatni psalm i pastor odszedł od ołtarza, Mark poczuł się, jakby wzburzone morze zabrało go przed kościół. A tam już nie było dla niego ucieczki. Był w rękach tłumu, osłona w postaci

najbliższego nagrobka była poza zasięgiem. Nie miał się gdzie ukryć.

- Sir Marku, mieliśmy nadzieję pana namówić na kolację w tym tygodniu - powiedziała niejaka pani Cadfall.

Z boku napierał na niego jakiś mężczyzna.

- Sir Marku, będziemy ogromnie wdzięczni za radę odnośnie do bydła...

Ręce szarpały jego kołnierz, wyłogi płaszcza. Znowu było jak w Londynie - tłum, zgiełk, uwaga wszystkich skupiona tylko na nim. Brakowało jedynie wścibskich reporterów i porannej gazety, w której mógł przeczytać, co dokładnie robił zeszłego wieczoru.

Dobiegała go kakofonia głosów.

- Sir Marku - nawoływał ktoś za nim.

- Sir Marku, GKC pragnie... - To był James Tolliver, ale pragnienia gwardii utonęły w tumultcie.

- Sir Marku!

- Sir Marku?

- Cisza! - wykrzyknął w końcu. - Bardzo was wszystkich proszę, czy możecie nie mówić do mnie wszyscy razem?

Wszyscy oczywiście go przeprosili. Jeden przez drugiego. Mark zaczął odpytywać po kolei i z całą uwagą wysłuchiwał rozmaitych spraw. Pamiętał, że gdzieś za tym

zbiegowiskiem czekała na niego pani Farleigh. Obiecał ją odprowadzić. Ta świadomość dawała mu jedyne wytchnienie.

Niestety, musiał zrezygnować z zaproszenia pani Cadfall. Nie znał się też na bydle, lepiej byłoby zapytać naprawdę kogokolwiek innego.

- A ty, Tolliver?

James skrzywił się, a Mark pojął, że pozwolił sobie na niepotrzebną surowość wobec pytających. Odetchnął głęboko i upomniał się, że mogło mu się przytrafić coś gorszego od nadmiernej sympatii.

- GKC chciałyby zorganizować debatę... czy coś w tym rodzaju. - Tolliver spuścił wzrok. - Żeby zachęcić do cnotliwego życia.

- Debatę? - zdziwił się Mark. - Dla GKC?

Nie był wielkim zwolennikiem gwardii. Nie podobały mu się tajne znaki, rozety, a szczególnie podręczniki sprzedawane za dwupensówki. Wszystko to cuchnęło wyzyskiem, do którego Jedidiah Prewett przyczepił nazwisko Marka.

- Mam wziąć udział w debacie?

Musiał dać wyraz swojej niechęci, bo Tolliver jeszcze bardziej się zawstydził. Mark miał ochotę ugryźć się w język. Nie miał nic przeciwko młodzieży, wręcz przeciwnie.

- Ma pan rację - wycofywał się już James. -

Nie zastanowiłem się nad tym. Kto mógłby z panem dyskutować? Trudno podważać racje cnoty.

Zapadła dość ponura cisza. Zebrani czekali na jego odpowiedź.

- To chyba nie do końca prawda - odrzekł. - Jest bardzo wiele...

Zamilkł, bo gotów był jeszcze mimowolnie zgodzić się na debatę.

- Bardzo wiele czego? - zapytał nieśmiało Tolliver.

- Wiele argumentów, które można podnieść - dał się słyszeć głos z prawa. Dreszcz przeszedł Markowi po plecach. Odwrócił się powoli do pani Farleigh. Stała na obrzeżu zgromadzenia i nikt się nie kwapił, żeby ją przepuścić.

- Jak na przykład? - zapytał Tolliver.

Jessica wzruszyła ramionami.

- Nie ma przecież powodu, żebym je znała. Ale taka dyskusja mogłaby coś powiedzieć o organizacji, która wyróżnia się przede wszystkim wstążkami i rozetami.

Mark nie mógł się z tym nie zgodzić.

- Proszę mówić dalej - zachęcił ją.

Patrzyła mu prosto w oczy.

- Ten ktoś, oczywiście nie ja, mógłby nawet zakwestionować system moralny, który

podkreśla wagę kilku wybranych założeń, nie biorąc wcale w rachubę ich relatywnej wartości w konkretnych przypadkach.

Tolliver zmarszczył czoło.

- Jakie konkretne przypadki ma pani na myśli? Prawość jest zawsze prawością, a podłość podłością. Tu nie ma dyskusji.

- Ja bym wcale nie dyskutowała. Ale umiętny dyskutant zapytałby może, jak należy się zachować, jeśli trzeba wybierać między życiem niewinnego dziecka i nieobyczajnym zachowaniem.

Tolliver spochmurniał jeszcze bardziej.

- Bo przed takim wyborem często stają nieszczęsne kobiety - sprzedawać ciało albo zamorzyć głodem swoje dzieci.

James Tolliver spurpurowiał i wytrzeszczył oczy. Mark uznał za niezwykle, że chłopak nigdy wcześniej nie miał do czynienia z prostym dylematem moralnym.

- To znaczy? - Popatrzył na Marka błagalnie.
- To nie tak...

- Racja - Mark wszedł mu litościwie w słowo. - To wariacja na temat znanego argumentu. Ciupcianie za kocięta.

Jessica aż się zakrztusiła.

- Ciupcianie za co!?

- Kocięta. Idzie to tak: szalenciec ma w worku

szesnaście słodkich i niewinnych kociąt. Grozi, że utopi je wszystkie w rzece, o ile nie będę miał stosunku z wybraną, dość atrakcyjną kobietą. Co robię?

- Właśnie, co robisz? - zapytała z naciskiem pani Farleigh.

- Mając do wyboru ciupcianie albo pozbawienie życia kociąt, nie zastanawiam się zbyt długo. Zgodnie z moimi przekonaniem nie mogę się zgodzić na niezawinione cierpienie.

- To znaczy?

- Jestem gotów kłamać, kopnąć bliźniego w brzuch, a nawet wydmuchać nos w obecności królowej. Dla kociaków wszystko.

- Szczęśliwe kociaki - odparła pani Farleigh. Z trudem zachowywała resztki powagi. Wśród zebranych wyczuwało się konsternację. Mark zapragnął usłyszeć jej śmiech.

- Przyznaję, że czystość ciała nie zawsze jest najważniejsza. Złapała mnie pani. Tylko że najczęściej nie ma żadnych kociąt, żadnych szaleńców. Jest tylko prosty wybór. Wydumane dylematy nie usprawiedliwiają podłości. Inaczej każdy by tylko mordował i gwałcił, powołując się na kota.

Zapadła cisza jak makiem zasiał. Ale Mark osiągnął cel. Pomimo wszelkich wysiłków pani

Farleigh uśmiechnęła się.

- Przekonał mnie pan - odparła. - Dyskusja nie ma sensu.

Jej kpina była dla Marka oczyszczająca. Od dawna nikt nawet nie próbował się z nim spierać. Dawno się tak dobrze nie ubawił.

- Poza tym - dodała - jeśli naprawdę chcemy ocalić kociaki, najkorzystniej chyba stłuc łotra na kwaśne jabłko.

- Przy takiej okazji na pewno o pani nie zapomnę - rzucił od niechcienia.

Zdumienie Jessiki nie miało granic. Podobnie jak wszystkich obecnych.

Czy on naprawdę przyznał...? - przebiegło jej przez głowę. - Tak! I to przy wszystkich!

Poczuła na policzkach ciepły rumieniec. Ale i tak ona pierwsza otrząsnęła się z zaskoczenia.

- Proszę tego nie robić - odparła poważnie. - Kocięta w opałach zepsułyby atmosferę. Już zresztą przyznaję, że pański kodeks jest elastyczny. Więcej, wydaje się wręcz chwiejny.

Zapadła głucha cisza.

Ja też potrafię być surowa, kiedy trzeba, pomyślała przekornie Jessica.

Mark cieszył się ogromnie, że ich małe przedstawienie odbyło się w Shepton Mallet, a nie w Londynie. Wiedział dobrze, że plotki

się rozejdą błyskawicznie, że będą na językach całymi tygodniami – ale przynajmniej te żarty nie zostaną roztrąbione przez wszystkie poranne gazety!

Nagle dał się słyszeć głos jak żywcem wyjęty z wyobraźni Marka.

– Sir Marku, czy mógłbyś powtórzyć ostatnie zdanie?

Markowi zmroziło krew. Choć mówca krył się w tłumie, rozpoznał go bez trudu. Ten głos znał aż za dobrze. Po chwili odnalazł wzrokiem cylinder na skraju zbiegowiska.

Nigel Parret, pomyślał. Co on, u licha, robi w Shepton Mallet?

Nie było sensu pytania na głos. Parret precyzyjnie się bliżej Marka z ołówkiem i notesem w rękach i podniósł wzrok.

Mark uznał, że z takimi wąsami nie powinien udawać niewiniątka. Choć i bez tego wiedział, do czego jest zdolny. Nigel Parret nie był zwyczajnym reporterem – zarabiał na życie, rozpowszechniając najgorsze plotki.

– Mój drogi sir Marku! – Parret precyzyjnie się przed panią Farleigh, rzucając jej niezrozumiałe dla Marka spojrzenie. – Ileż to czasu minęło od naszej ostatniej rozmowy!

Rzeczywiście, już kilka tygodni Mark szczęśliwie nie spotkał go na swej drodze.

- Może opowie pan o swoich uczuciach?

- Jak najbardziej. Wystarczą trzy słowa.

Ołówek Parreta zawisł w gotowości nad notesem. Tylko od kaprysu reportera zależało, czy dziesięć tysięcy ludzi te słowa przeczyta.

- Odczep się pan.

- Ależ sir Marku, to takie nieuprzejme. Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

Mark wbił w niego wzrok.

- O czym to mówiliśmy? - zasepił się Parret.

Popatrzył po zebranych i odszukał spojrzenie pani Farleigh. Mark nie miał wątpliwości, że mógłby ją zrujnować znacznie łatwiej, niż jemu było zdecydować, czego naprawdę chce.

Wyobrażał sobie, że odprowadza ją z kościoła do domu. Oczywiście, wyobrażał sobie znacznie więcej. Ale bardziej niż poczuć dotyk jej dłoni, pragnął zobaczyć ją taką, jaka jest naprawdę, i to tak, by nie przyglądał się im cały Londyn.

- Ależ my wcale ze sobą nie mówiliśmy - odparł Mark lodowato. Uchylił przed zgromadzonymi kapelusza i pokręcił głową w stronę Parreta, unikając wzroku panny Farleigh.

Nie teraz, pomyślał. Może już nigdy.

Widział kątem oka, że zebrała się do odejścia. Tymczasem wokoło podniósł się

znowu gwar rozmów.

 Nie, rzekł do siebie z mocą. Nie zamierzał z niej zrezygnować bez walki.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jessica nie wstała jeszcze nazajutrz od śniadania, gdy służąca przyniosła wiadomość.

- Przyszedł do pani - szepnęła.

Dopiero po chwili Jessica zrozumiała, o kim mowa. Sir Mark pomimo obietnicy nie odprowadził jej po mszy. Po tym, jak spierali się przy wszystkich mieszkańcach Shepton Mallet i odkąd pojawił się Parret, Mark Turner jakby całkiem o niej zapomniał.

Serce zabiło jej mocniej. Czemu przychodził o tak wczesnej porze? Choć włosy miała wciąż rozpuszczone, nie trwonila czasu na fryzurę i wyszła do sieni jak stała.

Sir Mark czekał na nią, przyglądając się parze wystawionych figurek i jednej obtłuczonej skorupie, którą dostała od wówczas dziewięcioletniej siostry. Ten kawałek naczynia był jedyną pamiątką z domu.

- Sir Marku?

Popatrzył na nią i zamarł, nie przemówiwszy słowa. Po chwili pokręcił głową.

- To niesprawiedliwe. Przyszedłem cię przeprosić i wyciągnąć rękę na zgodę. Ale tego już za wiele. Nie sądzę, bym umiał ci

wybaczyć.

- Co takiego zrobiłam?

Potarł czoło.

- Nieistotne. Czy nie miałabyś ochoty na poranny spacer w moim towarzystwie?

- Sir Marku, czy muszę ci przypominać ostatnie słowa, jakie ze sobą zamieniliśmy? Dopiero wczoraj oświadczył pan przy niezliczonych świadkach, że chciałby mnie widzieć w alkowie. Teraz słyszę, że jestem odrażająca, i na dokładkę proponuje mi pan przechadzkę?

Spojrzał nad jej ramieniem.

- Na to wygląda - odparł ze wzruszeniem ramion.

- A zastanowił się pan przez chwilę, co ludzie pomyślą, jak nas po tym wszystkim zobaczą samych na spacerze?

- Nie zależy mi, żeby kogokolwiek spotkać. Pójdziemy taką drogą, że tylko krowy nas będą oglądać. - Westchnął. - Zaletą nieskazitelnej reputacji jest to, że nikt nie ośmieli się o tobie źle pomyśleć. Nawet kiedy sam masz o sobie jak najgorsze zdanie.

Opuścił wzrok na chwilę ku jej talii, ale szybko się opamiętał i znowu popatrzył jej w oczy.

- Ale to pytanie muszę zadać. Obcinałaś

kiedyś włosy?

Dziwaczna rozmowa zaczęła nabierać dla niej sensu.

- Nie - przyznała.

- Hm - mruknął tylko w odpowiedzi.

- Muszę się uczesać, założę buty i spencer.

- Tak - odparł nieobecny głosem.

- Wymknę się tylko oknem, jak będziesz czekał, i przyślę świnie w charakterze przyzwoitki.

- Aha?

- Zieje ogniem - wyjaśniła. - Ta świnia, nie ja.

Mark pokręcił głową.

- Przepraszam, co powiedziałaś?

- A gdybym zaprosiła cię do debaty i rozpuściła włosy, umiałbyś złożyć do kupy jedno sensowne zdanie?

Popatrzył boleśnie.

- A jak myślisz?

Cmoknęła ze współczuciem.

- Nie przejmuj się.

Kiedy jednak czekała w sypialni, aż służąca skończy upinać jej włosy, trudno było jej to wszystko zrozumieć. Sir Mark ją lubił, to jej nie dziwiło. Podobała się zwykle mężczyznom.

On jednak nie był taki jak inni. Ani trochę nie obojętny, ale mimo to odrzucał jej umizgi. Kto

inny by tak postąpił? Skoro nie chciał się z nią przepaść, to co w takim razie zamierzał? A jeśli chciał pójść z nią do łóżka, ale odmawiał tego sobie dla zachowania czystości, dlaczego wystawiał się na dalsze pokusy?

Kiedy schodziła do Marka po schodach, nie знаła jeszcze żadnej odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Od niego też nie usłyszała wyjaśnień. Poprowadził ją tylko dróżką z dala od rzeki. Kiedy wytężyła słuch, ze schodów swojej chaty słyszała daleki stukot przędzalni. Wkrótce jednak znikł wśród szelestu liści, ptasiego świergotu i brzęczenia owadów.

Weszli na wzgórze, poprzez przełaz i pastwisko, gdzie purpurowe osty chrzęściły pod jej butami. Mark prowadził ją szlakiem, który widział tylko on. Ze wzgórza, kładką przez potok, i znowu na łagodne zbocze.

- Wiesz, gdzie idziemy? - zapytała, zeskakując z czwartego przełazu.

- Do Mniszego Pieca. To już naprawdę niedaleko.

- To miało brzmieć groźnie czy smakowicie?

Przechodzili przez krowie pastwisko, opadające i znowu wznoszące się do góry.

- Ani to, ani to - odpowiedział wreszcie. - Te krowy mają najpiękniejszy widok w całym hrabstwie.

Kilka minut później znów się wspinali. Minęli kilka gładów, które się złociły w porannym słońcu, potem jeszcze kilka. Trawa oddawała pole skałom, a te nagle urwały się w przepaść. Mieli pod sobą rozległą dolinę; Jessica złapała oddech. Gdzieś w oddali lśniła błękitna wstęga rzeki.

Poranna mgła snuła się jeszcze dnem doliny i zieleń trawy majaczyła tam ledwie. Pośrodku, z oparu, wyrastał trawiasty kopiec. Na szczycie stała kamienna wieża.

- To Glastonbury Tor - oznajmił Mark z za jej pleców.

Nie miała pojęcia, co to oznacza. Z doliny porwał się wiatr, załopotał sukienką i wysupłał na wolność kosmyk jej włosów.

- O czym myślisz? - zapytał Mark.

- Zastanawiam się, dlaczego ją wzniesiono. To wieża obronna? A może miejsce czci?

- Powiadają - odrzekł, stając przy niej - że w Glastonbury spoczywa król Artur.

- Naprawdę? - popatrzyła po nim.

- O tak. Królowa Ginewra zmarła w Amesbury. Ponoć przy pełni księżyca drogę z Shepton Mallet do Glastonbury rozświetlają pochodnie jej żałobnego konduktu. - Wyciągnął rękę, kreśląc szlak zjaw.

- Nieprawda!

- Kiedyś wymknęliśmy się tu z bratem nocą, żeby popatrzeć. Ale zasnęliśmy. - Uśmiechnął się zadziornie. - Pewnie właśnie wtedy nas minął.

Jessica ostatnie lata prawie nie opuszczała Londynu. I wcale nie myślała, jakie to współczesne miasto. Minęły zaledwie dwa wieki od pożaru, który strawił je po fundamenty - londyńskie domy były bardzo nowoczesne. Tutaj czuła się jak w pradawnym miejscu, tu każdy kamień spoczywał niezmiennie od tysiąca lat. Bitewne pola leżały odłogiem, potem znowu się zazieleniły, a to wszystko wiele wieków, zanim wybudowano w mieście jej dom. Wrażenie było może nie magiczne, ale zdecydowanie mistyczne.

- Mawiają też, że jeśli widać Glastonbury Tor, to będzie padało.

Tego ranka nagrzane kamienie wieżycy wyróżniały się z niezwykłą ostrością. Jessica nie chciała nawet myśleć o deszczu w tak cudny dzień.

- Jaka szkoda - szepnęła. - A jeśli jej nie widać?

- To znaczy - odparł - że już pada.

Wybuchła śmiechem.

- Łotr z ciebie.

- Racja. - Przez moment wpatrywał się

w wieżę; pokręcił głową. - Ginewra powinna była wytrwać dla Lancelota.

- Słucham?

- Za wcześnie wyszła za mąż. Nie pragnęła Artura, tylko jeszcze tego nie wiedziała. Wydawał się sensowną partią: król Brytanii, z wielką armią, z najdłuższym mieczem; więc sobie pomyślała: „Król się chyba nada”. A powinna była poczekać na Lancelota.

- Ale z kim by się wtedy ożenił Artur? - zapytała i naszykowała się na cierpką odpowiedź, jak na przykład: „z kobietą wierną”. Mark zamyślił się jednak, zapatrzył w mglistą dal doliny i odrzekł w końcu:

- Z Panią Jeziora. Gdybym był nim, to jej bym właśnie pragnął.

- Ale Pani Jeziora nie była kobietą spośród ludzi!

- Niech sobie pani wyobrazi, że jest mężczyzną, królem, i musi wybrać królową. Masz, pani, do wyboru piękną kobietę - i sympatyczną, trzeba dodać - która będzie cię szanować i lękać się twojej potęgi. Oraz inną kobietę, która sama jest trochę przerażająca, za to podarowała ci starożytny miecz i dzięki niej już jesteś silniejsza. W głębi duszy cenisz jej potęgę, ale i obawiasz się, czy nie przewyższa twojej. Kogo byś wybrała?

- Każdy mężczyzna wybrałby tę pierwszą - piękną i uległą. Żaden nie chce kobiety, która go przewyższa.

- Taki mężczyzna, który znalazł w sobie siłę nieopartą na niepewnej opinii innych, nie musi niczego udowadniać. Znałem wstrętnych mężczyzn, którzy brali sobie wstrętne żony, bo wierzyli w ich wierność. - Wzruszył ramionami. - Ja zawsze pragnąłem poślubić piękną kobietę.

Roześmiała się.

- Bo sam jesteś taki piękny?

- Dlatego że chcę zdobyć jej miłość, zawojować umysł i duszę. - Zamilkł. - Oraz ciało. Wyczekuję chwili, kiedy zdobędę jej ciało.

- To dlatego jeszcze się nie ożeniłeś? Bo żadna nie jest dość dobra dla wspaniałego sir Marka? Przyznałeś się do grzechu pychy. Czy to jej następna odsłona?

- Raczej nie.

- Raczej nie. - Uśmiechnęła się, odeszła kilka kroków i odwróciła do niego. - Nie rozumiem cię. Pragniesz. Pożadasz. I wierzysz w zachowanie czystości. Ale to przecież tak łatwo pogodzić. Znajdź taką, która ci się podoba, ożeń się i zaspokajaj żądze ku ucieście serca.

- Już o tym myślałem, nawet nieraz. -
Wzruszył ramionami i popatrzył w bok. - I to dość szczegółowo. Szybki ślub na kilka miesięcy dałby mi wytchnienie. Na kilka miesięcy, może nawet parę lat. Ale żonę pojmuje się na całe życie, a czystość oznacza też wierność.

- Dla kogoś o twoim temperamencie to chyba nie byłby problem?

Mark wzruszył ramionami.

- Jesteś pewna? Wyobraź sobie, że wybiorę kobietę, którą gotów byłbym zaledwie zaakceptować. I pomyśl, że dwa lata później spotkam taką, jakiej zawsze pragnąłem - mądrą, dobrą i piękną. Taką, przy której będę jeszcze lepszym człowiekiem. Która mogłaby żartować z mojej dumy, a mimo to nadal mnie kochać.

Popatrzył jej prosto w oczy.

- Spotykam ją, a jestem na zawsze związany z tą, na którą wcześniej się zgodziłem. Chcę mieć żonę, którą mogę kochać, pani Farleigh. Której chcę być wierny nie dlatego, że tak należy, a dlatego, że żadna inna mi jej nie może zastąpić. Nie zależy mi na tym, żeby się ze sobą zmagać ani mieć żal do żony. A więc czekam.

- A co chcesz zrobić ze mną? - spytała

i cofnęła się o krok przed jego wzrokiem.

Poślizgnęła się na wilgotnym kamieniu, a on wyciągnął do niej rękę. Była przekonana, że chciał ją tylko podtrzymać, ale odruchowo odsunęła się i całkiem straciła równowagę. Upadła, uderzając boleśnie rękami o kamienie.

- Czy nic ci się nie stało?

Przyjrzała się rękawiczkom, nie podnosząc na niego wzroku. Żwir rozdarł materiał, podrapał jej dłonie.

- Ucierpiała tylko moja duma - odparła.

Chciał podać jej rękę, ale zmienił zdanie i zamiast tego przykucnął obok.

- Posłuchaj - rzekł cicho - nie chcę ci zrobić niczego. Chciałbym, żebyś mi uwierzyła.

- Tylko...

- Nie. Nie chcę cię zniewolić. Nie chcę zawłaszczyć. A w tej chwili chcę tylko wiedzieć, czy nie zrobiłaś sobie nic złego.

Wzięła głęboki oddech, wpatrując się w ziemię. Potem jednak, choć z ociąganiem, pokazała Markowi dłonie. Nie próbował ich chwycić, a Jessica ze wstydem uświadomiła sobie, że jest mu za to wdzięczna. Oczyszczył palcem rozdarcie rękawiczki, zbierając grudki żwiru, które wbiły się jej w skórę.

- Nawet nie ma krwi - tłumaczyła się.

- Nie ma.

Podniosła wzrok i ich oczy się spotkały. Nie mogła go zrozumieć, a co gorsza, nie mogła nawet zrozumieć siebie.

- Poluję dla przyjemności podchodów, a nie żeby zabić - rzekł. - Bo naprawdę cię lubię. W Londynie każdy mój krok śledzą tłumy plotkarzy i szpiegów. Jeśli porozmawiam z kobietą, relacje są nazajutrz w gazetach. Jeśli porozmawiam z nią drugi raz, ludzie zaczynają się zakładać. Strach nawet myśleć, co by się wydarzyło po trzeciej rozmowie.

Westchnął i oparł się o głaz.

- Zamierzam czekać na tę właściwą. Ale brakuje mi towarzystwa kobiet, i to nie jest żaden eufemizm. Naprawdę lubię kobiety. Lubię ciebie.

- Ale prócz mnie jest naprawdę wiele innych.

- Zdążyłem już zauważyć. To właśnie jest w Londynie najgorsze. Nie mogę sobie pozwolić nawet na najbardziej niewinne zainteresowanie. A jak inaczej mogę się dowiedzieć, czy spotkałem tę jedyną? Ale natychmiast zaczynają się domysły, że wkrótce będzie ślub. Jeśli okaże się, że nie jesteśmy sobie pisani, ona będzie publicznie upokorzona! Wystarczą trzy tańce w ciągu dwóch tygodni i plotek nic nie jest w stanie powstrzymać. A ja nie mogę zdecydować się

na ślub po tylko trzech tańcach!

Jessica czuła szybki puls na nadgarstku, nad którym zawisła jego dłoń.

- A teraz jest tu reporter - zauważyła nieśmiało.

- Pozbędę się go - odrzekł, wpatrując się w dal.

Skinęła bez słowa.

- Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Potrzebuję więcej niż trzech tańców. A ty jesteś doskonała. - Przesunął palcami po jej dłoni, po zgięciach palców i opuszkach. - Nie sprowadzę cię na złą drogę, skoro mnie i tak nienawidzisz.

Uśmiechnął się, a Jessica wstrzymała oddech.

Miała do siebie żal, że nie odpowiedziała na jego dotyk tak, jak wymagałoby wyrachowanie. Miała go uwieść, a mimo to niełatwo jej było znieść nawet tak niewinne dotknięcie. Długie miesiące spędziła w mroku, ale teraz coś w niej odżywało. Czuła ledwie dostrzegalny trzepot w brzuchu i wiedziała, że to odzywa się jej prawdziwy głos. To był oczekiwany promyk słońca na twarzy, przecucie szczerego zauroczenia, jakiego nie doznała od lat. Powoli, z przekonaniem, przycisnęła dłoń do jego dłoni.

Poczekwała, aż zaleje ją łęk, i znalazła zimne źródło sprzeciwu. Pozwoliła Westonowi, by miał ją na własność, choć od dawna nie miała już dla niego miejsca w sercu. Dlatego nawet zwyczajny dotyk przejmował ją bólem. Teraz mogła nareszcie dopuścić do siebie niewinną namiętność.

Mark wstrzymał oddech, gdy splotły się ich ręce.

- Wcale cię nie nienawidzę.

- O raju! - rzekł cicho. Pogładził kciukiem nadgarstek Jessiki. - Dobry Boże...

Przyciągnął ją delikatnie ku sobie. Popatrzyła mu w oczy, poczuła jego oddech na twarzy.

- Sir Marku! - szepnęła drżąco.

Dotknął ustami jej warg.

Pocałunek nie był przesadnie namiętny, ostentacyjny. Musnął zaledwie jej usta wargami, oddechem, ale bez śladu wahania.

Jessicę całowano tyle razy, że nie mogła spamiętać. Myślała, że mowę pocałunków zna jak żadna inna. Musiało tak być, skoro istniało zaledwie kilka możliwości. Były propozycją albo jej przyjęciem, zaproszeniem do transakcji lub, wyjątkowo, jej zwieńczeniem. Pocałunki były, jak pieniądze, symbolem posiadania.

A w każdym razie tak było dotąd.

Mark nie brał jej w pocałunku na własność. Całował czule, trzymał za rękę, a Jessica nie wiedziała, co o tym myśleć. Nie wiedziała nawet, kim się sama stawała, kiedy zalewał ją strach i pragnienie namiętności, dotąd wytrwale tłumione.

Mark uniósł głowę, spotkały się ich spojrzenia. Nie przeproszał, nie obiecywał nic. Inny by może próbował żartować, udawać, że to nie miało znaczenia. On odetchnął głęboko i zdjął palce z jej dłoni.

- Mówiłem przecież, że cię lubię.

Jego słowa pozostały w cichym powietrzu, Jessica miała wrażenie, że wdycha je z każdym oddechem.

Może rzeczywiście o tym mówił ten pocałunek? Może nie była to transakcja, akt własności, ale wyraz zwyczajnego czystego uczucia? Jessica nie była dotąd całowana z uczuciem i bezwiednie dotknęła ust palcami, jakby się musiała upewnić, że ma w nich władzę. Wrażenie trwało w niej nadal, nieznanym, ale radosnym.

Lubiła go.

Uznała, że to źle. Wiedziała, że może się to dla niej źle skończyć. Mimo to nie była pewna, co zrobić z tym uczuciem - zadusić je, a może

pozwoić mu rozkwitnąć? Dotąd myślała tylko, na czym jemu zależy, a siebie nie brała wcale pod uwagę.

Popatrzyła na Glastonbury Tor. Słońce i wiatr rozgoniły już prawie całą mgłę. Wzgórze błyszczało w promieniach, tylko na dnie doliny płożyły się strzępy cienia. Podobno zwiastowało to deszcz.

Jessica nie musiała przepowiadać z ludowych mądrości. Padało zawsze.

- A co byś zrobił, sir Marku, gdybyś poznał swoją Ginewrę, a ona już była przyrzeczona innemu?

Milczał tak długo, aż spojrzała przez ramię, czy doszły go te słowa. Zajrzał jej w oczy. Dotąd były niebieskie, a teraz zdawały się szare jak kamień.

- Wcale się tym nie martwię - odparł cicho. - Nie martwię się tym ani trochę.

Kiedy zegar wieczorem wybił jedenastą, Jessica leżała w pośłaniu, okryta tylko lnianą koszulą.

Dawno już nie czuła pożądania. Nie dbała o to, żądza była narzędziem, które pozwalało przetrwać, kolejną sztuką w jej arsenale. Za opłatą umiała się wznieść na wyżyny monotonnej gry.

Przez ostatnie siedem lat naginała pragnienia do woli tych, którzy jej za to płacili. Od lat nie czuła intymnej reakcji.

To, że się teraz poddała, było całkiem nierozsądne. Czym innym było kusić jego, czym innym samą siebie, skłonić serce i zmysły nie do uwodzenia, ale skupienia na nim. Bez końca wracała do chwili, kiedy popatrzył jej w oczy i rzekł - dobry Boże! Przeżywała na nowo dotyk jego warg, ale na tym wyobraźnia nie umiała poprzestać. Pocałunek to było za mało.

Chciała jeszcze, i jeszcze znowu. Chciała czuć jego dłonie na sobie całej, a nie tylko skromny dotyk dwóch dłoni.

Pragnęła rozwiać chłód lęku i wlać w jego miejsce żar wzajemnych uczuć. Kreśliła w myśli jego nagie ciało, czerpiąc natchnienie z muskulatury ramienia, które miała przez chwilę pod palcami. Był szczupły i umięśniony, mocno zbudowany. Zamknęła oczy, przebiegł ją gorący dreszcz. Miała na sobie jego płaszcz i wiedziała, że nie zawdzięczał szerokich ramion krojowi.

Na myśl o płaszczu ogarnęło ją wspomnienie zapachu i okryło jak ciepły koc w chłodzie wieczoru. Męskiego zapachu wymieszanego z solą i krochmalem, bez żadnych pachnideł.

Sama woń jego skóry, subtelna, przejmująca i pociągająca, nieokreślona, gdzieś w przestrzeni pomiędzy słonecznym popołudniem i czystą zimną wodą górskiego źródła.

Nie dotykała go w wyobraźni, nie musiała. Jego rozkosz nie stawiała się na pierwszym miejscu. To on myślał o niej, dotykał jej, pieścił ją i opiekował się nią. Choć przeżywała jedynie sen na jawie, pragnęła go naprawdę. Minęło tyle czasu, odkąd pragnęła czegokolwiek, a co dopiero jakiegokolwiek mężczyzny.

Pozwoliła sobie pragnąć go w bezpiecznej sypialni, bez zbędnych myśli, kalkulacji, wyrachowanego dotyku. Tylko dla samej siebie.

Westchnęła, a nocne powietrze schłodziło jej wargi. Postać z fantazji nie mogła jej dotknąć, więc musiała się zadowolić własnym dotykiem. Odzyskała swoje ciało tam, gdzie przestało już należeć do niej, na nowo odkryła swoje piersi i uda.

Przyjemność była tylko jej, nie musiała jej z nikim dzielić. To było jej pragnienie, jej namiętność. Nikt inny się nie liczył. Nikogo nie trzeba było zaspokajać, dla nikogo udawać podniecenia, w nikim nie rozpalać żądz.

Wstrząsnęło ją spełnienie. Popłynęły przez

nią fale ekstazy, potężniejsze niż samo zaspokojenie fizyczne. Prawie się rozpląkała z radości.

Jej własnej radości.

Znowu należała do siebie, miała swoje ciało i duszę, rozkosz i ból. Po długich latach gorzkiego zawłaszczenia jej ciało znów było tylko jej.

Należała do samej siebie.

Zaczerpnęła drżąco powietrza i otworzyła oczy na otaczający mrok.

Pomyślała o Marku i odetchnęła głęboko.

- Dobry Boże... - wyszeptała.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Osoba stojąca na progu nie była nawet w części tak atrakcyjna, jak ta, którą Mark powitał tu w ulewie parę dni wcześniej.

Dochodziła pora kolacji, ale słońce stało jeszcze wysoko; było lato. Mężczyzna miał na sobie znoszoną wełnianą marynarkę nie pierwszej czystości. Ogorzałą, pomarszczoną twarz znaczyły plamy wątrobowe. Miał w rękach ciemny kapelusz i odwracał wzrok, kiedy Mark na niego spoglądał.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytał.

Nieoczekiwany gość roztaczał woń potu - ale nie tę, która ciągnęła się za londyńskimi włóczęgami, ale znacznie mniej drażniący zapach robotnika nieznającego chwili odpoczynku.

Wielkie dłonie ścisnęły miękki filc.

- Chciałem, panie... Widzicie, sir, my z żoną nie zwykliśmy do jałmużny. Mógłbym jeno podziękować, ale...

Z wymowy i niepewnego spojrzenia Mark wywiódł, że nie ma do czynienia z mdłą wdzięcznością, z jaką zwykł był obcować wśród zamożnych miejskich wielbicieli.

Próbował przypomnieć sobie jego twarz. W zakamarkach pamięci szukał tego mężczyzny, gdy jeszcze był w sile wieku. Jeśli jednak nie wiek, to jego mgliste wspomnienia z dzieciństwa całkiem zatarły tę twarz.

- Nie ma mi pan za co dziękować - odrzekł. - Zapewniam, że wszyscy już o tym zapomnieli.

On jednak pokręcił głową.

- Jak miałbym zapomnieć o dobroci waszej matki? To by była hańba. Byliśmy z Judy i dziećmi całkiem sami... Jeśli się nie odpłacę, do grobu spokoju nie zaznam ze wstydu.

Wstyd - to uczucie towarzyszyło Markowi zawsze na myśl o matce. Na jej niekończące się tyrady wieśniacy patrzyli zawsze po sobie, tłumiąc śmiech.

Odstąpił od drzwi.

- Proszę wejść.

- Nie chciałem was nachodzić...

- Zapraszam. Będę zaszczycony, jeśli przyjmie pan moją gościnę.

Z wielu względów, pomimo piedestałów, na jakie bywał wynoszony, swobodniej się czuł w towarzystwie tego robotnika niż przy pastorze. Mężczyzna szedł za nim korytarzem, a Mark dojrzał kątem oka, że utyka lekko - nie na tyle, by nazwać go ułomnym ani nawet kulawym, jakby odżywała

się dawna rana.

Nie zaprotestował, kiedy Mark nastawił imbryk na herbatę ani kiedy podał zwyczajny chleb z powidłami. Nie pytał, dlaczego nie ma służby. Mimo zamożności najwcześniejsze wspomnienie Mark miał z mycia podłóg, podczas gdy jego siostra zmywała naczynia. W posiadłości brata musiał walczyć z pokusą, by samemu się sobą zajmować - czy chodziło o przyniesienie papeterii, czy ściągnięcie płaszcza - zamiast wołać do wszystkiego lokaja.

- Pracuję przy owcach Bowsera - zagaił mężczyzna. - A moja żona to pani Judith Taunton.

- Taunton - powtórzył Mark. - Pamiętam to nazwisko.

To było mgliste wspomnienie jakiegoś pokoju we wsi. Pamiętał młodą kobietę z dwójką małych dzieci. Matka ją odwiedzała i zabierała go ze sobą. Zawsze z nią tam szedł.

- To było całe lata temu. Wiele lat.

- No - zgodził się Taunton i popatrzył mu w oczy. - To było pewnie, zanim wróciłem z deportacji. Nie wiem, jak by sobie Judy poradziła, gdyby nie wasza matka.

- Rozumiem.

- Tak - przyznał Taunton surowo. - Byłem

jednym z podżegaczy.

Rozłożył ramiona.

- Spaliłem razem z innymi zakład, jak sprowadzili maszyny i co drugiego zwolnili. - Spojrzał na Marka i się zaczerwienił. Zapewne sobie przypominał, że zakład należał do jego ojca. - Sąd mnie skazał na roboty, a dzięki waszej matce moi chłopcy nie głodowali. Potem kupiła mi bilet do domu, jak już odpracowałem swoje. Znalazła mi pracę i wpłaciła kaucję, jak nie chcieli mieć u siebie skazańca.

- Może i tak - odparł Mark poważnie - ale to chyba mój ojciec pana zwolnił. Więc jesteśmy kwita.

Wiedział, że matka by się z nim zgodziła. Była szalona, ale mimo to działała z niezwykłą precyzją. Sprzedała wszystko, co należało do rodziny, i oddała ubogim. Ale nie była to dla niej dobroczynność - uważała, że oddaje majątek prawowitym właścicielom.

- Proszę o wybaczenie, sir - odparł Taunton - ale się nie mogę zgodzić. Jestem waszym wielkim dłużnikiem.

Potarł czoło.

- Nie chcę się z wami spierać. Mam tę sukę, a to najlepszy pies pasterski w całym Somerset. Jest ze Szkocji. - Oczy mu

błyszczą. - No i parę miesięcy temu była w rui. Wszyscy chcą mieć jej szczeniaka, a jest ich pięć. Mają już siedem tygodni. Cztery już obiecałem, ale ostatniego trzymam, bo...

Rozłożył palce z czarnymi od smaru paznokciami.

- Sir Marku, czy nie chciałby pan może szczeniaka? Byłbym szczęśliwy, gdyby jeden z psiaków Daisy trafił do syna Elizabeth Turner.

Marka ścisnęło coś w gardle. Bogatsi mieszkańcy - fabrykanci i właściciele ziemscy - zaoferowali mu tylko kilka posiłków przy swoich stołach. A nawet to nie było za darmo. Chcieli wymieniać plotki i chełpić się jego wizytą.

Mark zaś wiedział dobrze, ile dla tych ludzi znaczy dobry pies. To nie tylko pomocnik, ale towarzysz i przyjaciel, który odmienia ciężki los. Czuł się niemal, jakby Taunton chciał mu oddać pierworodnego.

- Panie Taunton, przyjechałem do Shepton Mallet, by mieć czas do namysłu. Widzi pan, zaproponowano mi posadę w Komisji Praw Najuboższych.

Mimo brudnego ubrania Taunton pokiwał głową z całą godnością mędrca.

- To... wielki zaszczyt - odparł.

- Czyli uważa pan komisję za utrapienie. -
Mark się zadumał. - Nie jestem orędownikiem
tych praw, a komisja stworzyła administrację
gorszą niż parlament. Bynajmniej nie pragnę
zajmować się szczegółowymi wytycznymi
wydawania owsianki w domach pracy.

Taunton bębnił palcami w kolano.

- A może uprzętnie pan ten galimatias?
Bywa, że starczy jednego człowieka.

- I tylko dlatego nie odrzuciłem z miejsca tej
oferty.

Poważni ludzie uwierzyliby mu, gdyby
oznajmił, że system się sypie. Mógł wiele
zmienić. Opatrzność obdarzyła go
popularnością i Mark uważał, że jest
zobowiązany wykorzystać ją w zbożnym celu.
Wolałby tylko, żeby nie okazało się to pracą
Szyzyfa.

- Tylko widzi pan, jeśli przyjmę tę posadę,
będę bez końca w podróży. Nie będę miał
gdzie trzymać psa. Szczęnię Daisy na pewno
zasługuje na lepszy los.

Spojrzenie Tauntona zmętniało.

- Oczywiście - mruknął. - Pan idzie
w najlepsze salony. To nie miejsce dla
brudnego kundla. Może się do czego innego
przydam.

Choć Mark nie był przekonany do matczynej

dobroczynności, Taunton nie żywił najmniejszych wątpliwości. Równie ciężko byłoby Markowi uciąć mu dłoń, co odmówić jego propozycji.

- Mój brat - podjął - mój starszy brat jednak na pewno nie zamknąłby zwierzęcia w ciasnym londyńskim domu. A wiem dobrze, że lubi mieć przy sobie szlachetnego psa. Nie dalej jak wczoraj myślałem, żeby mu sprawić jednego.

Taunton wyraźnie zaczął się rozchmurzać.

- Jestem wręcz pewien, że by się ogromnie ucieszył. A pies byłby z nim szczęśliwy.

Robotnik uśmiechał się już szeroko.

- Musi jeszcze parę dni pobyć z matką - odrzekł - ale co racja, to racja. Dobrze mu będzie w posiadłości Parfordów.

- Prawdę powiedziawszy... - zaczął Mark, ale uznał, że nie musi wyjaśniać, którego z braci miał na myśli. - Prawdę powiedziawszy, w najbliższych dniach i tak go nie odwiedzę, więc to żaden problem. Dziękuję. Nie ma pan pojęcia, jaką przyjemność sprawi bratu.

Taunton skinął.

- To niewiele, sir Marku. Te wszystkie lata żałowałem, że nie zrobiłem więcej. W sprawie waszej siostry i pana, i jego braci. Po powrocie widziałem, co się święci, ale się bałem o tym mówić.

Mark znieruchomiał. Nie chciał choćby drgnieniem powieki zdradzić, że te słowa jakkolwiek go poruszyły.

- Tylko jedna osoba mogłaby powstrzymać taką krzywdę. A była to Elizabeth Turner.

Mark zdobył się na przytaknięcie.

- Zawsze uważałem, że to co się stało z panem i braćmi, kiedy odeszła, to był jej sposób, żeby o was zadbać.

- Tak - zgodził się Mark, choć zdawało mu się, że ogląda tę rozmowę z wielkiej odległości. - Myślę, że mogło tak być.

Po tych słowach zapadło ciężkie milczenie i Taunton się pożegnał.

Kiedy wyszedł, Mark skulił się w fotelu. Zdawało mu się czasem, że on jeden spośród braci widział, kim matka była naprawdę. Zawsze surowa i szczerą. Pobożna. Jeszcze zanim popadła w szaleństwo, brakowało jej równowagi we wszystkim, co robiła. Zawsze popadała w przesadę. Nawet dla dzieci wybrała znaczące imiona.

Widziała bardzo dużo cierpienia i uważała za swój obowiązek, żeby przynosić ulgę. Widziała też wiele grzechów i walczyła z nimi żarliwie. Mark ojca nie pamiętał wcale, zaś matkę aż za dobrze.

Pozwoliła, żeby jego starsza siostra Hope -

Nadzieja - marniała zaniedbywana. Ash - Proch - był bez końca bity, a Smite - Zagłada - zamykany w piwnicy na Bóg jeden wie jak długo.

Ale Marka - Znak - oszczędziła. Nie uznała za konieczne wypędzać diabła z jego duszy. Powiedziała mu kiedyś, że nie musiała, bo on jeden był jej synem, a nie jego ojca. Widziała w Marku siebie, uosabiała się z nim z taką samą niezdrową zaciętością, jaka później doprowadziła ją do obłądu. Mark zawsze o tym pamiętał i być może dlatego stał się tym, kim był. Pragnął pokazać, że najlepsze cechy matki, jej współczucie, życzliwość i dobroć mogą iść w parze ze spokojem ducha. Chciał udowodnić, że dobro niekoniecznie prowadzi do szaleństwa.

A wizja poświęcenia się „prawom najuboższych” wytrącała go z równowagi i odbierała mu spokój. Może i było to dobre. Może szlachetne. Ale wzbraniał się przed tym.

Wrócił do Shepton Mallet, żeby na nowo się odnaleźć, a zamiast tego poznał panią Farleigh. Mark uśmiechnął się na myśl o jej ciepłych palcach szukających miejsca w jego dłoni. Pamiętał miękki dotyk jej ust i byłby się nawet zastanawiał, co sobie myślał, całując ją - gdyby nie było oczywiste, że wcale wtedy nie

myślał.

Teraz nie pragnął poświęcić się czynieniu dobra. Pragnął jej.

Londyn, komisja i szmatławe kroniki towarzyskie całego kraju mogły jeszcze tydzień zaczekać.

Okazało się, że Londyn miał inne zdanie.

Trzy dni później Mark kierował się na rynek, żeby dostarczyć kolejny pakiet listów do wysłania. W drodze zatrzymał go znajomy głos.

- Sir Marku!

Parret był ostatnią osobą, którą Mark pragnąłby teraz widzieć. Tymczasem nie kto inny gonił za nim, stukając obcasami o bruk, przytrzymując ręką kapelusz na łysinie. Koślawy bieg Parreta przypominał przyspieszoną karykaturę gawota.

- Sir Marku, miałem nadzieję... Tutaj, na wsi, możemy się czuć całkiem prywatnie.

Parret zatrzymał się tuż przed nim, pod Krzyżem Targowym. Sapał, wyrzucając słowa urywanym potokiem.

- Istotnie - zgodził się sardonicznie Mark, rozglądając się po pełnym rynku.

Parret wyraźnie wziął to za dobrą monetę. Zdjął cylinder, odkrywając misterną pożyczkę

uwitą z kilku rzadkich pasemek. Osuszył czoło chustką poźółkłą, bardzo wątpliwej świeżości.

- Czy byłby pan łaskaw zgodzić się na wywiad?

Nigel Parret był natrętny prawdziwie nieugiętą natarczywością. Mark mógłby go nawet podziwiać - lub przynajmniej mu współczuć - gdyby ten nie wydawał artykułów, które wręcz groteskowo potrafiły naruszać jego prywatność. Pewnego razu na przykład Parret przekopał się przez porcję odpadków i opublikował szczegółowy raport, wnioskując, że sir Mark nad wołowinę przedkłada udziec jagnięcy.

Co więcej, była to nawet prawda... dopóki przez dwa tygodnie nie karmiono go wyłącznie jagnięciną.

Nie był to jednak wcale najgorszy grzech Parreta. Trzy miesiące wcześniej Mark zatańczył jeden jedyny raz z lady Eugenią Fitzhaven. Było to uroczę dziewczę, a z jej ojcem łączyła go przyjaźń. Taniec miał miejsce przed kolacją, więc towarzyszył jej też przy stole. Setka mężczyzn tego wieczoru podobnie towarzyszyła setce dam i ani się o tym ktokolwiek zająknął. Ale Mark do tej setki nie należał. Był w końcu sir Markiem.

Co prawda, widział blask jej oczu i rumieńce,

zdawał sobie sprawę, że była przy nim wyjątkowo milcząca. Nie było w jego mocy kontrolowanie rozbudzonej wyobraźni dorastających panienek. Starał się nie dolewać oliwy do ognia. Dziewczęce główki szybko wietrzały z amorów wobec chłodnego dystansu. Łatwo było znaleźć obiekt, który lepiej doceniał taką żarliwość.

Nigel Parret dotarł jednak do lady Eugonii, zanim się jej uczucia odmieniły. A ona zdradziła mu szczegóły dziecinnego planu, który miał jej zdobyć miłość niechętnego wybranka i zakładał przede wszystkim bajeczne kreacje i olśniewanie urodą. Opowiedziała nawet, ile zamierza mieć z nim dzieci, kiedy już ją poślubi. Mark wciąż jeszcze zgrzytał zębami, kiedy o tym myślał.

Parret opublikował jej dziecięce marzenia na pierwszej stronie. Reputacja Marka w niczym nie ucierpiała, bo artykuł nie rzucał na niego choćby cienia podejrzeń.

Nie ma mocy, która byłaby zdolna odebrać dziecku marzenia. O ile nie zostaną publicznie ujawnione na pośmiewisko całego miasta.

Lady Eugonia stała się ofiarą powszechnego okrucieństwa; Nigel Parret zbił fortunę na sprzedaży gazety. A Mark przestał się zadawać z młodymi dziewczętami, które zbyt

łatwo ulegają przelotnym fascynacjom.

Nigel Parret wpatrywał się w Marka jak wygłodniały lis. Mark mógłby niemal przysiąc, że mignęły mu w jego oczach szpalty. Kto wie, może tym razem planował zbadać stos drewna na opał? Mark wolał nawet nie myśleć, jakie plugastwa gotów by napisać o pani Farleigh.

- Jeden wywiad, króciusięki - przymilał się Parret, przemocą wykrzywiając usta w życzliwy uśmiech. - Tylko parę pytań...

- Nie ma mowy. W kolejce do wywiadu jesteś pan u mnie zawsze na samiuteńkim końcu.

Parret pokiwał głową, jakby wcale go Mark nie obraził, i zaczął gryzmolić w naprędcie wyciągniętym notesie.

Mark patrzył z rosnącym niepokojem na szaleńczy taniec ołówka. Parret miał wyraźne pismo i Mark w lot odcyfrowywał zapiski reportera.

„Wasz korespondent spotkał się z sir Markiem w jego rodzinnym Shepton Mallet” - notował w oszaleńcującym tempie. - „Widząc swego drogiego przyjaciela (bo, moi drodzy, mam powody wierzyć w jego przyjaźń), sir Mark powitał mnie wylewnie, nie szczędząc superlatywów”.

- Nic podobnego! - zaprotestował Mark.

- Na samiuteńkim końcu - odparł wszem

wobec Parret. – Można by to uznać za swoisty superlatyw.

Podjął pisanie.

„Jak zwykle pogodny i skromny, starał się umniejszyć komplementy, którymi go ze szczerego serca obsypałem”.

Dość tego! – denerwował się Mark. Każde jego słowo było wodą na młyn pismaka. Skrzyżował ramiona i zadumał się, jak by tu jednoznacznie posłać Parreta do diabła, żeby ten nie odesłał go z powrotem.

Parret patrzył na niego z przekrzywioną głową, jakby czekał dalszych komentarzy.

Mark zacisnęła usta i zabębnił palcami po ramieniu.

„Swoją uprzejmą wizytą tak mu się przysłużyłem, że z wdzięczności prawie zaniemówił. Mimo to zgodził się udzielić mi na wyłączność wywiadu – który pozwolę sobie wam zreferować”.

– Na nic się nie zgodziłem – wycedził Mark przez zaciśnięte zęby.

Głowa Parreta zakołysała się jak korek na wodzie.

– Jestem tu i rozmawiam z panem, pod nieobecność innych reporterów. A to chyba zakłada pewną dozę wyłączności.

Mark pokręcił głową, odwrócił się i zaczął

ić. Parret, oczywiście, poszedł za nim.

- Wymiana myśli - ciągnął - to takie pasjonujące zagadnienie. Mogę wyczytać odpowiedź z twego kręcenia głową, sir. Z uniesienia podbródka. A dopóki nie użyję cudzysłowu i nie będę pana oczerniał, nie może mnie pan powstrzymać.

Mark zmilczał, jeszcze bardziej wyciągając nogi.

Parret truchtał obok, dysząc ciężko.

- Jestem tu jedynym reporterem - podjął - choćby nawet jakieś przedsiębiorcze duszyczki chciały to podważyć. Wiesz przecież, sir, że to właśnie ja badałem niektóre ordynarne doniesienia na wasz temat i zdyskredytowałem je jako zazdrosne pomówienia. Gdyby nie moja nieugięta postawa, zeszłoroczny incydent z lady Grantham mógł zawładnąć wyobraźnią mas.

- Nie było żadnego incydentu z lady Grantham - odparł Mark. - Wszyscy dobrze o tym wiedzą. Nikt nie wierzy w te kłamstwa, które co poniektórzy starają się o mnie rozsiewać.

- Szczera prawda - zgodził się Parret. - Pochlebiam sobie jednak myślą, że i ja się do tego przyczyniam. Gdybyś tylko wiedział, panie, jakich to ja nie słyszałem opowieści

o tobie, a jakich niepopartych niczym potwarzy...

Pokręcił struchlały głową.

- Ale te słowne gierki, które słyszałem parę dni temu - dodał z nieśmiałą drwiną - to chyba nie były pomówienia?

Mark stanął jak wryty i odwrócił się do reportera.

- Pan mnie próbuje szantażować?

- Nie, nie! - zapewnił Parret i poskubał wąsy.

- No, chyba że by to poskutkowało.

Mark wzniósł oczy do nieba.

- Może pan to wziąć w cudzysłów: prędzej wydam duszę na potępienie, niż pomogę panu zarobić na mojej reputacji choćby szylinga.

- Dusza mnie nie interesuje. Chcę jedynie zwiększyć zyski.

Mark znowu spróbował zostawić namolnego człowieczka za sobą. Niedaleko był kościół i Mark widział przed nim grupkę wiernych. Wystarczyło pomachać, zawołać...

Tylko co dalej? - zastanowił się. - Dać im wysmarować Parreta smołą i wytarzać w pierzu? Aresztować go pod wyssanym z palca zarzutem? Obie propozycje wydawały się równie atrakcyjne, podobnie jak złapanie reportera za surdut i potrząsanie nim do znudzenia nad głową.

Aż się musiał otrząsnąć z tych brutalnych marzeń. Nie zamierzał się dać wyprowadzić z równowagi, szczególnie takiemu nędznikowi jak Parret.

- Jeśli ze mną nie pomówisz, sir, kto inny na pewno zechce - ciągnął dziennikarz. - Chętnie bym się czegoś dowiedział o tej kobiecie, z którą rozmawiałaś, panie. Nazywa się Farleigh, prawda? Mogłoby znowu być tak, jak z lady Eugenią...!

Nie za przyjemne były emocje, które opadły w tej chwili Marka. Prawie go zatkało, czuł się jak kawałek drewna na fali powodzi. Zanim się zdążył pohamować, zakręcił się niemal w miejscu, podstawił Parretowi nogę i kiedy ten mijał go, wymachując rękami, złapał go za ramię i kołnierz płaszcza i uniósł nad ziemię.

- Sir Marku - jęknął Parret, dyndając nogami w powietrzu. Mark wyobraził sobie, jak z lubością bije jego plecami o kamienną ścianę gospody. Myśl była rozkoszna - już prawie widział rozkwaszony nos natręta.

Zrobił dwa kroki w stronę pierwszego domu z brzegu.

Dość! Dość! - odezwał się głos rozsądku.

Mark jednak nie chciał słuchać. Niezawodny dotąd wewnętrzny spokój wymykał mu się coraz bardziej, był jak w transie. Zdzierał

kłyckie o wykręcone płótno.

Podniósł go jeszcze wyżej, a Parret wydał z siebie cieniutki pisk, który sprawił wielką satysfakcję jakiemuś mściwemu zakamarkowi duszy Marka. Parret próbował kopać i nagle Mark całkiem go puścił.

Rozległ się głośny plusk i chlusnęła woda, rosząc twarz Marka chłodnymi kroplami.

W mętnej wodzie, w końskim korycie, Parret pluł i tarł oczy. Przywiązany obok koń zaparskał, jakby składał zażalenie.

- Myli się pan - podkreślił Mark. - Mogę pana powstrzymać.

Ale słowom brakowało przekonania. Nie czuł się wcale jak zwycięzca, ogarnęło go przykre uczucie żalu i wstydu. Stracił nad sobą panowanie. Znowu!

Wizja bicia bezwładnym Parretem o ścianę trwała dalej jak niechciany, bezczelny gość. Nawet jego ramiona poddały się tej fantazji, odgrywając ją napięciem mięśni.

Parretowi zabrakło słów.

Nie pierwszy raz Mark przekroczył granicę dzielącą czerwoną mgłę od przemocy. Nie pierwszy też raz to sobie wyrzucał.

Westchnął i pokręcił głową.

- Niechże pan zrozumie, Parret. Nie udzielię panu wywiadu. Ani prawdziwego, ani

zmyślonego na potrzeby pana tak zwanych artykułów.

- Ale...

- Nie.

- Ale...

- W żadnym razie.

- Ale...

- Też nie.

- Sir Marku - zaklinał go Parret. - Ja mam córkę. Dbałem o pana reputację jak dobry kamerdyner. Czy jaki z moich artykułów przyniósł panu ujmę? Nigdy. Moją karierę oparłem na prawdzie. Chyba powinniśmy w jej imię współpracować!

Grupa kobiet sunęła w ich stronę spod kościoła; może były ciekawe, dlaczego sir Mark wrzucił człowieka do koryta?

- Już wiem, w czym rzecz - ciągnął zazdrośnie Parret. - Dostał pan od kogoś świetną propozycję. Nieważne, co mówiłem, pewnie zaproponowano panu udział. Ile? Dziesięć? Piętnaście procent? Mogę dać więcej, przyrzekam.

- Nie interesują mnie pana przyrzeczenia. - Nadchodzące kobiety nijak Marka nie interesowały. Z jednym wyjątkiem. Była wśród nich Jessica Farleigh.

Nie uspokoił się na jej widok, ale też tego nie

oczekiwał. Skoncentrował na niej niemal całą uwagę.

- Myślisz, sir, że jesteś ode mnie potężniejszy? - warknął Parret. - Że popularność jest twoją zasługą? To ja cię stworzyłem, sir Marku. I mogę cię zniszczyć. Zawdzięczasz mi swój sukces!

- Niczego panu nie zawdzięczam - odrzekł Mark. - Powiem to tylko raz. Wyjedź pan stąd. Opuść to miasto.

Parret wygramolił się ze śliskiego koryta, tocząc nierówną walkę o godność i powagę.

- Pewnego dnia - powiedział surowo - pan tego pożałuje.

- Niech pan ze mną przeprowadzi wywiad w Londynie. - Mark machnął na niego ręką. - Wtedy mu w szczegółach wyznam swój żal.

Jessica bardzo chciała się znowu zobaczyć z sir Markiem, ale nie teraz. Nie w taki sposób. Nie z listem od radcy w kieszeni, z dokładnym wyliczeniem granic jej wolności - czy też niewoli.

Ostatnimi tygodniami znalazła w tym miasteczku spokój. Zaczęła odnajdywać siebie. Ale już pierwsza wiadomość od radcy odebrała jej całą pogodę ducha. Było to wyliczenie jej zobowiązań - tak wielu -

i majątku – tak bardzo szczupłego.

Czynsz za mieszkanie w Londynie i pieniądze, które traciła tutaj, doprowadzały ją na sam skraj bankructwa. Kiedy za trzy tygodnie nadejdą kwartalne rachunki, Jessica straci wszystko.

Drugi załączony list był od Westona:

„Decyzji sir Marka oczekuje się w najbliższych tygodniach. Spóźniony skandal nic mi nie da. Natychmiast realizuj zadanie”.

Nie dodał gróźb, bo nie musiał. Bez obiecanych pieniędzy jedyna nadzieja w nowym protektorze, a i to tylko na moment oddaliłoby wszechogarniający mrok. Opuszczona przez tego, trafiłaby do następnego i następnego, i następnego. Za każdym razem oddając skrawek samej siebie.

Musiała to zrobić. Bardzo by chciała tego uniknąć, szczególnie że chodziło o sir Marka. Naprawdę go lubiła.

Tymczasem sir Mark podniósł wzrok znad... czego? Czyżby to pan Parret leżał przemoczony w korycie?

Jessica nic z tego nie rozumiała.

Ale ucieszyła się, że Mark ją zobaczył. Zatrzymał na niej wzrok i podszedł bliżej, aż stanęli tuż naprzeciwko siebie.

- Sir Marku - odezwała się jakaś kobieta -

czy mój syn James zaprosił cię na przyszłotygodniowe zawody strzeleckie? Słyszałam, że...

- Zaprosił - uciął sir Mark.

- A przyjdzie pan?

- Tak jak powiedziałem pani synowi, będę, o ile pani Farleigh też jest zaproszona.

Jessica zrobiła szybki wdech.

- Tak, tak, oczywiście, że jest zaproszona. - Pani Tolliver nie spojrzała nawet w jej stronę.
- Nawet serdecznie. Ale czy możemy w czymś pomóc?

Złość jeszcze nie całkiem Marka opuściła.

- Niestety - odrzekł - obiecałem kiedyś pani Farleigh, że ją odprowadzę do domu, i dotąd się nie wywiązałem.

Jessica nie chciała go bardziej lubić, nie chciała doprowadzać go do upadku. Nie chciała myśleć o George'u Westonie, który czekał na wszystkie pikantne szczegóły, jakich mu miała pod dostatkiem dostarczyć.

- Nie musi mnie pan...

- Muszę. Wiem, że pani nie potrzebuje towarzystwa, ale ja tak.

Takie słowa mogły wywołać skandal. Jeszcze niedawno cieszyłaby się z jego niefrasobliwości. Kobiety patrzyły, jak Mark się odwraca i rusza w drogę. Jessica

wzruszyła ramionami bez skruchy i pospieszyła, żeby się z nim zrównać.

- Co ty wyprawiasz? - wyrzuciła mu. - Masz pojęcie, jak one będą teraz trajkotać?

- A niech trajkoczą - odparł. Był cały napięty.

- Co mogą z tym zrobić? Poskarżyć Parretowi?

Sir Mark nawet nie zwolnił kroku, żeby łatwiej jej było nadażyć. Wkrótce Jessica biegła i już chwilę później zgrzała się w słońcu. On jednak nadal się nie pomiarkował, choć przemierzyli już pół miasteczka i weszli na pylistą drogę. Kroczył ze wzrokiem wbitym w horyzont i milczał.

- Nie zachowałem się zbyt uprzejmie - odezwał się wreszcie po kilku bardzo długich minutach. - Nie jestem akurat szczególnie dobrym kompanem.

Ciemne piegi od wody z końskiego wodopoju niemal całkiem zniknęły już z jego ubrania. Jessica nic nie odrzekła.

- Prawdę rzekłszy, jestem w dość podłym nastroju.

- W życiu bym się nie domyśliła!

Rzucił jej przeciągłe spojrzenie, pod którym nawet powietrze zdawało się drżeć. Jessicę przeszły ciarki od potęgi jego emocji.

- Jesteś straszny, kiedy się złościś - zażartowała niepewnie. Mark popatrzył

znowu przed siebie i Jessica odetchnęła z ulgą.

„Straszny” było zbyt słabym słowem. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby wejść mu w takim nastroju w drogę. Nie umiałaby go pohamować urokiem. Jego krok i postawa sprawiały, że zdawał się potężniejszy i znacznie bardziej groźny niż zazwyczaj. Sprawiał wrażenie, jakby wściekłość pozbawiała go wpływu cywilizacji, odebrała elokwencję, w zamian zwracając brutalność.

Jessica czuła, że powinna uważać.

- Nie ufam sobie w gniewie - rzucił jakby w odpowiedzi na tok jej myśli.

- A ja przeciwnie - odrzekła powoli. - Więc wszystko jest w porządku

- Mało mnie to uspokaja. Nie znasz mojego usposobienia. - Przy każdym jego kroku z ziemi podnosiły się małe obłoki kurzu, a nie sadził ich wolniej niż w rytm jej dudniącego serca.

- Staram się nie tracić panowania - wyjaśnił ponuro - bo potem dzieją się bardzo, ale to bardzo przykre rzeczy. Nawet dzisiaj omal nie huknąłem tym nieszczęsnym pismakiem o ścianę. W ostatniej chwili wróciły mi zmysły.

- Jestem wstrząśnięta.

- Lubię harmonię - ciągnął. - I ciszę. Uwielbiam spokój.

- To mnie musisz z trudem znosić.

- Bynajmniej. - Mark prychnął. - Kiedy byłem młodszy, wdałem się w bójkę z dalekim kuzynem, Edmundem Dalrymple'em. Za to, że coś tam powiedział o matce i o mnie. Złamałem mu rękę w dwóch miejscach. Wtedy powstała przepaść między naszymi rodzinami i trwała wiele lat tylko dlatego, że nie trzymałem nerwów na wodzy.

- Jestem oszołomiona - odparła Jessica. - Chłopcy, którzy się biją? Zgroza! To nienormalne.

- Masz niestety rację. Jego siostra wyszła za mojego brata, więc możesz sobie wyobrazić, jaka przy stole panuje atmosfera. Od tamtej pory ani razu nie porozmawialiśmy sobie z Edmundem od serca. Teraz już pewnie na to za późno - rozwinął się Mark. - Na dokładkę mój starszy brat Smite przyjaźnił się wtedy z Richardem, starszym bratem Edmunda. Po naszej bójce oni też się pokłócili. Teraz Richard nie odwiedzi Parford Manor, jeśli przebywa tam Smite, i vice versa. Zatem sama rozumiesz, że sobie nie ufam. Kiedy tracę panowanie...

- Smite? - zdziwiła się Jessica. - Twój brat ma na imię Smite?

Mark westchnął ciężko.

- Widzisz, do czego jestem zdolny? Nie umiem nawet trzymać gęby na kłódkę. Będzie miał żal, że ci powiedziałem. Obecnie ja jestem sir Markiem, na Asha mawiają, oczywiście, Parford. Tymczasem Smite przedstawia się jako Turner, po prostu Turner. Nienawidzi swojego imienia, jak możesz sobie sama wyobrazić.

- Najstarszy z was nazywa się Ash? Co za... niezwykle imię. Skoro twoi bracia nazywają się Ash i Smite, jak ci się udało ujść cało jako Mark?

Mark wyraźnie się uspokajał. Wypieki znikły mu już z twarzy, ale teraz znowu się zaczerwienił.

- Niechże pani posłucha, pani Farleigh. Nasza rozmowa zeszła na manowce, a właśnie miałem spotkanie z reporterem, co mi przypomina, że moje wyznania mają wymierną finansową wartość, i to wcale niemałą.

- A ja mimo to milczę jak zakłęty grób.

Mark posłał jej zagadkowe spojrzenie.

- Nasze imiona to zdrobnienia od całych wersetów z Biblii.

- Jak więc masz naprawdę na imię?

- Może i milczysz jak zakłęty grób, ale taki głupi to ja nie jestem. - Zmierzył ją wzrokiem.

- Takich rzeczy nie opowiada się kobiecie, na

której mężczyzna stara się zrobić wrażenie.

Jessica westchnęła z ubolewaniem.

- W każdym razie masz szczęście, że nosisz imię z Ewangelii według świętego Marka, a nie na przykład z księgi Zachariasza. Nie wyglądasz na Zachariasza. Ani Habakuka.

Dopięła swego. Mark się uśmiechnął.

- Twój ojciec musiał być bardzo religijnym człowiekiem - ciągnęła Jessica. Nawet jej ojciec, który był zasadniczym pastorem, nie miał tak radykalnych pomysłów. Ale kiedy popatrzyła Markowi w oczy, wspomniała jego słowa.

- To moja matka - odrzekł łagodnie. - Ona wybrała nam imiona. Ojca nawet nie było przy narodzinach któregoś z nas. Ale nie pomyliłaś się, była bardzo religijna. Tylko ta wiara jej pozostała. I oddała jej całe swoje serce.

Jessica zamyśliła się.

- Mówiłeś, że pragniesz spokoju i równowagi, sir Marku - rzekła. - Czy właśnie dlatego?

Długo się jej przyglądał. Zaciśnął usta, a Jessica pojęła nagle, że choć znała jego krawca i wiedziała, jak się sprawował w szkole, jego samego prawie wcale nie znała. Jak na człowieka, o którym z lubością

rozpisywały się gazety, niezwykle dużo zachował dla siebie. Jessica dopiero przed chwilą dowiedziała się, że wcale nie miał na imię Mark.

Uśmiechał się często i gładko wypowiadał. Dotąd miała go za człowieka bezpośredniego i prostolinijnego. A teraz z dreszczem uświadomiła sobie, że i on kryje niejedną tajemnicę.

Dobrze wiedziała, jak to jest.

- Są sprawy - odparł - o których nie chcę nigdy przeczytać w brukowcach. Już i tak za dużo mi życia odebrały. Nie jestem gotów podejmować takie ryzyko. I to wcale nie dlatego, że ci nie ufam.

A nie powinien!

Jessica poczuła do siebie nagły wstręt. Od początku planowała go uwieść i zrobić z tego sensację!

- Chcę coś zachować dla siebie.

Kiedy Jessica przystawała na plan Westona, sądziła że zniszczy tylko reputację sir Marka. Jego imię tak często pojawiało się w gazetach, że miała to tylko za kolejny artykuł. Ale wtedy go jeszcze nie знаła. Wiedziała już, że znienawidziłby ją za to. I że sama też by siebie znienawidziła.

- No to mi nie mów - odparła z większą

niefrasobliwością, niż sądziła, że może z siebie wykrzesać. - Jesteśmy już zresztą prawie pod moimi drzwiami i widzę Marię w oknie, więc i tak to już żadna prywatna rozmowa.

Skinął głową.

- Zobaczymy się zatem w przyszłym tygodniu, prawda? Na turnieju strzeleckim Tollivera - zaproponowała.

Mark odetchnął głęboko.

- Mam nadzieję, że kiedy dostanę fuzję do ręki, monsieur Parreta nie będzie już w okolicy.

Jessica miała nadzieję, że to był żart. Odwróciła się, ale Mark wziął ją za rękę.

- Pani Farleigh... dziękuję.

Ścisnęła jego dłoń i natychmiast cofnęła rękę. Przez myśl przemknęło jej, jak bardzo chciał coś zachować dla siebie.

- Bardzo proszę... Niech mi pan nie dziękuje.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Promienie słońca mocowały się jeszcze z poranną mgłą, kiedy Mark zjawił się na zielonej łące nad rzeką. James Tolliver – którego ojciec był gospodarzem imprezy – powitał go entuzjastycznie.

– Sir Marku! – wołał z niekłamaną serdecznością, szczęśliwy jak szczenię, którego pan wrócił do domu. – Przybył pan! Ustawiłem cel drugi i czwarty, jak je pan zobaczy, proszę mi powiedzieć, czy dobrze.

– Jestem zaszczycony.

– I to ja napisałem regulamin zawodów. Będą dwie tury i strzelanie parami. Pierwsza runda pozwoli ułożyć względny ranking i według niego wybierzemy partnerów w drugiej rundzie rywalizacji.

Mark nie był pewien, czy cokolwiek z tego naprawdę pojął, ale mógł się pochwalić jakimś doświadczeniem w podobnych zawodach. Miał nadzieję, że rozezna się, kiedy będzie trzeba nacisnąć spust.

– Brzmi to jak logiczna struktura. Na pewno gruntownie ją przemyślałeś.

Tolliver omal nie pękł z dumy.

- Czy uczyni mi pan ten zaszczyt i będzie moim partnerem w pierwszej turze?

Mark mimowolnie popatrzył przez pole po grupce współzawodników. Przelotnie mignęła mu tam pani Farleigh błyskiem jaskrawej żółci i śnieżnych mankietów.

- O nią się pan nie musi martwić, sir - zauważył niewinnie Tolliver. - Dinah... panna Lewis zgodziła się jej towarzyszyć. Naprawdę wzięłam sobie pana słowa do serca.

- Hm - mruknął Mark, myśląc, że kto wie, może chłopak naprawdę zapragnął zmadrzeć.

- Poza tym - podjął młodzieniec - nawet nie musiałem jej nakłaniać. Uwierzy pan? Chciała zapytać panią Farleigh, jak ułożyła włosy.

Mark raz jeszcze wypatrzył Jessicę. Dzisiaj jej czepiek harmonizował z suknią: złoty jedwab przeplatany białą wstążką. Włosy pod czepkiem lśniły niemożliwie przeplatającymi się splotami niezliczonych planów warkoczy, godne rywalizować z węzłem gordyjskim.

- Wcale się panie Lewis nie dziwię - odrzekł jak z zaświatów.

Tolliver odchrząknął i zaproponował chytrze:

- Może podejdziemy do nich? Zapytamy, czy panie Lewis czegoś nie potrzeba.

Jakże subtelnie! - poirytował się Mark, spoglądając na rozochoconego podrostka.

Nonszalancja Tollivera ulotniła się momentalnie.

- Chcę powiedzieć, doprawdy - plątał się, rumieniąc z zażenowania - umiem się oprzeć, nie to, żeby mnie kusilo! Jako dumny członek gwardii czystości...

- A co to ma do rzeczy? - zapytał Mark. - Dlaczego miałbyś nie flirtować? Słyszałeś, żebym komuś odradzał rozmowy?

- A co z kartą członkowską?

- Jaką kartą?

Tolliver wysupłał z kieszeni kamizelki karteczkę wizytowego formatu. Miała sfatygowane ranty i cała była wysłużona. Tolliver się z nią ewidentnie długo nie rozstawał.

- O, tutaj. Podpunkt trzeci. „Uroczyście ślubuję nie podejmować flirtu ani innego lubieżnego działania, ponieważ stwarza zagrożenie”.

- Daj to tutaj.

Tolliver podał mu karteczkę, a Mark poszukał po kieszeniach i wyjął ogryzek ołówka. Promieniejąc, przekreślił podpunkt trzeci i dopisał drobnymi literami: „Przywilej flirtowania przywrócono”.

- No i proszę - oddał świstek właścicielowi. - W samą porę! Oto nadchodzą damy.

Tolliver wpatrywał się jeszcze w kartonik.

- Jak to możliwe, że GKC jest niezgodne z pana przekonaniami, sir?

Bo przy was miałem ochotę zapaść się ze wstydu pod ziemię! - Mark się zafrasował, bo zaczynał rozumieć, że doszło do tego przez jego zaniedbanie.

- Tolliver - odrzekł. - To dlatego, że popełniłem błąd. Bardzo poważny błąd, który mi właśnie uzmysłowiłeś.

- Pan, sir? Pan popełnił błąd?

- Powinienem był zadbać o dialog z GKC. Być może... - Mark westchnął, spoglądając w zagubione oczy chłopca. - Być może pozwolisz mi zacząć tutaj?

- Chciałby pan wystąpić przed naszą gwardią? To cudownie! Może w najbliższy wtorek?

Pani Farleigh i panna Lewis były prawie przy nich. Wydano im już strzelby. Panna Lewis trzymała swoją ostrożnie w dwóch palcach, jakby miała ją lada chwila upuścić.

- Miejmy to jak najszybciej za sobą. Zgoda na wtorek. A teraz przywitaj się ze swoją ukochaną.

Tolliver spurpurowiał.

- Ona wcale nie jest... Och! Pan się ze mną przedrzeźnia!

W tym momencie dołączyły do nich damy. Tolliver natychmiast podjął się tłumaczyć zasady turnieju, przechodząc samego siebie w zawilościach. Kiedy już udało mu się wszystkim kompletnie zamącić w głowach, zaczął, o zgrozo!, dopytywać pannę Lewis o kazanie, jakie planował wygłosić jej ojciec.

Przywilej flirtowania - uznał Mark - raczej Tolliverowi nie stworzy Zagrożenia. Prędzej go doprowadzi do Wstydu.

Pani Farleigh popatrzyła na dwoje nastolatków i wymieniła z Markiem ledwie powstrzymywane uśmiechy.

Mark zabrał kartonik z ręki Tollivera.

- Cofam je - wyjaśnił młodzieńcowi - póki nie nauczysz się z nich korzystać.

- Słucham? - zapytała panna Lewis.

- Nic takiego! - odparł szybko Tolliver, śląc Markowi rozpaczliwe sygnały. - To nic takiego!

Pani Farleigh zerknęła ukradkiem na kartonik i wybuchnęła śmiechem.

Mark poczuł się okradziony; dopiero teraz zobaczył, jak Jessica się śmieje. Cała jej twarz promieniała, nic nie zatrzymywała w sobie. W tej chwili zwietrzała Markowi cała inteligencja. Nawet o kazaniach bełkotałby niezrażony, gdyby choć słowo mógł z siebie

wydusić.

Jessica wyjęła kartę członkowską z ręki osłupiałego Marka i wetknęła chłopcu w kieszeń.

- Proszę nie zwracać na niego uwagi, panie Tolliver. W tych warunkach radzi pan sobie świetnie. A do ciebie... - wywołała Marka palcem - mam pytanie... sir.

Odwróciła się i oddaliła na parę kroków. Kiedy już byli poza zasięgiem słuchu dwojga młodych, pokręciła głową.

- Biedaczysko. Nie jest w stanie jednocześnie zaimponować tobie i pannie Lewis. Zdajesz sobie sprawę, że jesteś jego bohaterem? Okaż trochę wyrozumiałości.

- Masz całkowitą słuszność. Nie powinienem był się z nim droczyć.

- Nie. - Westchnęła i popatrzyła mu w oczy. - Podpisałeś kartę swoimi inicjałami, prawda?

- Tak?

- Ewangelia św. Marka, rozdział dziewiąty, werset czterdziesty siódmy. Czy to nie zbyt makabryczne imię dla małego dziecka?

Uśmiech Marka zbladł.

- Moi bracia to Proch i Zagłada. Matka szczególnie zadbała o radosne imiona dla dzieci. - Zamilkł. - Cytujesz Pismo Święte z pamięci? A udajesz taką grzeszną...

- Bo jestem.

- Jesteś najmniej przekonującą grzeszną kobietą, jaką spotkałem.

- Mój ojciec był pastorem - odparła zimno i dodała: - Nic nie poradzę, że mimo najlepszych chęci został we mnie ślad dzieciństwa. Naprawdę nosisz imię za werselem, który głosi, że aby się dostać do Królestwa Bożego, nie można się wahać przed...

- Nie musisz mi mówić - jęknął. - Wierz mi. Następnym razem podpisuję się po prostu sir Mark, jasne? I ani mi się waż o tym przypominać.

Zapanowało długie i niezręczne milczenie. Słysząc było niewyraźne mamrotanie Tollivera do panny Lewis. Patrząc na jej buzię, Mark nabrał przekonania, że chłopak radzi sobie znacznie lepiej od niego. Dwadzieścia metrów dalej pastor perorował o tym samym kazaniu, o którym wspomniał Tolliver.

Naszła Marka nagła potrzeba zmiany tematu.

- Dobrze pani strzela? - zapytał. Chwycił się pierwszej myśli z brzegu, ale czuł, że nie jest od rzeczy. Jessica trzymała strzelbę w znamieny sposób. Jakby wcale o niej nie pamiętała, a zarazem miało się wrażenie, że

mogłaby błyskawicznie przyłożyć kolbę do ramienia. Wskazywało to na pełną, niewymagającą uwagi swobodę, jaką osiągnąć można tylko przez ciągły kontakt z bronią.

Ale pani Farleigh tylko wzruszyła ramionami.

- Tylko parę razy miałam fuzję w ręce. A pan?

Ach, więc to były fuzje. Wszystkie te sztuki broni wyglądały dla Marka tak samo. Długie lufy, drewniane kolby, to wszystko.

- Nie będę tu rewelacją - wyznał Mark. - Jak byłem dzieckiem, nie mieliśmy strzelnicy. A później większość czasu spędzałem z bratem w Londynie, więc też nie ćwiczyłem celności. Mam tylko nadzieję, że nie będę ostatni.

- Co... o? - przeciągnęła Jessica, drwiąc sobie z własnego zdumienia. - Poznałam achillesową piętę niezłomnego sir Marka? A wszystkie trofea zostały w domu...

Mark nie pamiętał, kiedy ostatnio ktoś prócz jego braci pokpiwał sobie z niego. Przyjemnie mu było patrzeć w jej ciemne i błyszczące humorem oczy. Bałby się wręcz przyznać, jak przyjemnie.

Przybrał świętoszkowatą minę.

- Ale to moja jedyna słabość - odparł wyniośle. - Jak się będę bardzo głośno zachowywał, na pewno nikt nie zauważy.

Zerknął na rozprawiającego nieopodal pastora, a pani Farleigh zakrztusiła się śmiechem.

Minęło rzeczywiście dużo czasu, odkąd ktoś śmiał się z nim przekomarzać - czy pozwolił sobie choćby zareagować na jego docinki. Ponure myśli, nieustępliwy gniew, niezdecydowanie co do komisji - wszystko straciło tę wagę.

- Pani zaś - dodał - jest doskonałym strzelcem.

- Pan tego nie wie - odparła, ale zarumieniała się nieznacznie.

- Jak ocenia pani rozkład celów? - Mark wskazał najbliższy i najłatwiejszy strzał na dwadzieścia jardów.

Dalej szlak wiódł obok niskiej dąbrowy, w której krył się cel drugi. Kolejne przystanki były wciąż trudniejsze - piąty cel był ukryty jak kuropatwa w nadrzecznych paprociach.

Jessica przelotnie zmrużyła oczy, oszacowała dystanse. Popatrzyła na Marka z uniesionym podbródkiem.

- Interesujący - odrzekła tylko.

- A umiałyby pani to wygrać?

Wciąż jeszcze nie przyznała, że w ogóle potrafi strzelać. Jednak kiedy wzięła ostry wdech, Mark nie potrzebował już innego

potwierdzenia.

- A... ach! - rzucił w przesadnym zadziwieniu. - Niedoskonała pani Farleigh ma talent.

Nic nie odpowiedziała, tylko popatrzyła na pierwszy cel w niespokojnym skupieniu, jak daniel, kiedy nie jest pewny, czy jeszcze skubnąć trawy, czy skoczyć i skryć się w gęstwie matecznika. Uśmiechnęła się nie z radości, a z widoku na zwycięstwo. Mark nie umiał sobie wyobrazić, co by się stało z jego duszą, gdyby sam był obiektem takiego spojrzenia.

Z niebezpiecznej zadumy wyrwał go pastor, który otrząsnął się z pompatycznej przemowy i dał znak panu Tolliverowi ojcu, który wezwał uczestników do zajęcia miejsc startowych. Z ociąganiem Mark uchylił kapelusza i już chciał odejść, ale Jessica powstrzymała go, podnosząc palec.

- Umiałabym to wygrać - rzekła z prawie niezauważeniem przyspieszonym tchem. - Ale zrobię coś jeszcze lepszego.

Mark nie miał pojęcia, co mogłaby lepszego zrobić, ale nie czas było pytać. Dał się odprowadzić Tolliverowi. Młodzieniec okazał się lepszym strzelcem od niego. Czerwienił się jak burak, kiedy poprawiał strzały swojego

bohatera. Na nieśmiało przeprosiny Tollivera Mark z rozdrażnieniem machał ręką.

Podczas pierwszej tury Mark nie miał prawie okazji zamienić słowa z panią Farleigh. Nie odstępowały się z Dinah Lewis na krok; ociągały się w ogonie procesji, bez przerwy poszeptując. Mark nie słyszał jednak gratulacji za piękne strzały.

Nie zdawał sobie sprawy, co zrobiła, aż runda dobiegła końca i dowód jego dzielności – czy raczej jej braku – miał przed sobą jak na dłoni. Obsługa zawodów każdej parze przydzielała osobne papierowe tarcze, żeby tym łatwiej rozstrzygać ewentualne spory. Strzał kwalifikacyjny Marka zniósło w prawy górny róg, w drugim okręgu. Ona trafiła w lewy górny róg, też w drugim okręgu – dokładnie naprzeciwko. Nikt inny nie zauważył, że ich trafienia były lustrzanym odbiciem. Niedorzecznie było myśleć, że ktoś mógł nie chcieć zwycięstwa. Cel za celem jej strzały padały idealnie po drugiej stronie tarczy do jego.

Przez to do drugiej tury zakwalifikowali się jako partnerzy, a że wynik mieli równie mizerny, byli ostatnią parą w szeregu.

Czekając, aż tłum przetoczy się przed pierwszym celem, Mark poszukał pani

Farleigh. Stała na uboczu, przyglądając się serii strzałów.

- Gdzieś ty się nauczyła tak strzelać? - zapytał z podziwem. Nawet jeden kosmyk nie wymyknął się Jessice spod czepka, ani się jeden warkoczyk przesunął.

- Doprawdy, sir Marku, jest pan nazbyt szarmancki. Na pewno pan zauważył, że jestem absolutnie przeciętna. - Jessica zatrzepotała figlarnie rzęsami. Droczyła się z nim, a Marka ogarnęło pragnienie, żeby nie udawała zalotności. Chciał robić na niej takie wrażenie, żeby poczuła się naprawdę speszona.

- Absolutnie nieprzeciętna - odparł. - Tylko cel ma pani odmienny. Czy teraz odpowie pani na moje pytanie, czy woli się pani pławić w atmosferze tajemniczości?

- Spędziłam sporo czasu po domkach myśliwskich - odparła z westchnieniem. - Kiedy mężczyźni szli na polowanie, musiałam sobie szukać własnych rozrywek.

- Pani mąż był zapalonym myśliwym.

Wzruszyła z wdziękiem ramionami.

- Bawiło go towarzystwo kobiety. A kiedy okazało się, że mam dar, musiałam się w nim doskonalić, żeby przetrwać.

- Żeby przetrwać? - zdziwił się Mark. -

Gołębie nastawały na pani życie?

Nie uśmiechnęła się.

- Mężczyźni nie lubią przegrywać z kobietami. Musiałam się nauczyć zawsze trafiać dokładnie tam, gdzie chciałam. Inaczej, cóż...

Zacisnęła usta, nie patrząc na Marka. Po raz pierwszy wspomniała zmarłego męża. Można było sądzić, że za nim nie przepadała, a teraz wyjaśniło się dlaczego.

Pani Farleigh była piękna, ale pięknych jest wiele kobiet. Przyciągała spojrzenia mocą nie samej urody, i nie tylko inne kobiety mogły jej zazdrościć. Pod wieloma względami mogła przewyższać męża i na pewno nie raz go przyćmiewała. Była pięknym trofeum, ale nie chciała pozostać tylko wystrojem wnętrza. A ktoś, kto sprawił sobie na pokaz piękną żonę, nie był szczęśliwy, kiedy okazywała się bardziej wartościowa od niego samego.

- Zatem nauczyłaś się przegrywać - zauważył Mark głucho.

Nic dziwnego, że wzdragała się przed dotykiem - zdał sobie sprawę Mark. - Jak mogło być inaczej, skoro najważniejszy mężczyzna w jej życiu systematycznie ją poniżał!

- Wybrałam przegrywanie. - Wyjątkowo

przez jej twarz przemknął wyraz bólu i zmęczenia. - Może trudno ci zrozumieć, jak to jest być zależną od kogoś innego. Kiedy się nie wycofywałam, markotniał, a potem...

Zamilkła i pokręciła głową. Marka ogarnęło gwałtowne uczucie. Może czuł na sobie złość, że pozwolił jej podejrzewać się o natarczywość i wścibstwo. A może po prostu było to jeszcze silniejsze pragnienie bliskości. Nieszczęsny Tolliver i panna Lewis, którzy strzelali przed nimi, właśnie skończyli rundę i ruszyli do drugiego celu, zostawiając Marka i Jessicę samych. Pani Farleigh podeszła na miejsce.

- Pani Farleigh! - zawołał Mark. Zatrzymała się i spojrzała przez ramię, unikając jego wzroku. Mark rozgniewał się jeszcze bardziej. - Wygarbuje mi pani skórę?

- Słucham?

- Zostaliśmy tu sami. Walczymy o tytuł mistrza przeciętnych strzelców. A mistrz może być tylko jeden. I zrobię wszystko, żeby nim zostać. - Aż się trząsał z furii na myśl o straconych latach, kiedy musiała ukrywać swój talent przed mężczyzną, który pierwszy powinien ją podziwiać, i zmuszała się do potulnych uśmiechów. Ani trochę mu się ten obraz nie podobał.

Przyłożył broń do ramienia i wymierzył w cel. Choć tego nie cierpiał, postarał się wziąć pod uwagę nawet delikatny wiatr i odległość. Nacisnął spust. Nawet z dwudziestu jardów ledwo dostrzegł otwór po kuli. Trafił w pierwszy okrąg na wysokości połowy tarczy. Był to dotąd jego najlepszy strzał.

- Na pewno mnie przebijesz - ocenił.

Jessica bez słowa uniosła broń i oddała strzał bez wahania. Kiedy podeszli do tarczy, trafienie Marka okazało się o kilka cali od środka, podczas gdy pani Farleigh, choć trafiła w dziesiątkę, ale przy samej krawędzi. Mark rozgniewał się jeszcze bardziej.

- Naprawdę myślisz, że się musisz dla mnie poświęcać? Masz mnie za tak nędzną kreaturę, że mogę się załamać, jeśli nie dasz mi wygrać? Mylisz się. Wiem, że stać cię na więcej, i oczekuję, że to pokażesz!

Jessica patrzyła na niego, nawet nie mrugając.

- Mówię to, co myślę. Nie chcę, żebyś wygrała o włos, pozostawiła wątpliwości i nie uraziła mojej próżności. Moja duma nie ucierpi. Chcę, żebyś wygrała.

- Przecież wygrywam.

Ale Mark nie zapomniał precyzji poprzednich

strzałów. Spojrzał na nią z mocą.

- Stać cię na więcej - powtórzył.

Zacisnęła usta i odmaszerowała do następnego celu z uniesionym czołem. Na miejscu zatrzymała się i jednym płynnym ruchem przeładowała, uniosła broń, wymierzyła i oddała strzał. Nie widział, gdzie trafiła, ale musiał to być dokładnie sam środek tarczy, bo odwróciła się do niego ze złośliwą satysfakcją.

Mark szarpał się przez chwilę ze strzelbą i też przyłożył do ramienia. Nie wiedział, jak nazwać uczucia, które w nim szalały. Z trudem zebrał myśli w spójny tok, nie wiedział, o ile wyżej mierzyć, jak ocenić dystans. Podejrzewał, że cel znajduje się trochę niżej. W gorączce miał wrażenie, że zaraz sam eksploduje. Kręcąc głową, nacisnął spust.

Kula utkwiała - ledwie, ledwie - w samej krawędzi tarczy.

Pani Farleigh słowem tego nie skomentowała. Podeszli razem do tarczy obejrzeć jej strzał.

Kula tkwiła w samym środku. W tych okolicznościach gratulacje wydawały się Markowi zbyt protekcyjnalne, ale przejście nad wyjątkowym dokonaniem do porządku dziennego było absolutnie nie do przyjęcia.

Jessica wybawiła go od kłopotu. Spojrzała na niego bez cienia emocji i uniosła zagadkowo brew.

- Stać cię na więcej - rzekła mu prosto w oczy. Po czym odeszła spokojnie, zostawiając go w takim stanie, że tylko ostatnim wysiłkiem woli powstrzymał się od miotania bluźnierstw.

Trzecia tarcza oddalona była o trzydzieści jardów, ale też stała na pagórku, co miało utrudnić celowanie. Tym razem jeszcze przed strzałem Jessica stanęła przy Marku.

- Za dużo myślisz - powiedziała. - Na pewno na kartce papieru mógłbyś wyliczyć właściwy kąt strzału, ale twoje ciało jest jeszcze mądrzejsze. Samo wie, co należy zrobić. Zaufaj mu.

Rzeczywiście, pomyślał, moje ciało doskonale wie, co chcę zrobić.

Nie miało to jednak nic wspólnego ze strzelaniem. Wyrwałby jej strzelbę z rąk i rzucił na ziemię. Chciał przycisnąć ją do siebie jak najmocniej. Zalewających go fal gorąca nie wywołała wściekłość, gniew. Było to czyste pożądanie.

Szukał w sobie jakiegokolwiek źródła spokoju, żeby wyciszyć rozszalałą wyobraźnię. Ale był podniecony aż do bólu. Odwrócił się od

niej dla wytchnienia. Od studiów w Oksfordzie nie rozwiązywał problemów matematycznych, ale teraz pomysł wydawał się przedni. Jeśli newtonowska fizyka nie była w stanie przedrzeć się przez chaos emocji, mogło już nie być dla niego nadziei. Kula miała prędkość wylotową trzystu jardów na sekundę, kąt wynosił piętnaście stopni, odległość trzydzieści jardów, nachylenie - znaczne... A piękna i zdolna pani Farleigh wciąż stała obok i mówiła mu, co może zrobić lepiej.

Wystrzelił.

Pokręciła głową.

- Za dużo myślenia.

Za dużo niewłaściwego myślenia - odparł w duchu. Obraz Jessiki trzymanej w ramionach na dobre zagościł w jego wyobraźni. Nie ufał mowie i nie przestał milczeć nawet wtedy, kiedy przy czwartym celu znowu posłała kulę w sam środek tarczy. Tymczasem on nawet w tarczę nie trafił.

Jessica jak wcześniej pokręciła głową.

- Stać cię na więcej - usłyszał znowu w odpowiedzi.

Podniecenie sięgnęło zenitu. Mark nie rozumiał, co się z nim dzieje. Patrzyła na niego drwiąco, ale psotnie. Rozbroiła go dokumentnie. Miała rozszerzone źrenice,

przesunęła po ustach koniuszkiem języka. Wiedział, że gdyby ją teraz pocałował, nie wzdrygnęłyby się ani trochę.

- Mówiłem, że jestem absolutnie przeciętny - wydusił ochryple.

- Ciągle tylko wymówki - odparła i zniknęła w gęstwie zagajnika.

Ostatni cel był nad samą wodą, ukryty wśród gałęzi i za powalonym pniakiem, owiniętym pnączami bluszczu. Mark wątpił, czy nawet w pełni władz umysłowych potrafiłby trafić. Teraz nie miał najmniejszych nadziei.

- Musisz dać się prowadzić instynktowi.

- Brednie.

- Sama prawda.

Sztywnymi dłońmi przeładował broń.

- Nawet jeśli to prawda, nie miałem okazji wyćwiczyć i opanować tego instynktu.

- Znowu wymówki. Nie będę tego słuchać. Sir Marku, mam dla ciebie propozycję. Jeśli mnie na koniec pokonasz, pozwolę ci się pocałować.

Markowi przemknęło, że powinien to przemyśleć. Ale na wspomnienie pocałunku krew odpłynęła z jego mózgu, a wraz z nią opuściła go cała logika. Myślał tylko o miękkości jej ust, dłoniach na jej skórze, o tym, jak napiera na niego swoim

wyprężonym ciałem. Prawie widział, jak podnosi ją i opiera plecami o drzewo, smakuje jej słodczy...

Zatem to nie myśli kierowały nim, kiedy podszedł do flagi oznaczającej trzydzieści jardów od tarczy. Nie zastanawiał się, podnosząc broń do ramienia ani mierząc. Po prostu nacisnął spust. Otoczyła go chmura czarnego dymu, ramię bolało od siły odrzutu.

Kiedy dym się rozwiął, podeszli do tarczy.

Jakimś cudem Mark trafił w kółeczko. Co prawda tylko w brzeg, ale jednak był to jego najcelniejszy strzał dnia.

Mark nie był pewien, czy to był czysty przypadek. Zerknął na Jessicę. Czuł przedsmak słodkiego, pachnącego prochem zwycięstwa. A ona bez słowa się odwróciła i skierowała się z powrotem do flagi.

Mark poszedł za nią i kiedy tak wpatrywał się w jej kołyszące biodra, zaczął mu wracać rozum.

Jessica mogła łatwo go pokonać – trzy razy z rzędu trafiała w centralny punkt tarczy. Tylko czy tego pragnęła?

Mark nie był nawet pewien, czego sam teraz by chciał. Chciałby ją pocałować, ale na pewno nie w ten sposób. Nie dlatego, że stracił nad sobą panowanie, nie przez to, że pozwoliłaby

mu wygrać. Nie chciał jej w żaden sposób poniżyć.

Poczekwała, aż stanął za jej plecami, i raz jeszcze jednym płynnym ruchem strzeliła do tarczy. Nie popatrzyła na Marka, tylko podeszła do celu. Musiała już znać wynik.

Mark modlił się, żeby nie spudłowała – nie z jego powodu ani z jakiegokolwiek innego.

Jej kula tkwiła w samym środku.

Pokonała go.

Mark poczuł wielką ulgę i przemożne rozczarowanie. Chciał, żeby wygrała, ale przyszło mu za to słono zapłacić.

– Wiesz – rzekł – to nie był uczciwy zakład. Nie ustaliliśmy, co ty zyskasz na zwycięstwie.

Bezwiednie spojrzała na jego wargi i dotknęła językiem kącika ust, a Mark zapragnął, żeby zażądała tej samej nagrody. Wiedział, że nie powinien o tym nawet pomyśleć, ale wcale go to nie przekonało. Gdyby miał kartę członkowską Gwardii Kawalerów Czystości, szukałby jej gorączkowo po kieszeniach, bo Pokusa była bardzo blisko. Zrównały się ich oddechy, ale Jessica zawahała się i cofnęła już uniesioną do niego rękę. Ona też nie wiedziała, co robić.

Potrząsnęła głową jak dla rozproszenia uroku i wzięła głęboki, drżący wdech.

I uśmiechnęła się, nie władczo, tylko ze zrozumieniem, jakby zdawała sobie sprawę z jego niedawnych katuszy. Tak, jakby i ona przebyła tę samą drogę.

- Co dostanę? - powtórzyła, a jej głos obił się echem wśród drzew. - To oczywiste. Satysfakcję, że chciałeś mnie pocałować.

- A niech to lichy porwie - rzucił i zanim zdążyła cofnąć się albo wycofać swoje słowa, objął ją w talii, a ona uniosła głowę.

I wtedy w niecierpliwym pośpiechu - i uniesieniu - pocałował ją.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jessica nie rozumiała, co się z nią dzieje.

Naciskała, żeby się bardziej postarał. Z początku myślała, że tylko mu odplaca pięknym za nadobne. Ale dopiero kiedy objął ją z nieugiętą determinacją, zrozumiała dlaczego.

Zdarzało się jej wcześniej budzić pasję u mężczyzn, tym razem jednak nie przyjęła żadnej strategii. Nawet nie myślała, że go uwodzi, odkąd zaproponował, żeby mu spuściła lanie. Od tamtej chwili myślała tylko o swoich długo zapomnianych pragnieniach.

Kiedy pochylił się, żeby ją pocałować, nie miała poczucia zwycięstwa. Odpowiedział za nią instynkt czystej kobiecości, bez jakiegokolwiek związku ze strategią uwodzenia. Liczyło się tylko to, że ją całował.

Choć trzymał ją mocno, całował delikatnie. Skórę miał szorstką od niewidocznego zarostu. Pozwoliła się całować, otworzyła się przed nim jak kwiat na słońce. Ogrzewał ją, a ona spijała jego żar.

Położyła ręce na jego piersi i wszelkie myśli opuściły jej głowę. Nie było celu ani

konkurencji. Współzawodnicy czekali już na pewno w domu Tollivera na ostateczny wynik. Byli całkiem sami. W jej świecie istniał tylko Mark i doznania zmysłów, które jakby się przepełniły płynnym światłem.

Czuła jego naprężone mięśnie, nie krył też podniecenia, ale mimo to skończyło się tylko na pocałunku – dotyku ust i języków.

To był tylko pocałunek, a zdawał się czymś znacznie więcej.

Podniósł głowę i zabrał rękę z jej pleców. Na gorącą skórę Jessiki padł chłodny podmuch znad rzeki.

Cofnęła się o krok i dotknęła palcami ust. Wracał jej rozum. Inny mógłby udawać zażenowanie lub wstyd. Zrzucić na nią winę i nazwać kusicielką. A najczęściej znacznie gorzej.

W spojrzeniu sir Marka nie było ani śladu wstydu czy gniewu. Patrzył na nią tak, jak sama się czuła, jakby grom z jasnego nieba niespodzianie sprawił mu wielką przyjemność.

- W takiej chwili – rzekł leniwym głosem – dobrze wychowany dżentelmen powinien przeprosić za poufałość...

- Jeśli spróbujesz, znajdę kij i ci przyłożę – odparła Jessica.

Zmierzył ją wzrokiem.

- Tolliver na pewno zaciągnąłby cię za to pod sąd - odparł śmiertelnie poważnym tonem, ale rozbawiony wzrok nie poparł groźby. - Nie jestem pewien, czy darcie lin na pakuły jest odpowiednią dla ciebie pasją życia. Co prawda dają wikt i opierunek, ale kwatery pozostawiają sporo do życzenia. Z samej litości i wbrew obyczajom mogę przyznać, że nie żałuję swojej śmiałości ani trochę.

- Nie?

- Nie. - Dotknął jej policzka wierzchem dłoni. Nawet przez rękawiczkę czuła ciepło jego ciała. Chętnie objęłaby go i przycisnęła do siebie.

Westchnęła jednak i odsunęła jego rękę.

- Nie - powtórzył - a powinienem. W zwykłych okolicznościach chętnie bym ci towarzyszył do domu. Zbyt chętnie. Mam nadzieję, że zrozumiesz, że tym razem tego nie zrobię.

Jessica popatrzyła na niego i w jednej chwili przypomniała sobie właściwy cel swojej misji. Poprzysięgała go uwieść, musiała to zrobić. Jeśli nie zdobyłaby tych pieniędzy, byłby to dla niej koniec. Przy nim potrafiła zapomnieć o wszystkim, oprócz dotyku ust.

- Człowiek święty, jak sir Mark, na pewno potrafi się oprzeć pokusie - zażartowała

prowokacyjnie.

On się jednak nie uśmiechnął. Pokręcił głową.

- Nie dzisiaj, pani Farleigh - odrzekł z prawdziwą powagą. - Dzisiaj nie mogę pani odprowadzić.

Zanim zdążyła cokolwiek odrzec, odwrócił się i odszedł.

Patrząc za nim, Jessica czuła ścisk w gardle. Nie chciała, żeby tak się ich spotkanie skończyło. Nie powinna go pragnąć, tylko uwieść. Niestety sytuacja wyglądała raczej odwrotnie i to on uwodził ją.

Stać cię na więcej - przemknęła jej myśl.

Wystarczyło przecież, żeby wzięła sobie do serca swoją własną radę i przestała myśleć o uwodzeniu. Lubiła go i tak. Podobało się jej, że tracił dla niej głowę. Podobało się, że sama zapominała przy nim choć na kilka chwil o wszystkim oprócz czystego pragnienia wzajemnej bliskości.

Ale kochała to, że pragnął, aby zwyciężała.

Mężczyźni chwalili jej urodę, ale to jej nie poruszało. Pisywali wiersze o brzmieniu głosu i pozostawała niewzruszona. Ale wystarczyła jedna myśl o Marku, kiedy szorstkim od emocji głosem budził w niej pragnienie wygranej - i przechodził ją dreszcz.

Pierwszy raz od wielu lat była szczęśliwa, kiedy ktoś ją całował. Bała się tego.

Być może umiałaby go uwieść, gdyby tylko poddała się emocjom, jakie w niej budził. Ale czy wtedy byłaby zdolna odwrócić się od niego i zdradzić go dla Westona?

Aby przetrwać, robiła już rzeczy, których wolała nie wspominać. To też umiałaby zrobić. Przekonywała się, że nie ma wyboru. Wystarczyłoby jej przestać się opierać uczuciom, pozwolić, by się rozwijały razem z szacunkiem do niego. Dopiero wtedy, gdy będzie go cenić i szanować, pragnąć jego dotyku i bać się o niego – nadejdzie czas zdrady.

Zrobiło się jej niedobrze.

Westchnęła, wzięła się w ryzy i podniosła strzelbę.

W drodze do domu wstąpiła na pocztę. Cekał na nią następny list od notariusza, Koperta była grubsza niż zwykle, zawierała co najmniej kilka kartek. Rozdarła ją od razu, kiedy tylko znalazła się sama.

Pierwsza karta była zaledwie wstępem. Ot, kilka rachunków więcej, opiewających na dziewięć funtów, oraz podsumowanie stanu konta. Nie zaszczyciła jej więcej niż

przelotnym spojrzeniem.

Mdłości nie ustąpiły, a wyliczenia finansowej ruiny nie poprawiały samopoczucia.

W załączonym liście Weston domagał się sprawozdania z postępów. Przejrzała list szybko i przeszła dalej.

Ostatnie było pismo od samego notariusza. Ze ściągniętymi brwiami Jessica zaczęła czytać. Zwolniła kroku i zatrzymała się bezwiednie. Nawet ręce nie śmiały jej zdrzeć. Nie umiała odwrócić wzroku od pisma. Zarazem nie mogła przyjąć tego, co czyta.

Tylko jedno w jej życiu było coś warte. Straciła to bezpowrotnie, kiedy zajmowała się uwodzeniem sir Marka w Shepton Mallet. Nawet nie miała okazji się pożegnać.

Wydawało się jej, że powinna płakać, ale tu żadne łzy nie mogły pomóc.

Amalie nauczyła Jessicę wszystkiego o życiu kurtyzany. Wracały do niej jej słowa. „Nigdy nie ufaj mężczyźnie, który daje ci diamenty. Za cokolwiek by przeproszał, biżuteria ci tego nie zrekompensuje. Każdy nowy opiekun to ryzyko i zawsze lepszy jest mężczyzna średnio zamożny na dwa lata niż bogacz na miesiąc. Każda kurtyzana potrzebuje przyjaciółki. Nie przetrwałybyśmy bez siebie nawzajem”.

Ostatnie siedem lat Amalie była dla Jessiki przyjaciółką; źródłem stałego wsparcia w niepewnym życiu. Zajęła miejsce jej sióstr.

Ale Amalie tu nie było i żadna z rad nie mogła Jessiki uchronić przed tą stratą.

Nie myśl, upomniała się. Działaj!

To już nie rada Amalie, a jej własna, którą obdarowała sir Marka. Zawróciła i pospieszyła z powrotem, choć płuca paliły ją niemiłosiernie.

Jutro mogło się to wydać pomyłką, ale dziś potrzebowała przyjaciela.

To był błąd.

Wracając do domu, Mark obracał te słowa w głowie na wszystkie strony, a jego stopy wzbijały na drodze chmury pyłu. Nie przyspieszał, chociaż chciałby biec i zostawić ostatnie zdarzenia jak najdalej za sobą.

Racjonalnie i logicznie rzecz ujmując, mogło się to przytrafić każdemu. Pani Farleigh była wdową, a nie cnotliwą dzierlatką. A połączył ich tylko pocałunek – żarliwy i podniecający, ale tylko pocałunek. Nie przyparł jej do drzewa, jak go przez chwilę kusiło. Nie rzucił na ziemię i nie podciągnął spódnicy. Nie pozwolił sobie nawet dotknąć jej niżej pleców, choć bardzo tego pragnął.

Od flirtu tylko jeden krok do pocałunku. Gdyby był kim innym, powspominałby chwilę smak jej ust i zajął się innymi sprawami.

Mark znał się jednak nie od dziś i dla niego była to katastrofa.

Nie pierwszy raz w życiu stracił nad sobą panowanie. Nienawidził tego uczucia. Wiedział, jak to jest działać bezmyślnie, nie panować nad swoim następnym krokiem. Szał był przedsiönkiem szaleństwa. A Mark doskonale zdawał sobie sprawę, do czego może prowadzić szaleństwo.

Matka w porywach szaleństwa tłukła jego braci. Zrobiła wiele dobrego, ale jednego z nich omal nie zabiła.

Mark nie obawiał się, że obłąd stanie się jego udziałem. Nie dostrzegał w sobie inklinacji do braku rozsądku. Mimo to nienawidził, kiedy wymykał się władzy intelektu. Przypominało mu to, że niezależnie od wszystkiego w jego żyłach płynie matczyzna krew. Prócz włosów i oczu odziedziczył po niej też część temperamentu.

Kiedy dorastał, widział, jak matka przemienia się we wrak kobiety, ograniczona wściekłością i gniewem. Całe dzieciństwo żywił się owsianką; teraz nie mógł nawet na nią spojrzeć. Podobnie było z niechęcią do

skrajnych emocji.

Kiedy myślał o swojej przyszłej żonie, widział kobietę inteligentną, dobrą towarzyszkę, z którą nie musiałby się nudzić i która nie poddawałaby mu się bezkrytycznie. Potrafiłaby się mu przeciwstawić, jeśli uznałaby to za konieczne. W niekończącej się rzece debiutantek, którą niestrudzenie kierowano w jego stronę, nie znalazł jeszcze takiej.

Jego wymarzona miała jeszcze jedną ważną cechę - umiałaby go uspokoić. Musiałby jej ufać, niczego przed nią nie ukrywać i chciałby, żeby potrafiła zawsze przywrócić mu równowagę. Tęsknił do źródła spokoju i wyciszenia.

Nie zapominał też, oczywiście, o cielesnych pragnieniach. Ale kiedy wyobrażał sobie małżeńskie łóżce, co nieraz odbierało mu upragniony spokój ducha, i tak królowała w nim racjonalność. Uprawiali miłość zmysłową i gorącą - w granicach rozsądku. Chciał jednak, żeby po wszystkim umysł miał jeszcze czystszy niż na początku.

Gdy poznał panią Farleigh, zapragnął poddać ją próbie czasu. Wydawała się całkiem możliwą kandydatką.

Była piękna, inteligentna i co najważniejsze

nie bała się rzucić mu wyzwania. Ani trochę nie wierzyła w bujdy o jego doskonałości. Była od dawna pierwszą kobietą, która nie dała się omamić tłumowi klakierów, i dostrzegła, że w głębi serca jest takim samym mężczyzną, jak każdy. Chciał, żeby ktoś umiał mu powiedzieć: „Sir Marku, tracisz panowanie, musisz się wziąć w garść”.

Pani Farleigh mogło się to udać. Zaczynał już mieć nadzieję, że właśnie na nią tak długo czekał, i nie dbał o niczyje zdanie na jej temat.

Teraz stało się jasne, że musi porzucić tę nadzieję. W tej jednej sprawie pani Farleigh całkiem go zawiodła. Bynajmniej nie sprowadzała na niego spokoju; przeciwnie – rozpaliała żądze. Kiedy zamykał oczy, widział trzepotanie jej powiek, spojrzenie, które rzuciła mu przez ramię. Widział jej różowe i rozchylone usta. Pamiętał ich słodki smak.

Rozpaliała go. Przyjmowała jego myśli i zamiast układać je w logiczny porządek, obracała nimi, aż nie wiedział, gdzie góra, a gdzie dół. Mógł tylko myśleć w kategoriach „ona” lub „nie ona”.

Pomimo jej niewątpliwej inteligencji i wszystkiego, co do niej czuł, w tej kwestii nie miał wątpliwości. Nie była dla niego odpowiednia. Była nieodwołalnie, całkowicie

nieodpowiednia.

I jego rozum to wiedział. Co z tego, gdy cała reszta jestestwa nie utożsamiała się z tą decyzją?

Zszedł z pylistej drogi na ubitą ścieżkę w dół zbocza, przy linii brzoź. Droga była ocieniona i wiodła w dół, gdzie przyłączała się do bystrej młynówki i biegła nad jej brzegiem. Otoczyło go chłodne powietrze, którego potrzebował. Spacer mógł mu przynajmniej pomóc pozbyć się frustracji niezaspokojenia. Rozmyślnie szedł dróżką prowadzącą przy domu matki. Poszukiwał sposobu przywrócenia chłodnego dystansu, który obdarzał go spokojem. Fizyczny wysiłek sprzyjał pozbywaniu się niechcianego pożądanego.

Przypomniał sobie o szklanych ceglach, przywołał je, otoczył nimi swoje ciało. Oddalały go od świata, dawały bezpieczeństwo. Szkło było jego tarczą i nic nie mogło go dotknąć. Wierzył, że jeśli ułoży je właściwie, zamknie beczkę prochu, jakim jest pożądanego, i zadusi lont. Znowu będzie miał pełną kontrolę. Zamilknie echo matki, a on ponownie stanie się pewnym siebie i pełnym kultury dżentelmenem.

Koncentrował się tylko na szklanej powierzchni, która tonowała kolory,

zatrzymywała żar i łagodziła kształty. Zostawało tylko to, co trzeźwe i rozsądne. W mentalnym ćwiczeniu budował coraz wyższe i wyższe ściany, aż sięgały pod same chmury i mogły rywalizować z wieżą Babel. Cały czas musiał odrzucać od siebie wspomnienia. Cień dębu na wodzie przywodził na myśl jej włosy, promień słońca wśród cieni – jej gorące i błyszczące usta. Spokojnie pozwolił oddechowi, by złapał spokojny rytm, a żądzom, żeby cofnęły się w głąb serca.

Dopiero wtedy rozejrzał się po okolicy. Odszedł już kilka mil w górę strumienia od domu matki, w oddali widział poczerńiałe cegły jednej z fabryk, spalonych podczas zamieszek. Dostrzegł w nich obraz tego, co mogło go czekać, jeśli podda się zwierzęcym pobudkom. Były ważniejsze rzeczy od egoistycznego pożądania kobiety.

Mark nie był ani swoim ojcem, ani matką. Nie zamierzał powtarzać ich błędów, ale w tym celu musiał zachować władzę nad swoim życiem.

Pomimo że od pocałunku dzieliła go już ponad godzina i choć całą siłę wkładał w tłumienie płomieni, nadal czuł dotyk jej warg.

Nie – rzekł do siebie z mocą. – Nie poddam

się słabości.

Nie zamierzał się przekonywać, że to coś więcej niż zwierzęcy pociąg. Postanowił przestać się z nią widywać. Nie rozumiał tylko, dlaczego ta decyzja wydała mu się naraz błędem.

Natychmiast ogarnął go żal. Uznał to za kolejny dowód, że powinien przestać o niej myśleć.

Z tym postanowieniem zawrócił w stronę domu. Powrót zajął dłużej, bo opędził się już od gnających go emocji. Szedł z powrotem prawie niechętnie. Dom czekał go pusty i zimny, pełen tylko zjaw z przeszłości. Nie tak wyobrażał sobie spokój i porządek, jakich dla siebie pragnął.

Kiedy był dzieckiem, nie miał okazji ich zaznać. Ale nawet wtedy chwilami jego myśli się rozjaśniały. Wystarczyło, że na chwilę wydostał się z codziennego chaosu. W chwilach jak ta, kiedy strach otaczał go zewsząd, odnajdował spokój prawie medytacyjny, powtarzając dawno spamiętane słowa:

*Oto Ty masz upodobanie w ukrytej
prawdzie,*

naucz mnie tajników mądrości (Ps 51,8).

Znał je dobrze i pozwalały mu na powrót do równowagi. Recytował je dla siebie, dla swojej własnej, niespokojnej duszy.

*Stwórz, o Boże, we mnie serce czyste
i odnow w mojej piersi ducha
niezwyciężonego (Ps 51,12)!*

Właśnie tego teraz łaknął - nie lękać się własnych myśli. Spokój jednak nie przyszedł. Nie znalazł żadnego ukojenia. Myśli dalej krążyły wkoło jak szalone.

Wrócił nad brzegiem szumiącej młynówki, aż zobaczył znajomy kształt domu. Takim go właśnie pamiętał: szary i zimny w świetle późnego popołudnia, wśród podmokłych zarośli. Noc zapowiadała się wilgotna i samotna.

Mark westchnął i po raz pierwszy zatęsknił za braćmi.

Kiedy dotarł przed bramę, niedalekie poruszenie zwróciło jego uwagę. Odwrócił się.

Na chwilę czas się zatrzymał. Wewnętrzny spór ucichł. Argumenty, którymi się otoczył, rozsypały się jak domek z kart.

Przybyła jakby wyczuła jego rozpacz. Nie przyniosła spokoju ani równowagi. Skoro nienawidził skrajności, jej widok powinien być

dla niego nieznośny.

Nie był.

Jessica – szepnęły jego myśli.

– Pani Farleigh – rzekł.

– Sir Marku – odpowiedziała. Ciężki płaszcz okrywał ją od szyi po kostki. Pochylała głowę, ale nie z szacunku, tylko jakby dźwigała wielki ciężar. Podniosła wzrok.

Widząc wyraz jej oczu, Mark pragnął podejść do niej i przycisnąć do siebie. Zabrać ją stąd i zamknąć się z nią za ciężkimi drzwiami, aby nigdy więcej nie ogarnął jej taki smutek. Nie wiedział, czy jest odpowiedzią na jego modły, czy pokusą wysłaną przez nieprzyjaciela.

– Wiem, że nie powinnam była do pana przychodzić – powiedziała – szczególnie po tym, co się dzisiaj stało. Domyślam się, co pan sobie myśli. Ale nie przyszedłam wcale po to, żeby dokończyć naszą... dyskusję. Nie mam do kogo innego pójść.

Podeszła jeden krok i Mark zobaczył cienie pod jej oczami oraz drżenie rąk. Tych emocji nie mogła udawać.

– Pani Farleigh... – powtórzył. Postanowił nie mieć z nią więcej nic wspólnego. Mógł jej powiedzieć, żeby zrzuciła z siebie ciężar na spowiedzi, i odciąć się od niej całkowicie.

A pastor pewnie złapałby ją za piersi, po czym oskarżył o nieodpowiednie prowadzenie się.

Mark znał swoje wady, ale nie należała do nich niewrażliwość na cierpienie. Nie umiałby się odwrócić od kobiety w potrzebie, a już w szczególności od tej kobiety. Szaleńczo podniecającej i kuszącej.

Milczał, a ona splotła dłonie w nieświadomym geście.

- Możemy rozmawiać tutaj, jeśli tak będzie panu łatwiej. Mam płaszcz i parasol, na wszelki wypadek. Ale bardzo chcę, muszę z kimś porozmawiać.

W tym momencie Mark zrozumiał, że jest w jeszcze większych tarapatach, niż mu się dotąd zdawało. Wystarczyły bowiem same te słowa, a wszystkie uważnie złożone, głęboko przemyślane obiekcje rozwiały się w jednej chwili. Teraz mógł myśleć tylko o niej.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jessica odczuła wielką ulgę, kiedy sir Mark otworzył cicho drzwi i zaprosił ją do środka. Wziął od niej płaszcz i powiesił w przedsiionku, ale nic nie powiedział, prowadząc ją długim korytarzem, który już raz przemierzyła. W salonie w milczeniu wskazał jej sofę naprzeciwko paleniska. Nastawał chłodny wieczór, a w tych kamiennych murach było wręcz zimno. Mark dorzucił dREW do kominka i poruszył żar, żeby wzniecić ogień.

Ani razu jej nie dotknął, a Jessica była mu za to wdzięczna.

Płomienie zaczęły lizać polana i Mark przystawił parawan, po czym podniósł na nią wzrok. Popatrzył jej w oczy i na blade, zaciśnięte dłonie.

- Przemarzaś - zauważył spokojnie. W niczym nie dał po sobie poznać, że pamięta ich niedawny pocałunek. Po jego głosie wnioskowałyby raczej, że nie ma między nimi miejsca na jakiegokolwiek uczucia. - Napijesz się herbaty?

- Dziękuję. - Dłonie jej zadrżały i Jessica schowała je w fałdach sukienki. - Nie. Nie

lubię herbaty.

Musiał usłyszeć w jej głosie coś niecodziennego, bo popatrzył na nią uważnie. Nie zapytał jednak o to.

- Może kawy albo gorącego mleka?

- Pewnie nie masz porto - wyrwało się jej.

Mark nie wydawał się ani trochę wstrząśnięty, że kobieta ma ochotę na mocny alkohol. Popatrzył na nią tylko z nowym zaciekawieniem, po czym wstał i wyszedł. Dał się słyszeć chrobot i przeciągły zgrzyt. Po dłuższej chwili wrócił z dwiema szklaneczkami i omszałą butelką.

- Porto nie ma - rzekł - ale mam butelkę miejscowej jabłkowej brandy. Próbowalaś tego kiedyś?

Pokręciła głową.

Mark odetkał korek zielonej butelki i nalał karmelowego płynu do szklanki.

- To tutejszy specjał. - Podał jej szklankę; ich palce się nie spotkały. Następnie nalał sobie nieco większą porcję.

Jessica musiała uspokoić czymś nerwy. Wystarczy jeden łyk, pomyślała. Zaczynała żałować, że w ogóle do niego przysła.

Postawił karafkę na stoliku i usiadł na sofie jak najdalej od Jessiki. Sofa była na tyle długa, że nawet gdyby oboje wyciągnęli do siebie

ręce, ich palce ledwie by się zetknęły. Mimo to Jessicę przeszedł dreszcz. Siedzieli – prawie – obok siebie. Kiedy się oparł, poruszyły się poduchy pod jej plecami. Pogłaskała jedwabne obicie.

– Za twoje zdrowie – wznosił szklaneczkę Mark i posmakował trunku.

Jessica powąchała ostrożnie płyn. Ponad słodkim aromatem jabłka wyczuła coś mocnego i surowego. Podrapało ją w gardle.

– Sir Marku, czyżbyś próbował mnie odurzyć? – zapytała niepewnie.

– Nalałem ci ledwie na grubość palca. – Uniósł drwiąco brew. – Masz tak słabą głowę?

Zacisnęła usta i zebrała się w sobie.

– Prędzej sam się osuniesz pod stół – odparła, chociaż nie czuła tej pewności. Podniosła szklaneczkę i wzięła łyček.

Spodziewała się łagodnego smaku podobnego do cydru. Zamiast tego alkohol wlał się jej do gardła, paląc po drodze język i zapierając oparami dech. Zakrztusiła się, przełykając z trudem. To nie był leżakowany latami trunek, jaki džentelmeni pijali w londyńskich klubach. Raczej bimber pędzony przez drwali na nocne libacje. Zalała ją fala gorąca i zabrała troski.

Odchrząknęła i popatrzyła na niewinnie

wyglądający płyn.

- Mogłeś mnie ostrzec. To był zamach!

- To też należy do lokalnej tradycji. - Spróbował się uśmiechnąć, ale kiedy na nią popatrzył, uśmiech od razu zgasł. - Poza tym wyraźnie potrzebowałeś, żeby cię postawić na nogi. Uznałem, że to lekarstwo w sam raz na taką okazję.

Wziął drugi łyk. Spojrzał na karafkę z brandy i szklaneczkę w jej ręce. Podniósł wzrok na jej oczy.

- Przy okazji staram się utopić lepszą połowę mojej duszy.

Jessica pojęła nagle, że brandy nie miała nic wspólnego z jego gorączkowym wejrzeniem. Czuła, że patrząc w te oczy, mogłaby znaleźć upragnione zapomnienie. Zanurzyć się w bezbrzeżnym pożądaniu.

Za jego przykładem wzięła drugi łyk. Łatwiej było jej przełknąć płynny ogień niż sprostać jego spojrzeniu. Jeśli Jessica miała lepszą połowę duszy, to była nią Amalie.

- Szczęściarz - skwitowała. - Ja takiej nie mam.

Nalał sobie trunku do szklanki, na dwa palce.

- Mężczyźni i kobiety nie łączą się w dobro - dodała. - Ciągną nas do siebie nasze mroczne strony. Dobro nie potrzebuje ukojenia.

Nie wiedziała sama, czego pragnie, aż nie wypowiedziała tych słów. Zrozumiała, że nie szuka zaspokojenia czy fizycznej bliskości, ale zaspokojenia znacznie głębszej potrzeby.

Pragnęła pocieszenia.

Mark wziął następny łyk i popatrzył jej w oczy.

- Jeszcze brandy? - zapytał, żeby podtrzymać kontakt.

Jessica położyła dłoń na karku.

- Chyba jeszcze nie wypaliła mi przelyku. Czemu nie.

Chwycił karafkę. Jednak zamiast sięgnąć po jej szklaneczkę, przysunął się bliżej na sofie. Patrząc prosto w oczy, położył dłoń na jej ręce. Jessice zdało się, że ognista brandy, która krążyła w jej żyłach, czerpała żar z jego spojrzenia. Przytrzymał jej rękę, nalewając trunku do szklaneczki.

Podniosła ją do ust, ale Mark nie zwolnił jej ręki, tylko dał się przyciągnąć bliżej, aż ich biodra się zetknęły. Oddychała ciężko. Nie odważyła się napić, kiedy był tak blisko. Jego towarzystwo rozganiało złowrogi cień.

- Co robisz? - zapytała.

- Kontempluję - odparł głucho. - Myślę o dobru i złu.

Jego ręka powędrowała w górę. Pochyliła się

do niego, a on wyjął jej z dłoni szklaneczkę i odstawił na podłozie, obok karafki. Dotknęła jego ramienia i przebiegł ją dreszcz.

- Widzę, że dobro nie zawsze u ciebie zwycięża - zauważyła drżącym głosem.

- Nie całkiem - odrzekł i położył głowę przy jej szyi. Czowała jego oddech na nagiej skórze, rękę otaczającą talię.

Skąd wiedział, że właśnie tego jej trzeba, Jessica nie wiedziała. Ale z całą pewnością dalsza rozmowa doprowadziłaby ją do załamania nerwowego.

Nie rozumiała, jak to się dzieje, że Mark spełnia jej pragnienia. Przesunął kciukiem po policzku i podparł czoło swoim czołem. Inny na jego miejscu nie dbałby wcale o jej dobro. Chciałby ją osiąść, a nie wesprzeć.

- Drżysz - szepnęła.

- Dostałam złą wiadomość.

Nie nalegał, żeby opowiedziała. Niczego od niej nie żądał. Poczowała się z tym źle - przyszła do niego po pomoc, a on dał jej wszystko, o nic nie pytając. Znowu ogarnęły ją popołudniowe mdłości. Ręce zaczęły dygotać.

Jeśli miałyby zdradzić zaufanie jedyne go porządnego mężczyzny w swoim życiu, zasłużyłyby sobie na piekło. Jeśli jednak piekło istniało, była przekonana, że już grzeją tam

dla niej miejsce. To właśnie oznaczało być kobietą upadłą.

Za całą nadzieję służyło jej ramię sir Marka, jego zapach. Jeśli istniało zbawienie, musiało przypominać delikatny pocałunek, który złożył na jej szyi, dotyk jego nosa i szorstkich policzków, silnej dłoni na ramieniu.

Nie czuła, że jest potępiona, kiedy dotknął jej podbródka, a ona uniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. Pocałował ją delikatnie, z czułością. Podłożyła dłonie pod jego łokcie, jakby chciała podtrzymać uczucia, jakie w niej budził. Pocałunek był jak egzotyczna modlitwa, szeptana ciała. Objął ją jak bezcenny i kruchy klejnot.

Czuła się wspaniale. Przytrzymał ją, ale nie krępował, a każda pieśczęta zdawała się błaganiem, pocałunek – pytaniem, na które mogła odpowiedzieć w zgodzie ze sobą, a nie dla zaspokojenia żądań.

Znała tylko jedną odpowiedź. Każdy gorący oddech szeptał przyzwolenie, każdy uścisk dłoni na jego ramionach oznaczał zgodę.

Położył ręce na jej żebrach, rozpalając ją jeszcze. Przesunął usta niżej, muskając jej podbródek, szyję i zostawiając szlak gorąca na skórze. Dłonią objął pierś, palcami poznawał jej kształt dotykiem śmiałym, choć ostrożnym –

wolno i spokojnie, jakby odkrywał przedwieczny skarb i lękał się go zniszczyć.

- Jessico - rzekł cicho przy jej skórze.

Odnalazł sutek, a ona westchnęła głośno. Okręzał go kciukiem, wzbudzając fale przyjemności, które jak alkohol upajały, rozpraszały lęk i bolesne wspomnienia.

Szukała guzików jego kamizelki i obracała nimi po omacku, aż wyłuskała je z dziurek i odsłoniła ciepłe płótno koszuli. Wyszarpała ją ze spodni i wsunęła ręce pod materiał.

Westchnął głęboko, kiedy poznawała dotykiem gorącą skórę i kształt naprężonych mięśni jego brzucha. Inny mężczyzna w tym momencie chwyciłby ją mocno i położył na plecach. On złożył powolny pocałunek na szyi.

- Wiesz - szepnął - kilka godzin temu przyrzekłem sobie więcej z tobą nie rozmawiać.

- Dlaczego zmieniłeś zdanie?

Wzruszył lekko ramionami.

- Czekaaś na mnie. Jak cię zobaczyłem, to od razu pomyślałem, że to tyle z postanowień. Nie mogły wytrzymać takiej próby. Może i jesteś dla mnie nieodpowiednia, ale nie potrafię cię zostawić.

- Ja czuję to samo. Na całej ziemi nie ma dla mnie kogoś gorszego.

- Naprawdę jestem taki zły?
- Taki dobry - odparła. - Sir Marku, tutejsze plotki i tak były dla mnie łaskawe. Byłam związana z kimś oprócz mojego męża.

Zamilkła, ale zmusiła się, by dodać:

- I to nie z jednym mężczyzną.
- Doprawdy! - odrzekł, ale się od niej nie odsunął.

- Wcale nie jestem kobietą uczciwą. Tyle się już na pewno domyśliłeś.

- Gdybyś naprawdę była niemoralna, łatwo by ci przyszło okłamywać mnie dalej. Czy jest coś jeszcze, co musisz mi wyznać?

- Och sir Marku, nawet nie wiem, od czego zacząć wyznanie mojej niegodziwości. Popęłiłam tyle błędów, że jestem jak w labiryncie. I wcale nie chodzi tylko o... utratę czystości.

- A ja zapewne powinienem dbać tylko o nią.

- A nie dbasz?

Ogień rzucał ponury cień na jego twarz, jakby sir Mark zmagił się z wielkim cierpieniem.

- Wcale - rzekł z naciskiem. - Mogę myśleć tylko o jednym. Tylko jedno mnie teraz zaprzęta...

Przybliżył się do niej, a Jessica zbliżyła do niego, aż gorset zetknął się z koszulą. Spuściła

dłonie na jego ręce, miała wrażenie, że powietrze pali jej płuca.

- Co cię zaprzęta...? - szepnęła.

- Myślę - odpowiedział głębokim głosem - że mnie chciałybyś pozostać wierna.

Wsunął rękę pod ramiączko jej sukienki i odsłonił nagie ramię. Jessicę opanowała nieopisana tęsknota. Sam jego dotyk nie mógł wyrwać jej z piersi jęku. Wystarczyło jednak, że poczuła opuszki na ramieniu, a miała wrażenie, że prąd popłynął jej ręką. Patrzył świadomy jej reakcji, w skupieniu woli, i ten jego wzrok przemienił pozornie niewinną czułość w wyrafinowaną pieśczętę.

- Gdybyś był jak inni - zauważyła - uznałabym, że chcesz mnie nagiąć do swoich potrzeb.

- Gdybym był jak inni, nie pozwoliłabyś mi na to. Nie realizuję swoich potrzeb przez naginanie nikogo. Nie składam ci propozycji, tylko obietnicę.

Jessica знаła wagę obietnic składanych w takich chwilach. Nie wierzyła w nie już. Lecz Mark swojej nie wyrzekł. Dotknął ustami jej warg czule, nie lubieżnie. Nie pasował do jej rozumienia świata.

- Powiedziałeś mi kiedyś, że jestem przy tobie bezpieczna. - Przesunęła ręką w górę

jego ramienia i pochyliła się do niego. Czuła przy swojej skórze jego mocne i nieugięte mięśnie. – Najgorszy w celibacie jest zakaz dotyku. Nie stosunku, ale właśnie dotyku.

Nic nie odpowiedział, ale zamknął oczy.

– Kiedy mieszkałam z siostrami, dotyk był bardzo naturalny. Co wieczór plotły mi warkocze, ktoś mnie zawsze przytulił do snu, rannym dawałam siostrze łokciem kuksańca, żeby się pospieszyła.

Nie mogła zapomnieć, po co do niego przysłała. Mogła się starać, ale zawsze wracało. Teraz przeczesał palcami jej włosy. Dawał pocieszenie, którego potrzebowała.

– Kiedy opuściłam dom, znalazłam przyjaciółkę. Miała na imię Amalie. Nie miała łatwego życia. Często mi radziła, mówiła gorzkie słowa, które mi bardzo pomogły. Uratowała mi życie. Była dla mnie sensem życia przez siedem lat. Jedyłą prawdziwą przyjaciółką, na którą mogłam zawsze liczyć, nawet w najstraszniejszej biedzie.

Zaczynały ją piec w oczy skrywane dotąd łzy.

– Dowiedziałam się dzisiaj, że miała wypadek. – Jessica wzięła głęboki oddech. – Teraz jestem naprawdę sama. Nie ma już dla mnie niewinnego dotyku. A już poznałam dni, kiedy byłam tak spragniona, że oddałabym

wszystko, absolutnie wszystko, żeby go poczuć.

Popatrzył jej w oczy. Spodziewała się, że ją pocałuje, lecz Mark objął ją i przycisnął do piersi. Głaskał ją po plecach, powoli, jakby chciał zapamiętać każdy, najdrobniejszy fragment. Gorący oddech muskał jej szyję. Zacisnęła powieki i przytuliła się do niego.

Niewinny uścisk, ale jednak nie całkiem. Jego oddech drżał.

- Ale nie jesteś - powiedział łagodnie.

- Potrzebuję bliskości.

- Nie to miałem na myśli. Nie jesteś sama.

Być może to właśnie była jego niewypowiedziana obietnica, domyślała się Jessica. Trzymał ją z mocą powstrzymanego pożądania. Dociskał palce do pleców, jakby szukał rzeczywistego oparcia. Jednym pocałunkiem rozpętałaby niszczący huragan żądy. Wiedziała, że teraz mogła zwyciężyć, zaprzędając czułość jego objęć.

Nie umiała zapomnieć, że jest całkiem sama. Przekonywała się, że szuka czułości tam, gdzie jej nie ma, niewinności w cielesnych pragnieniach, że powinna wykorzystać nadarzącą się okazję i obrócić pożądanie przeciwko niemu, dopóki może. Jeden dotyk by wystarczył, żeby przepełnić czarę. Tego

przede wszystkim uczyła ją Amalie - przetrwania za wszelką cenę.

Teraz powinna żyć za dwie.

Trzymał ją tak długo, aż jego oddech się wyrównał, niecierpliwe napięcie mięśni ustąpiło.

Jessica wyrzucała sobie, że jest słaba i poddaje się sentymentom. Nie umiała się zmusić, żeby go zniszczyć.

Dotknęła dłonią jego policzka.

- Już czas - szepnęła - żebym poszła do domu.

Tym razem pozwoliła mu się wymknąć.

Czerwone promienie zachodzącego słońca zalały sypialnię Marka. Kiedy wyrzął przez okno, raziły jego oczy. Dojrzał tylko koralowy zarys wzgórza.

Odwrócił wzrok, ale w oczach pozostał odblask słonecznej tarczy i przywiódł mu na myśl Jessicę. Kiedy była przy nim, płonął. Oprócz niej widział niewiele. A kiedy jej nie było, wystarczyło, że zamknął oczy, a znowu się pojawiała.

Pożądanie znał bardzo dobrze i nie obawiał się go. Było jak obwoźny handlarz, który zjawiał się niespodzianie pod drzwiami. Jeśli nachyliło się ku niemu ucho, nie można go było

odprawić i w końcu kupowało się coś całkowicie niepotrzebnego.

Od wczorajszego wieczoru pożądanie go już nie opuściło i dręczyło niekończącą się skargą.

Owionął go chłód zapadającego zmroku, ale w niczym nie wystudził gorących myśli. Tylko jedno mogło ukoić targane nimi ciało. Musiał zrobić coś uznawanego za grzech. Lepiej jednak było popełnić niewielkie wykroczenie niż całkiem stracić głowę, kiedy znowu ją zobaczy. A kolejne spotkania były nieuniknione.

Wciąż widział ją w myślach. Rozpuszczone włosy opadały na jasne ramiona, a nie była ubrana w szkarłatną suknię. Okrywała ją tylko czarna halka, którą widział pod spodem.

Wyobrażał sobie, jak unosi delikatny materiał i odsłania łydki, uda. Prawie czuł dotyk jej rąk, ciepłych warg, na nowo poznawał talię. Naraz przed oczami stanęła mu Jessica na krawędzi przepaści, nad doliną. Suknia łopotała na wietrze.

Mark otworzył oczy. Pokój z wolna wypełniał granatowy mrok wieczoru. Pozbył się żądz. Ale pomimo to nadal nie myślał jasno. Był samotny w ciemności.

Liczył, że uwolni się od pragnień. Miał nadzieję, że pożądanie go opuści. Kiedy jednak

położył się do łóżka, znowu zapragnął poczuć jej dotyk, chciał, żeby leżała obok, żeby mógł jej dotykać, poznawać skórę palcami i ustami. Nie dla grzechu i zaspokojenia ciała. Dla ulgi w tęsknocie.

Otworzył oczy i odetchnął głęboko. Przywoływał mrok i chłód, w wyobraźni przemierzał podwodne jaskinie i przedzierał przez śnieżne zawieje. Nasłuchiwał grania świerszczy w głębinach nocy. Żadne obrazy nie rozpraszały już ciemności. Ale nawet teraz, choć oczyścił już umysł, czuł mocne bicie serca – głęboki rytm pożądania.

Pani Farleigh – Jessica – nie była skromna. Nie była nawet przyzwoita. Mimo to Mark musiał zebrać się w sobie i stawić czoło prawdzie, której już zbyt długo unikał.

Miał już dość opierania się Jessice.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Jest może dla mnie poczta? - zapytała Jessica.

Na poczcie panował mrok. Jessica miała nadzieję, że w tej ciemności ukryje się też znajomy rumieniec upokorzenia. Nie zносиła pytać o korespondencję. Czuła się jak żebraczka z dzwonkiem na rogu ulicy, którą ludzie omijają szerokim łukiem, unikając jej wzroku.

List, który dostała kilka dni temu, odebrał jej wszystko, na co mogła w życiu liczyć. Było jej wręcz głupio, że czeka na jeszcze jakąś wiadomość. Mimo to nadzieja była uparta i podszeptowała, że może właśnie otrzyma list, który zadośćuczyni za ostatnie cierpienia. Minęło już wiele lat, odkąd wyrzekła się jej rodzina. Dlaczego akurat dzisiaj miałyby się skończyć jej baniec?

W końcu, pomyślała, w tym tygodniu dostałam już wiadomość od notariusza.

Pani poczmistrzowa jednak pokiwała głową.

- Tak się składa, że jest.

Jessica nie wiedziała, że wstrzymuje oddech, póki znowu nie zaczerpnęła powietrza.

Zakręciło się jej w głowie. Z trudem powstrzymała się od categorycznego żądania, żeby kobieta natychmiast wydała przesyłkę.

- Zakładając, że to o panią chodzi, bo na liście stoi nazwisko Jess Farleigh.

Jess. Tego zdrobnienia nigdy nie słyszała w rodzinie. W jednej chwili podniecenie zamieniło się w wielki ciężar.

- O mnie - przyznała.

Tylko jedna osoba nazywała ją Jess. Skoro pisał do niej bezpośrednio, omijając prawnika, musiał być już bardzo niecierpliwy. Minęło zaledwie kilka dni, odkąd się do niej ostatnio odezwał.

Nie zależało jej na kolejnym liście, który przypominał, co czekało na nią w Londynie. Ale poczmistrzowa podawała jej już kopertę. Jessica wzięła ją ostrożnie w dwa palce. Przeszły ją wstrętne ciarki na myśl, że ten człowiek trzymał kopertę w tym samym miejscu, gdzie dotykała przez rękawiczkę. Nawet tak pośredni kontakt napawał ją wstrętem.

Wyszła na rynek. Żałowała, że popuściła wodze fantazji. Nadzieja to kapryśna przyjaciółka. Słuchanie jej sugestii przypominało Jessice objadanie się słodyczami. Z początku cudowne uczucie

kończyło się jeszcze większym zmęczeniem, gdy opadła chwilowa fala energii.

Po siedmiu latach zaczynała zdawać sobie sprawę, że musi się pogodzić z rzeczywistością: przestała dla nich istnieć. Ojciec wyrzekł się jej i została ich wyblakłym wspomnieniem. Brak listu nie był wcale zaskoczeniem ani już tak miazdzącym ciosem.

Po prostu ten jeden dzień wydawał się jej inny.

Rozdarła kopertę od Westona i wyjęła pół kartki papieru z nagryzmołonymi słowami.

Jess - pisał - przyspiesz sprawę. Pod koniec przyszłego tygodnia Lefevre ogłosi swoje odejście. Masz jak najszybciej zdyskredytować tego świętoszkowatego bałwana. Po co mi jego ścierwo, jak i tak nie zostanę komisarzem?

Sprawdziła datę i policzyła dni. Biorąc pod uwagę czas potrzebny, by powróciła do Londynu i opublikowała swoje doniesienia, pozostały jej trzy dni. Trzy dni w towarzystwie Marka, zanim będzie musiała go zniszczyć.

- Dzień dobry - zabrzmiał głos za jej plecami. Jessica obróciła się w jednej chwili, mnąc papier w pięści.

- Sir Mark! - zająknęła się z biciem serca, słysząc szum własnej krwi.

- Mark - poprawił ją.

- Słucham?

Był poważny, mówił bez uśmiechu.

- Mam na imię Mark - odrzekł. - Dla ciebie.

Słońce świeciło dla niej zbyt mocno. Nikogo nie było w pobliżu, ale stali pod oknami gospody i mógł na nich patrzeć każdy.

Masz jak najszybciej zdyskredytować tego świętoszkowatego bałwana - przypomniała sobie słowa listu.

- Jak się dzisiaj miewasz? - zapytał.

Mogła go zniszczyć i nie widziała innego wyjścia. A on właśnie zaproponował jej wprost, żeby zwracała się do niego samym imieniem i zainteresował się jej samopoczuciem.

Chciała wykrzyczeć mu w twarz, że jest ostatnim durniem, bić go pięściami w pierś. Musiała go zniszczyć!

- Jessico? - zapytał łagodnie. Byli na odsłoniętym placu, na widoku. - Czy mogę się do ciebie tak zwracać?

- Nie rób tego - odparła nieswoim głosem.

- Czego mam nie robić? Przyznawać się do zażyłości? Nie mogę się jej wypierać. A może mam nie oczekiwać niczego więcej? Próbowałem. Nie potrafię.

- Sir Marku, być może nie wyraziłam się

jasno ostatniego wieczoru. Byłam w pozamałżeńskich związkach. Nie możesz mi ufać.

- Tak - zgodził się, niewzruszony - a mimo to jesteś przedziwnie wierna sobie.

Jessica poczuła się, jakby dostała od niego pięścią w brzuch. Zgnieciony list Westona palił ją w rękę. Wkrótce miała skrzywdzić Marka. Jak miała to zrobić, skoro niewiele brakowało jej do płaczu?

- Przemawia przez ciebie pożądanie, a nie rozsądek - odparła ostro. - Podobno napisałeś praktyczny przewodnik do cnoty. Bądźże więc teraz praktyczny. Nie jestem wcale sobie wierna. Nie możesz mnie cenić.

- Lepiej byś się czuła, gdybym chwalił twoje ciało, a nie szczerze wyznawał uczucia?

- Tak - wyrzuciła z siebie. - Tak! Czułabym się daleko lepiej!

- Daj spokój, Jessico. Jeden błąd nie skazuje cię na wieczne potępienie. - Patrzył na nią czule. - Wiem, że jesteś przygnębiona wiadomością o swojej przyjaciółce.

Jeden błąd? - powtórzyła w duchu. Nie umiałaby zliczyć swoich błędów. To przez nie wypełniała ją gorycz.

- Nie próbuj mnie idealizować - ostrzegła.

- Nie? - zdziwił się. - Czego byś więc

chciała?

Patrzyła w poły jego płaszcza, jakby mogła tam wyczytać wszystkie potrzebne odpowiedzi. Mark czekał cierpliwie.

W końcu podniosła wzrok.

- Chciałabym znowu poczuć się żywa - odpowiedziała miarowym i czystym głosem. - Chciałabym nigdy więcej nie być zmuszana do kłamstwa.

Zamilkła i pokręciła głową.

- Sir Marku - szepnęła. - Marku, nie zmuszaj mnie do tego.

Jessica dobrze знаła swoje błędy, ale to on miał rację. Chociaż żyła w grzechu, rozpaczliwie trzymała się ostatniego bastionu wiary, była wierna sobie i wobec siebie szczerą. Utracona moralność była ceną przetrwania, ale tym razem musiała zaprzedać coś więcej. Jeśli zgubi Marka, zgubi też siebie.

Nie mógł się jednak domyślić, o co go prosiła, a ona nie zatraciła instynktu samozachowawczego - nie mogła mu powiedzieć. Mimo tego chciała, żeby ją znienawidził i uniknął losu, jaki mu gotowała.

- Wcale cię nie idealizuję - dodał. - Pragnę czegoś innego.

- Może mi więc powiesz czego?

Spojrzał w dół, a Jessica przypomniała sobie,

gdzie ją wieczorem dotykał. Uświadomiła sobie też, gdzie jej nie dotknął, poczuła mrowienie delikatnej skóry na jej brzuchu i po wewnętrznych stronach ud. Tym razem pieścił ją tylko spojrzeniem.

- Teraz? - zapytał swobodnie, co nijak nie pasowało do mocy jego spojrzenia. - Teraz wystarczy mi, jeśli będziesz mówiła mi Mark. Chciałem też cię zapytać, czy słyszałaś, że dziś występuję? Mam przemawiać przed Gwardią Kawalerów Czystości.

- O czystości?

Przytaknął poważnie.

- Po wczorajszym wieczorze mogę z całą skromnością przyznać, że powinni mi przyznać medal w uznaniu zasług. Przyjdź. Odprowadzę cię potem do domu. Pomyślałem, że przyda ci się towarzystwo.

Jessica uznała, że dość już go ostrzegą. Mówiła mu wprost, żeby się od niej trzymał z daleka. Mark chciał się jednak rzucić jak ćma prosto w jej ogień. Nie miała już siły go powstrzymywać. Najwyraźniej upokorzenie go było jej przeznaczeniem. Zgodnie z wyrokami losu miała go uwieść, jak Ginewra uwiodła Lancelota.

- Dobrze - zgodziła się. - Przyjdę.

Poczuła, jakby właśnie wypowiedziała

bluźnierstwo.

Tego wieczoru kościół wypełnił się po brzegi na długo przed czasem. Mark nie znał dźwięku podobnego do pomruku rozmów, nim przemówił do tłumu. Nim powiedział pierwsze słowa, mogło się wydarzyć wszystko. Mógł sprowokować zamieszki. Albo, co nawet bardziej prawdopodobne, uśpić wszystkich słuchaczy.

Pastor oddał kościół na potrzeby GKC. Ratusz nie mógłby pomieścić takiego grona. Wyglądało na to, że przybyli wszyscy wierni z tej i sąsiednich parafii. Ławy były pełne oczekujących niecierpliwie na rozpoczęcie wykładu zorganizowanego przez Tollivera – choć od jego ogłoszenia minęło tak niewiele czasu.

Jessica tym razem siedziała w jednym z pierwszych rzędów. Mieszkańcy Shepton Mallet zaczynali ją już akceptować. Bardzo się to Markowi podobało. Nie była już wyrzutkiem, usadowiono ją obok pani Metcalf. Mimo to u jej drugiego boku siedział pastor Lewis. Jessica patrzyła wprost przed siebie z twarzą pozbawioną wyrazu, podczas gdy on wciąż do niej mówił. Mark nie słyszał oczywiście słów, ale był pewien, że pastor

prawił jej kazanie. Jessica może została zaakceptowana, ale nie ufano jej wcale. Bolało to Marka. Wiedział, że zasługuje na znacznie więcej.

Dwa pierwsze rzędy zajmowali młodzi mężczyźni, wpatrujący się w Marka błyszczącymi oczami, gotowi chłonąć jego słowa. Mieli błękitne opaski, którymi wyróżniali się aktywiści GKC. Opaski, jak wyjaśniono Markowi, były wykorzystywane pod dachem, gdzie cylindry - wraz z kokardami - nie byłyby mile widziane. James Tolliver zajmował miejsce u prawego boku Marka i kiedy zebrani zajęli już miejsca, gestem uprosił o ciszę. Zapadła niemal natychmiast.

- Naszego dzisiejszego gościa nie trzeba wam przedstawiać - rzekł. - Wszyscy doskonale znamy wielkiego, wspaniałego i nieocenionego sir Marka.

Mark miał ochotę ukryć twarz w dłoniach. Wspaniały? Nieoceniony? Wolał mniej górnolotne określenia, nigdy nie chodziło mu o cokolwiek więcej niż zwykłą przyzwoitość. Biorąc pod uwagę to, jak daleko zaszła w ostatnim tygodniu jego znajomość z Jessicą, nawet na miano przyzwoitego w swoim przekonaniu już nie zasługiwał. Jakimś cudem

ta myśl nie przyprawiła go o poczucie winy.

- Jak wiecie, sir Mark jest autorem słynnego dzieła *Praktyczny przewodnik cnotliwego dżentelmena*. Tutaj, w Shepton Mallet, znamy każde zdanie tej świętej księgi.

Świętej? Mark o mało nie palnął Tollivera oprawną księgą do nabożeństwa, która leżała otwarta przed nim na pulpicie.

- Spamiętaliśmy każde przykazanie - inkantował Tolliver. - Jego szlachetne rady wyryliśmy w swoich sercach.

Mimo to na kartach członkowskich zniekształcali rzeczony rady, które zresztą spisał człowiek, a nie bóstwo.

Tolliver mówił dalej niezrażony.

- Przyjęliśmy jej kredo za własne - my, członkowie Gwardii Kawalerów Czystości - i poświęciliśmy się prawości, poznaliśmy sztukę odrzucania pokusy.

Mark pomyślał o Jessice i o tym, jak ją pierwszą chcieli odrzucić. Zacisnął pięści.

- Dzisiaj sir Mark przemówi do nas i powie, jak najlepiej pielęgnować czystość. Ja pierwszy wyteżę ucho i uwagę.

Rozległy się brawa i wiwaty. Mark miał zamęt w głowie. Nie zliczyłby, ile par oczu się na niego zwróciło, ale było ich najmniej dobre kilka setek. Nie pierwszy raz wygłaszał

wykład, ale nigdy nie cieszył się z tej perspektywy. Mówienie do setek ludzi było jeszcze gorsze niż puste rozmowy w towarzystwie. Wyczekujące spojrzenia czuł jak setki wbijających się w niego szpilek.

Ludzie zawsze oczekiwali po nim niezwykłych oratorskich umiejętności, a zwykle był zaledwie przeciętny. Na dziś przygotował też swój zwyczajny repertuar, streszczenie kilku ważniejszych punktów swojej książki z upomnieniem, że jest zwyczajnym śmiertelnikiem, a nie, jak chcieliby niektórzy, świętą ikoną.

Po zakończeniu kilku pierwszych wystąpień czekał na pomruk rozczarowania. Może nawet w cichości ducha liczył, że ktoś wstanie i zawoła: „Słyszeliście, co powiedział? Sir Mark jest zwykłym oszustem, po co my go w ogóle słuchamy?”.

Byłyby zamieszki, gazety odwróciłyby się od niego równie prędko, jak wzięły jego stronę, wietrząc zarobek. W kilka miesięcy zostałyby zapomniane, a entuzjazm mas znalazłby ujście w innym, zapewne bardziej godnym obiekcie.

Im bardziej jednak upierał się, że nie jest nikim niezwykłym, tym większe budził zainteresowanie. Reagowali, jakby mówił z jakiejś fałszywej skromności, zamiast

zwyczajnie uznać jego szczere słowa. Mark miał wrażenie, że gdyby nawet zawiązał spółkę finansową z samym diabłem, gratulowano by mu nosa do interesów. Ludzie klepaliby go po ramieniu, a kiedy wyraziłby zainteresowanie ich duszami, mdleliby z rozkoszy, że zwrócił na nich uwagę.

Raz jeszcze spojrział na Jessicę. Nie mógł zbłądzić. A dopóki się za nią nie wstawił, oni uważali, że jest zgubiona. Oboje wymagali szczególnego podejścia – on był wielbiony, ona potępiana. A przecież to on położył dłoń na jej piersi i pierwszy ją pocałował. Miał opowiadać zebrany o czystości, kiedy ostatni tydzień zaprzętały go zdecydowanie nieczyste myśli.

Przepaść między nimi zdawała się nie do przekroczenia. Naraz zwrócił uwagę na pastora, siedzącego obok Jessiki. Była ubrana w wieczorową suknię do okazji wieczornego wykładu. Wyglądała odpowiednio skromnie, ale koronkowy dekolt i tak przyciągał uwagę nagością kremowej skóry i pełnią miękkich kształtów. Pastor dyskretnie zaglądał kątem oka w ten dekolt i to właśnie sprawiło, że Mark z miejsca zrezygnował z drobiazgowo przygotowanej przemowy.

- Dobry wieczór - rzekł, a jego głos poniósł się w najodleglejszy nawet zakątek świątyni.

Wszyscy nachylili głowy jak łan zboża, gdy zawieje wiatr. - Zwykle mówiłbym o tym, że jestem taki sam, jak każdy mężczyzna. Nie ma powodu, żebyście słuchali mnie uważniej, niż kogokolwiek innego. Przyznałbym się do swojego udziału w powszechnej hipokryzji. Nie dajcie się zwieść, jestem hipokrytą. Ale na tę chwilę postanowiłem odłożyć tę sprawę na bok. Mamy tu znacznie większych hipokrytów.

- Dla przykładu - rzekł po chwili, omiatając wzrokiem chłopców z błękitnymi opaskami, którzy zadowoleni z siebie zajmowali honorowe miejsca - członkowie GKC to największa banda łgarzy, jaką miałem przykreść poznać.

Zapadła bolesna cisza, jakby kilkaset osób w jednej chwili zapomniało, jak się oddycha.

Mark popatrzył na Tollivera.

- Mówicie, że moja książka jest dla was tak ważna, a mi się zdaje, że nawet nie zadaliście sobie trudu, żeby przeczytać z niej choć jedno zdanie. Mówię to, bo Gwardia Kawalerów Czystości nie pojmuje mojego najważniejszego przesłania. Pozwólcie, że odkryję przed wami tę tajemnicę.

Zrobił znak, który pokazał mu Tolliver na pikniku.

- W *Przewodniku dżentelmena* nie ma o tym

ani słowa. Ani słowa! Powiedziano mi, że to ostrzeżenie. W ten sposób sygnalizujecie obecność niebezpiecznej kobiety.

Tolliver wpatrywał się w Marka skrzywiony, marszcząc brew.

- Oskarżacie i wytykacie palcami, a wszystko to w rzeczywistości znaczy tylko, że mężczyzna, który grzeszy i błądzi, jest wart ocalenia i łatwo może wrócić na drogę cnoty. Wystarczy, że odmówi sobie przyjemności. Kobieta jednak, która zejdzie z drogi cnoty, staje się nieczysta i jest na zawsze wyklęta.

Na te słowa gdzieś tam pojawiły się szaleńczo trzepoczące wachlarze.

- Nie winię żadnego z was - podjął. - Nie dał wam zbyt dobrego przykładu proboszcz, który nie widzi nic zdrożnego w maltretowaniu kobiety, o ile tylko nikt go nie przyłapie.

Jessica podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego blado, ale smutek w jej oczach nie zniknął. Pastor jednak momentalnie oderwał wzrok od jej dekoltu i wyprostował się godnie. Nawet tak drobne zwycięstwo ucieszyło Marka.

- Wyjaśnię wam więc moją koncepcję, skoro jej dotąd nie poznaliście - ciągnął. - Nie ma niebezpiecznych kobiet. Jeśli tracę dla kobiety głowę i zapominam, co jest słuszne, to ja

jestem niebezpieczny. Dla siebie i dla tej kobiety również. Jeśli ktokolwiek z was przeczytał moją książkę i ma dla mnie szczególny szacunek, nie rozumie jej podstawowego przesłania.

Dał się już ponieść fali gniewu. Jeden, jedyny raz nie miał potrzeby go powściągać.

- Nie ma nieczystych kobiet ani rozpustnych mężczyzn. - Mark z całych sił ścisnął krawędź podium. - Nie ma świętych. Żaden z was, mężczyźni, nie chce o tym słyszeć. W końcu jeśli to nie kobiety zwodzą was na manowce, to schodzicie z dobrej drogi całkiem sami. Jeśli nie jestem nikim niezwykłym, to cnota jest w zasięgu was wszystkich. A to znaczy, że jesteście odpowiedzialni za wszystkie wasze błędy i musicie zadośćuczynić całemu złu, jakie wyrządziliście. Nie ma na kogo zrzucić winy. Nie można zrobić z kobiety ofiarnego kozła, nawet jeśli jest ładna, radosna i mądra.

Jessica patrzyła na niego wielkimi, lśniącoymi oczami, ale nadal był w nich żal.

- Za każdym razem, kiedy swoim tajemniczym sygnałem wskazujecie na niby niebezpieczną kobietę, to nie okazujecie się silni. Okazujecie słabość. Jaki mężczyzna kryje się ze swoim brakiem charakteru za kobietą? Kto rzuca oskarżenia na inną, zamiast

przyznać, że zdarzają mu się błędy? Dlatego nie mam na razie o was wysokiego mniemania. W tej chwili jesteście dla mnie bandą tchórzów i oszustów.

Jessica aż otworzyła usta. Czy nikt dotąd nie stanął po jej stronie? Nie miała nigdy obrońcy?

- Jest może jeszcze jedna podstawowa kwestia, której dotąd nie zgłębiliście - dodał. - Jeśli uważacie, że kobiety dybią na wasze dusze... To wszystko się wam pomieszało. Nic nie rozumiecie.

Popatrzył jej w oczy i następne słowa przeznaczył specjalnie dla niej.

- Kobiety nie są nieprzyjaciółkami cnoty. Właśnie z ich powodu cnota jest tak ważna. Nie dlatego powinniście pielęgnować czystość, że dbacie o zdanie innych, ale dlatego że jeśli ktokolwiek poddaje się niskim pobudkom, krzywdzi kobietę. To ona dźwiga odpowiedzialność społeczną. To ona rodzi nieszczęśliwe dzieci i ona jest potępiona. A mężczyzna? Dezaprobata wobec mężczyzny mija szybko, ale tylko bezduszny łajdak nie dba o cierpienie, które wyrządza. Tylko smarkacz pozwala innym ponosić konsekwencje własnych czynów i obarcza ich swoją słabością.

Dla Marka nie istniał już tłum. Widział tylko

Jessicę i myślał tylko o niej. A ona patrzyła na niego nieruchomo jak marmurowy posąg.

- Wiem, jak zachowuje się ktoś wierny własnym przekonaniom - mówił. - Ktoś taki bierze odpowiedzialność na siebie. Taką postawę cenię i podziwiam, a nie fałszywe pretensje do prawości.

Mark miał wrażenie, że zbiera się jej na płacz. Odwrócił wzrok. Znał jej dumę. Nie chciałaby, żeby widział jej łzy.

- Więc jeśli ktoś twierdzi, że kobieta doprowadziła go do upadku - popatrzył po kawalerach czystości - zachowuje się jak nieodpowiedzialny smarkacz.

Tolliver aż się skulił pod jego spojrzeniem. Po raz pierwszy doszedł do głosu chłodny rozsądek i Mark zrozumiał, że dał się ponieść za daleko. Wyzywał ich od tchórzy i smarkaczy jak najgorszy, straszący ogniem piekielnym kaznodzieja.

Jednak myśl o Jessice samej wśród tego tłumu budziła w nim głęboki sprzeciw. Nie żałował jednego słowa.

- Proszę - dodał na koniec, strzepując ręce jak Poncjusz Piłat, kiedy zrzekł się wyroku. - Skończyłem z wami.

Zamilkł i odwrócił się. W kościele panowała martwa cisza. Zdążył jednak zrobić tylko trzy

kroki i tłum porwał się z miejsc z dzikim aplauzem.

Mark nie mógł w to uwierzyć.

- Poszaleliście? - wołał. - Wyzwałem was od pętałów!

Ale jego głos nie przebił się przez huragan oklasków, gwizdy i wycie. Marka ogarnęła rezygnacja. Otoczyli go słuchacze, klepali po plecach, dziękowali, choć zrobił wszystko, żeby go znienawidzili.

- Wspaniała mowa, sir Marku! - wołał Tolliver.

- Jakie szczere wyznanie!

- Zainspirował mnie pan do życia w prawdziwej prawości.

- Wszyscy są zachwyceni. Może poza panem Lewisem - dodał Tolliver. Chyba był trochę zły. A pani Farleigh już wychodzi.

Mark spojrział w stronę kruchty, którą wypełniał tłum. Mimo to zobaczył ją. Odchodziła bez słowa.

- Tolliver - rzucił pośpiesznie - wyświadczyć mi przysługę. Nie pozwól nikomu mnie zatrzymać.

- Słucham?

Marka już jednak nie było. Nie miał czasu na wyjaśnienia. Przedzierał się przez tłum. Nie zamierzał pozwolić jej zniknąć.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Jessico!

Nie chciała się odwrócić, szczególnie że to on ją wołał. Bała się nawet na niego spojrzeć. Musiałyby wtedy sprostać sprzecznym, poplątanym uczuciom.

Ale dopędził ją, słyszała zbliżające się kroki. Musiał gnać za nią od samego rynku.

- Jessico - powtórzył, kiedy się z nią zrównał.

- Sir Marku. Mówiłam panu, żeby mnie pan nie idealizował. Pan... jest kompletnym idiotą.

Nie zareagował na obelgę.

- Naprawdę myślisz, że o to mi chodzi? Widzieć jakąś wyidealizowaną wizję zamiast ciebie? Słyszałaś choć słowo z tego, co mówiłem? Wcale nie chodzi o ciebie.

- Nie? No to chce pan zrobić z siebie bohatera.

- Jessico.

- Całkiem zapomniałam. W końcu otrzymałeś tytuł szlachecki. Zatem nic dziwnego, że czasem olśniewasz szlachetnością.

Pokręcił głową.

- Czy krzyczysz na mnie, ponieważ cię lubię?

- Tak!

- No to będzie lepiej, jak się przyzwyczaisz - odparł. - Bo nie mogę o tobie zapomnieć. Cały czas tylko o tobie myślę. Możesz sobie zedrzyć gardło, a ja i tak nie przestanę.

- Może się o to założymy?

- Spróbuj - rzucił jej wyzwanie. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął złoty zegarek. - Jest trzy minuty po ósmej. Zaczynaj. Krzycz z całych sił i mną się nie przejmuj. Będę ci liczył czas.

Jessica jednak dobrze wiedziała, ile ma czasu. Zostały jej zaledwie dwa dni, żeby go uwieść. Popatrzyła na niego. Nie odwrócił oczu, stał jedynie i tupał nogą. Nagle dotarła do niej cała absurdalność sytuacji i wybuchnęła śmiechem. W jednej chwili znalazł się tuż obok i objął ją. Nie była już pewna, czy wciąż się śmieje, czy może płacze, póki nie pogłaskał jej po głowie.

- Już dobrze - szepnął. - Czy naprawdę minęło aż tyle czasu, odkąd ktoś wziął twoją stronę?

- Wieki. Nawet nie pamiętam. - Dawno już przestało mieć dla niej znaczenie, że musi polegać jedynie na sobie. Liczyło się tylko, żeby dobrze upaść, kiedy ktoś znowu podstawi jej nogę.

Kiedy zostawili za sobą miasteczko, Jessica odetchnęła głęboko.

- Sir Marku, to co dziś powiedziałeś, poruszyło mnie. - Było to zbyt łagodne słowo. Miała wrażenie, że patrzy na archanioła zemsty, gotowego siać wokół pożogę.

- Co ty powiesz - odrzekł szorstko.

- Dlaczego wybrałeś działkę cnoty wśród mężczyzn, kiedy mogłeś się sprawdzić na innych, znacznie bardziej obiecujących polach? Na takich ludzi czekają prawa ziemskie, powszechne wybory czy edukacja! Tyle społecznych wyzwań i każde woła o ciebie. A większość łatwiejsza.

- To dlatego że kobiety cierpią za winy mężczyzn...

Obróciła się i stanęła przed nim. Musiał się zatrzymać. Podniosła rękę i dotknęła jego ust, powstrzymując wzbierający potok słów.

- Nie - rzekła. - Nie chcę słuchać teorii. Czytałam twoją książkę. Ale dzisiaj mówiłeś z wielką siłą. Nie poniosłyby cię emocje, gdybyś nie poruszył osobistej sprawy. Nie pytam, dlaczego mężczyźni powinni być cnotliwi. Pytam, dlaczego jest to takie ważne dla ciebie!

Patrzył na nią bez słowa. Jessica powoli zabrała rękę. Czekwała, czy jej nie potępi.

Mark pokręcił tylko głową.

- Wiesz, że nikt dotąd nie zadał mi tego

pytania? Nawet moi bracia.

- Zawsze byłam zuchwałą.

W jego oczach nie dostrzegła żadnej natarczywości. Nie pożerał jej wzrokiem, nie miała wrażenia, że widzi w niej tylko obiekt pożądania. Mimo to patrzył z zaborczą mocą.

- Z zuchwałością jest ci do twarzy - odparł i podał jej ramię. Wsparała się na nim i ruszyli dalej w drogę.

Długo nic nie mówił, ale z napięcia mięśni wnioskowałą, że pamięta o jej pytaniu.

- Z powodu mojej matki - odrzekł w końcu.

- Słyszałam o niej. Ludzie czasem o niej mówią.

- Co słyszałaś? - zapytał ostrożnie.

- Była hojną i bogobojną kobietą. - Jessica obawiała się mówić więcej. Żaden mężczyzna nie reagował dobrze na krytykę matki, nawet jeśli sam był skłonny ją krytykować.

- Plotki na pewno były bogatsze w szczegóły.

- Była żoną właściciela fabryki. Słyszałam, że rozpaczała po jego śmierci i przez tę żałobę trochę... zdziwaczała.

- Całkiem oszalała.

Jessica pokiwała głową ze współczuciem.

- Musiało być jej ciężko w takim smutku...

- Nie oszalała z rozpaczy - wszedł jej w słowo Mark. - Nienawidziła ojca. Zawsze

była dość religijna, niezwykle religijna. On rzadko nawet uczestniczył we mszy. Już samo to by wystarczyło. A ona podejrzewała jeszcze, że zatrudniał w fabryce kobiety przez wzgląd na to, jakie świadczyły mu... dodatkowe usługi. A kiedy zaczęły się skarżyć, sprowadził maszyny, które wykonywały większość pracy, żeby zwolnić najbardziej krnąbrne.

- Och! - szepnęła.

- Nie myliła się całkiem. Kilka wykorzystał na pewno. Ale czy wszystkie? Na pewno nie. Matka nabrała przekonania, że cały majątek był oparty na rozpuście. Znienawidziła pieniądze i wszystko, co jej o nim przypominało. Jeśli spotkała na ulicy kobietę, od razu uznawała ją za ofiarę swojego rozpustnego męża. Zaczęła sprzedawać... z początku tylko poszczególne przedmioty. Potem opuściła wszystko, czemu ufał. Kiedy moja siostra zapadła na zdrowiu, nie chciała wezwać lekarza. Mówiła, że Bóg sam zadecyduje, czy wróci do siebie.

Zachodziło słońce. Czerwieniało gorąco tuż nad polami. Obmyło twarz Marka purpurą, włosy rdzą.

- Ledwo pamiętam, jak siostra umarła. Wciąż byłem jeszcze dzieckiem. Matka

przyjęła to za znak bożej woli. Potem stała się jeszcze bardziej nieprzystępna. Rozdawała majątek. Wkrótce prawie nic nie zostało nam po ojcu. Poza moimi braćmi. Mówiłem ci już, że bardzo go przypominają? Nie było to dla nich zbyt korzystne. Ja jestem bardziej podobny do matki. Dlatego ich biła, a mnie zabierała ze sobą na prace dobroczynne. Spotykałem biednych, słabych i chorych.

- Była szalona.

- Tak - przyznał cicho. - Ale mimo tego całego szaleństwa w jej słowach zawsze kryła się prawda. Widziałem tych, którzy płacą cenę rozpusty. Mężczyzna zaspokaja swoje żądze, a kobieta i dzieci cierpią. Tak jak moja matka. Nawet nie wiem, jaka by była, gdyby ojciec pozostał jej wierny. Pewnie i wtedy nie byłaby zbyt szczęśliwa, ale przynajmniej nie próbowałyby...

Zgarbiony, zanurzony we wspomnieniach, wpatrywał się w dal.

- I tylko tyle? - zapytała, żeby przerwać jego zadumę. Chciała go rozweselić, ale Mark popatrzył na nią z udręką.

- Nie - odrzekł cicho. - Nie tylko.

Odwrócił się i ruszył dalej ścieżką, a Jessica wraz z nim.

- Prawie zabiła mojego brata, Smite'a.

Chciała go ukarać, więc zamknęła go w piwnicy i schowała przede mną klucz. Ash był wtedy w Indiach i dostaliśmy wiadomość, że wkrótce wróci. Kiedy wydostałem Smite'a, poszliśmy trzydzieści mil do Bristolu, żeby na niego poczekać.

Nie spojrzał na nią, ale ścisnął jej rękę.

- Czekaliśmy na niego trzy miesiące. Już pierwszego skończyły nam się pieniądze. Kolejne dwa mieszkaliśmy na ulicy. Nie jestem pewien, czy wiesz, co to znaczy głodować. Nie po prostu być głodnym, ale umierać powolną śmiercią z głodu. Myślisz tylko o jedzeniu, cały świat przestaje dla ciebie istnieć poza niekończącą się walką, żeby czymś - czymkolwiek - wypełnić żołądek.

Jessica nigdy czegoś takiego nie przeżyła. Słuchała go przerażona.

Mark wciąż nie patrzył na nią.

- Tak w każdym razie ja się wtedy czułem - ciągnął. - Smite oddałby ostatni kęs głodnemu kotu. W ogóle o siebie nie dbał, nawet kiedy było z nami najgorzej. Któregoś wieczoru chowaliśmy się w ślepej uliczce. W środku nocy obudziła mnie jakaś kobieta, przedzierała się przez mrok. Na końcu uliczki piętrzyła się sterta odpadków, gnijących resztek, jakich nawet ja nie chciałem wziąć do ust, i starych

łachmanów. Położyła coś na tym stosie i, nie patrząc za siebie, odeszła.

Jessica poczuła bolesny ścisk w brzuchu. Ręce się jej trzęsły. Domyślała się, co zaraz usłyszy. We wstrętym świecie kurtyzan i prostytutek pewne rzeczy się nie zmieniały.

- Podszedłem tam i zajrzałem. Musiałem. W zawiniątku leżało niemowlę, drobne i czerwone. Mogło mieć najwyżej kilka godzin.

Zamilkł. Słońce skryło się już za horyzontem, tylko daleka poświata rzucała cienie na wzgórze.

- Nawet zagłodzony, bezdomny i przerażony, wiedziałem dobrze, co należało zrobić. Choć nie mieliśmy z bratem prawie nic, ten malec miał jeszcze mniej. Wciąż mogliśmy coś dla niego zrobić. Wiedziałem, jak powinienem się zachować. Ale wiedziałem też, że jeśli podniosę to dziecko, mój brat nie pozwoli mu umrzeć z głodu, nawet jeśli obaj mielibyśmy przyplacić to życiem. Więc odszedłem. Nic mu nie powiedziałem.

Mark patrzył w mrok.

- Nie możesz się za to winić - pocieszyła go.
- Ile miałeś lat?
- Dość, żeby wiedzieć, co jest dobre, a co złe.

- Czternaście? Piętnaście?

- Dziesięć.

Jessica przygryzła pięść na myśl o głodującym na ulicy dziesięciolatku.

- Tego wieczoru wrócił Ash. Nalegałem, żebyśmy tam wrócili, ale niemowlę już zniknęło.

- Byłeś dzieckiem. Nie miałeś niczego. Niemowlę potrzebowało mamki, a nie waszych odpadków.

Nie odpowiedział.

- Co więcej, skoro go nie znaleźliście, to znaczy, że ktoś się nim pewnie zaopiekował.

- Ale ja nic dla niego nie zrobiłem. Za każdym razem, kiedy kusił mnie grzech - a byłem kuszony z tysiąc razy - wspominałem tamtego porzuconego, niechcianego małego człowieka. Myślałem o kobiecie, która porzuciła swoje dziecko i jak bardzo musiała być samotna. Myślałem o mężczyźnie, którego przy niej nie było. Nie zamierzałem stać się taki jak on.

Chwyliła go za łokieć i opuściła rękę po jego przedramieniu. Zacisnął gorące palce na jej dłoni.

- To właśnie mam na myśli, kiedy mówię, że nie jestem święty.

- Jesteś kimś znacznie więcej, sir Marku.

- Nie - odrzekł. Jego twarz krył mrok

zmierzchu. - Nie.

- Tak.

- Nie. Po tym, co ci powiedziałem, lepiej, żebyś już mówiła do mnie tylko Marku.

- Nawet za tysiąc lat nie będziesz dla mnie tylko Markiem. Jesteś... - Nie znalazła słów.

- Tylko dlatego że według mnie odrobina cnoty zmieniałaby świat na lepsze? Nie mówię nic, czego nie wiedziałyby każda kobieta. Powiedz mi, droga pani Farleigh, gdyby twój pan Farleigh zachowywał się cnotliwie, jakie byś wiodła życie?

Nigdy nie było żadnego pana Farleigh. Ale Jessica знаła kiedyś innego mężczyznę. Zamknęła oczy.

- Uwiódł mnie - wyznała po chwili. - Byłam w takim wieku, że się nie zastanawiałam. Myślałam, że jestem niepokonana. Kiedy jesteś młoda, wydaje ci się, że nic nie może ci się pójść nie tak. Złe rzeczy przytrafiają się tylko innym - mniej inteligentnym i brzydszym niż ja. Przyzwoitość była dla głupich i pechowych dziewcząt. Byłam przekonana, że jestem absolutnie bezpieczna. Dopóki mi się to nie przytrafiło. Pocałował mnie, a ja nie traciłam czasu na zastanawianie się nad cnotliwością, dobrem i złem. Nie dbałam o konsekwencje ani o to, jak moje decyzje wpłyną na rodziców

i siostry. Zanim się obejrzałam, byłam skompromitowana do tego stopnia, że moja rodzina nie chciała mnie widzieć w domu. A skoro przytrafiło się to i mnie, okazałam się jedną z tych głupich.

Wysunął dłoń z uścisku jej ręki, gładził ją przez rękawiczkę. Po chwili ściągnął ją, oddając skórę chłodnemu powietrzu nocy i swoim pieścizotom.

- Od tamtej pory nic się w moim życiu nie poprawiło - dokończyła.

- Ile miałaś lat?

- Czternaście.

Nic na to nie powiedział, tylko przyciągnął ją bliżej do siebie jak w tańcu, póki nie szła zaledwie kilka cali od niego. Musnął palcami jej podbródek.

- Jessico - rzekł wreszcie ponuro. - Będę twoim rycerzem, jeśli mi tylko pozwolisz. Skoro szlachectwo zobowiązuje, chcę być zobowiązany wobec ciebie. Pozwól mi się tobą zaopiekować.

Jessica się zmieszała.

- Chcesz być moim opiekunem? Żadna chwała ci z tego nie przyjdzie.

W odpowiedzi pocałował ją. Nie był to krótki, skradziony pocałunek ani długi, słodki i niewinny. Był w nim ogień, żar, który chował

w sobie od dawna. Przycisnął ją do siebie, nie zostawiając złudzeń.

Jessica zapomniała się w jego ramionach, kiedy wziął w dłonie jej twarz. Nie zachowywał się bynajmniej cnotliwie, zapraszał do wspólnego grzechu, do wywołania skandalu. Jessica nic z tego nie rozumiała po tym, co zaledwie przed chwilą jej wyznał.

- Do diabła z honorem i reputacją - szepnęła.

- Nie obchodzi mnie, co inni o mnie pomyślą.

Przycisnął ją do siebie znowu. Słowa odurzyły ją na równi z pocałunkiem. Omal nie straciła poczucia rzeczywistości.

Położyła jednak ręce na jego piersi i odepchnęła go.

- Na pewno nie mówisz poważnie. Postradałeś zmysły przez te pieszczoty. Nie chcesz chyba zrezygnować ze sławy, zaszczytów, pozycji w towarzystwie...

- Nie będzie to dla mnie dotkliwa strata. Ale tak, Jessico, jeśli tego trzeba, żebyś była przy mnie. - Westchnął głęboko. - Trochę się jednak zagalopowałem. Chciałbym zrobić to tak, jak należy. Czy mogę odwiedzić cię jutro wieczorem? Przyjdę sam.

Jutro wieczorem, powtórzyła w duchu. Pozostanie akurat jeden dzień, żeby go

doprowadzić do zguby. Tak, sir Marku, zniszczę cię. Spotkam się z tobą i prześpię. Odbiorę ci honor i dobre imię i przehandluję je za trzydzieści srebrników.

- Nie trzymaj mnie w niepewności. Od wielu dni mogę myśleć tylko o tobie. Nocami też.

Jessica wiedziała, że osiągnęła swój cel. Ale to zwycięstwo nie miało słodkiego smaku. Inaczej je sobie wyobrażała, kiedy ułożyła swój plan. Wtedy zamierzała rozpaścić jego żądzę, a nie słuchać jego głębokich wyznań. Nie było mowy o jakimkolwiek zaangażowaniu z jej strony. Chciała, żeby doszło do zbliżenia w ściśle technicznym sensie.

Lecz jego dłoń na jej twarzy nie miała nic wspólnego z chłodnym wyrachowaniem. Nie przez żądzę pragnęła oddychać tym samym powietrzem, co on. A on nie pragnął tylko jej ciała.

- Nie jesteś sama - usłyszała raz jeszcze jego słowa. - Pozwól mi się tobą zaopiekować.

Było to pyrrusowe zwycięstwo. Przynosiło wielki ból.

Popatrzyła mu w oczy.

Jesteś przedziwnie wierna sobie, przypomniawszy sobie jego głos. Była przekonana, że to zwyczajna pomyłka. Ale to nie ułatwiało wcale decyzji. Jeśli odeszłaby

teraz od niego, nie zostałyby już nic. Gdyby zrobiła mu to, co planowała... Lecz w Londynie czekały ją tylko długi i hańba. Nie mogła wrócić do swojego dawnego życia.

- Jessico? - Mark dotknął jej policzka. - Naprawdę tego chcę. Chcę ciebie.

Byłaby potępiona, gdyby zawiodła zaufanie jedyne go porządne go mężczyzny w jej życiu. Ale wciąż uważała, że już jest potępiona. A skoro tak, i skoro miała sprzedać jagnię, mogła równie dobrze sprzedać całe stado.

- Tak, Marku - odrzekła cicho. - Przyjdź do mnie. Możesz być o siódmej? Będziemy sami.

Skinął głową, pochylił się i pocałował ją delikatnie w usta. Pocałunek był przelotny i ciepły - a Jessica miała wrażenie, że przypieczętował jej los.

Miała być jego zgubą. Miała tylko nadzieję, że tym samym nie zgubi też siebie.

Jessica liczyła, że Mark zmienił zdanie. Tymczasem przyniósł kwiaty. Sam je zerwał na łące. Kiedy jej wręczył bukiet, Jessice się zdawało, że zaraz pęknie jej serce.

Rozejrzała się za wazonem, a Mark zdjął rękawiczki i kapelusz. Przez chwilę obracał je w dłoniach, po czym położył na stoliku. Pierwszy raz Jessica widziała go

zakłopotanego.

- Denerwujesz się - zauważyła. - Nie masz powodu.

Uśmiechnął się blado.

- Ciągłe nie jestem pewien, jak mnie przyjmiesz.

Jessica uniosła brew.

- Naprawdę, Marku?

Przestał się uśmiechać. Podjął postanowienie. Uniósł brodę i zrobił krok ku niej. Ale nie wziął jej w ramiona. Nawet nie pocałował. Zamiast tego wziął jej rękę w ciepłe dłonie.

Wtedy, ku jej przerażeniu, uklęknął na jedno kolano. Ściągnął pierścień z palca i włożył w jej rękę.

- Jessico - rzekł uroczyście niskim głosem - czy uczynisz mi ten wielki zaszczyt i zgodzisz się zostać moją żoną?

Jessica zamarła.

Nie sprowadziła na niego zagłady. Choć zdawało się jej, że jest gotowa na wszystko, tego się nie spodziewała. Nawet gdyby była wciąż dawną Jessicą Carlisle, szlachetną córką pastora, Mark i tak miałby o niebo wyższą pozycję. Był bratem księcia. Otrzymał tytuł szlachecki z rąk królowej Wiktorii. A ona była nikim.

Nie miała pojęcia, jak się powinna zachować.
Zgódź się, podszeptął jej jakiś głos.

Nie musiała go niszczyć. Z pomocą brata mógł w kilka dni uzyskać odpowiednie dokumenty. Mogli się pobrać, zanim wyszłoby na jaw, kim naprawdę jest. Wtedy już nigdy nie musiałaby się sprzedawać. Odzyskałaby wolność i ocalała jego.

Nie chciała jednak, zamiast reputacji, zrujnować mu całego życia. Plotki o tym, że go uwiodła, nie ucichłyby całymi miesiącami, ale w końcu by minęły. Ale wyjść za niego byłoby dla Jessiki jak odebranie mu całego szczęścia i danie w zamian jedynie steku kłamstw. I od tych kłamstw nie mogłaby nigdy uciec. Byliby związani aż do śmierci.

Nie mogła mu tego zrobić. Nie mogłaby zrobić tego sobie.

- Jessico, moja droga - odezwał się Mark, nie wstając z klęczek - musisz powiedzieć tak, zanim będę mógł cię znowu pocałować.

Wcześniej nawet jej to przez myśl nie przeszło. Miłość była równie niepraktyczna, co nadzieja. Po co było się nią zajmować? Teraz jednak zrozumiała, że go kocha. Kochała to, że nie dba o dzielące ich różnice i że poddał się jej pomimo swoich zasad.

Ale miłość nie była łagodnym uczuciem.

Bywała okrutna i zazdrosna. Jessica nie mogła się zgodzić, poza tym sądziła, że za kilka chwil on zmieni zdanie. Jak dotąd, wszystko, co dobre, traciła na zawsze. A on był najlepszym, co się jej przytrafiło, odkąd poznała się z Amalie.

Wyrwała rękę z jego dłoni.

- Sir Marku - powiedziała.

- Marku - poprawił ją i spochmurniał.

- Sir Marku - podjęła - nie sądziłam, że przyjdzie pan do mnie z propozycją małżeństwa.

Ściągnął brwi zaskoczony.

- Co innego mógłbym ci zaproponować?

Popatrzyła mu w oczy.

- Powiedziałeś mi wczoraj, że chcesz być moim opiekunem. Że mnie pragniesz.

- Tak. Pragnę cię. - Dźwignął się z kolan. -
Więc w czym rzecz?

- Opieka to nie to samo co małżeństwo. Opiekę męczyzna proponuje swojej kochance.

Mark pokręcił głową, ciągle zmieszany.

- Nigdy nie starałem się o kochankę, więc nie znam odpowiedniej nomenklatury. Ale przecież mówiłem z tobą o małżeństwie od pierwszego dnia, kiedy byliśmy w Mniszym Piecu.

Musiała się z nim zgodzić.

Zauważyła to już wtedy. Może nie powinna być aż tak zaskoczona. Ale za każdym razem, kiedy dawał jej nadzieję, ona domyślała się zastrzeżeń. Kiedy składał jej obietnicę, dopowiedziała sobie, że nie była to taka obietnica. Kiedy zapewniał ją, że nie jest sama, słyszała niedopowiedziane: „jak na razie”.

Powiedział jej wręcz, że chce poznać ją lepiej, niż pozwalają trzy tańce, i dowiedzieć się, czy jest kobietą, jaką pragnąłby pojąć za żonę. Ale myśl, że chciałby się z nią naprawdę ożenić, nigdy jej nie nawiedziła. Od samego początku była pewna, że nie jest materiałem na żonę. Wiedziała to doskonale. Najwyraźniej Mark tego nie dostrzegał.

Zapragnęła zacząć wszystko raz jeszcze od początku. Wtedy powiedziałałaby mu całą prawdę, zanim sprawy zabrnęły tak daleko. A tak kłamstwa ciągnęły się za nią jak ciężka kula u nogi.

- Nigdy nie byłam mężatką - wyznała, odwracając się od niego. Odeszła na parę kroków, żeby nie dostrzegł zdradzieckiej kropli, która zbierała się w kąciку jej oka.

- Co mówisz? - Mark ruszył za nią.

- Dobrze słyszałeś - odrzekła, wpatrując się w ścianę. - Nigdy nie byłam mężatką.

Traciłam tylko cześć. Raz za razem. Od samego początku cię okłamywałam.

- Być może... jestem pewien, że miałaś dobry powód. - W jego głosie dała się słyszeć niepewność. - Bardzo dobry powód.

Podszedł jeszcze jeden krok bliżej.

Nie zbliżaj się! - rozkazała mu w myśli.

- Nie jestem żadną damą, którą opuściło szczęście. Jestem kurtyzaną. Dziwką. George Weston wyznaczył nagrodę dla kobiety, która cię uwiedzie, a ja podjęłam się zadania. Zamierzałam zdradzić wszystkie szczegóły londyńskiemu towarzystwu i zniszczyć twoje dobre imię.

Jessica powstrzymywała łzy. Była wściekła, że pozwoliła sobie na nadzieję, którą w tej samej chwili musiała zabić. Zacisnęła pięści.

- Myślałam, że dziś nareszcie osiągnę swój cel.

Mark zbladł. W jego oczach zniknęła cała życzliwość, która zawsze łagodziła ich wyraz.

- George Weston? - powtórzył z wolna. - Pocałowałaś mnie z powodu George'a Westona? Co on ma, u diabła, z tym wszystkim wspólnego?

- A jakie to ma znaczenie? Gdybyś przyszedł się ze mną przespać, zdradziłabym cię. Pozwoliłabym ci skorzystać, jak tylko miałbyś

ochotę i ile razy byś chciał. A potem opisałabym wszystko i posłała do gazet.

- Rozumiem - odparł lodowatym tonem. - Ale przecież... Nie wierzę, że cały czas mnie okłamywałaś.

Już wystarczająco trudno było jej mówić prawdę. Teraz musiała zmusić usta do ironicznego uśmiechu, a oczy, by przybrały wyraz złośliwej satysfakcji.

- Prawda, że byłam przekonująca? Uwierzyłeś we wszystko.

Pragnęła, żeby znowu zaprzeczył. Lecz znowu zwiódła ją nadzieja. Spoglądał na nią z pogardą i obrzydzeniem, jak na żmiję, którą chciał wyrzucić z ogrodu.

- A mnie się zdawało, że przewyciężyłaś swoją początkową niechęć do mnie. Myliłem się. Śmiałaś się ze mnie za plecami, naigrawałaś, kiedy usychałem z miłości...

- Z miłości? - wybuchła. - Nawet nie wiesz, co to znaczy. Naprawdę ci się zdaje, że cierpiałeś? Za każdym razem, kiedy próbowałam cię sprowokować, wycofywałeś się. A dlaczego, sir Marku? Bo jesteś ulepiony z innej gliny. Nie niżasz się do swoich potrzeb. Więc nie udawaj, że uraziłam cokolwiek prócz twojej dumy, jakkolwiek bolesny by to dla ciebie był cios.

Wpatrywał się w nią ponuro.

- Wybaczyłbym ci prawie wszystko...

- Och, jak by mi było przyjemnie - odparła - po dziesięciu latach ciągle myśleć, że mąż postanowił mi wybaczyć. Że zawsze miał się za lepszego i jak patrzy na mnie, to widzi grzechy, które mi odpuścił. Na pewno byłeś z siebie bardzo dumny. Okazałeś się tak cnotliwy, że aż zstąpiłeś do mnie z piedestału.

Mark zacisnął zęby, ale nie zaprzeczył.

- Wiesz, nawet się zastanawiałam nad moralnym aspektem mojego zlecenia. Nie byłam pewna, czy powinnam tak cię wykorzystywać. Ale doprawdy, sir Marku, zniósłbyś chyba, jakbyś raz czy dwa wylądował na deskach? Dopiero by się okazało, na jaką wielkoduszność cię stać w przebaczeniu.

- Nie masz pojęcia - wycodził. - Nie masz zielonego pojęcia, przez co przeszedłem. I nie wiesz, kim chcę... chciałem, żebyś dla mnie była.

Uniosła brodę.

- Wiem już dość, żeby wiedzieć, że czegokolwiek chciałeś, nigdy byś się do tego nie przyznał. Tak samo jak wiem, że chociaż bardzo chciałbyś mi teraz przyłożyć, nigdy tego nie zrobisz. Myślę, że cokolwiek teraz

czujesz, niedługo zamkniesz to w tym samym miejscu, co resztę twoich uczuć. Trzymasz je zamknięte już tak długo, że na pewno nie pozwolisz, aby byle dziwka je uwolniła.

Zrobił krok w jej stronę.

- Gdybyś tylko wiedziała...

Machnęła na niego ręką.

- Ale się nie dowiem, prawda? Już za chwilę o tym wszystkim zapomnisz.

W jego oczach rozbłysła dzika furia.

- Nawet... się... nie waż. - Położył ręce na jej ramionach. - Nawet się nie waż mówić, co będę pamiętał.

Wzmocnił chwyt. Gdyby miała do czynienia z kim innym, Jessica byłaby przerażona. Ale to był Mark i nawet w tej chwili trzymał jej ramiona w silnym, ale nie bolesnym uścisku.

- Nie masz pojęcia - dodał i pocałował ją. Nie był to zwykły pocałunek ani zwykłe objęcia. Przywarł do niej całym ciałem, skórą gorącą od namiętności.

Był zraniony i wściekły. Brał tyle, ile tylko mógł, nawet jeśli musiał ją obezwładnić, przycisnąć do ściany. Nie było tu miejsca na czułość. Tylko na żądzę.

Pochylił się i zacisnął zęby na jej szyi. Odrzuciła głowę, pozwalając mu na wszystko.

Kocham cię, pomyślała, kładąc dłonie pod

jego łokcie.

Odsunął się od niej.

- Wydrukuj to w swoich gazetach - rzucił z pogardą. - Nigel Parret na pewno chętnie cię wysłucha. Napisz, że przywiodłaś mnie na skraj szaleństwa, że nie umiałem odejść.

- Sir Marku...

- Pisz, że opowiedziałem ci to, czego dotąd nie wyznałem nikomu. - Powoli uniół ręce do jej twarzy, jak na pożegnanie. - Że padłem przed tobą na kolana i wtedy roześmiałaś mi się w twarz.

Jessice wcale nie było do śmiechu. Już nawet nie zbierało się jej na płacz. Czowała, że zabiła coś pięknego i niewinnego. Zrobiła to, bo wszelkie dobro zawsze ją zawodziło. Wiedziała od początku, że cały jego szacunek i życzliwość nie przetrwają chwili, kiedy zdejmie maskę.

- Nie miałam wyboru, Marku - spróbowała się usprawiedliwić. Ręce jej drżały. - Musiałam się wyrwać, nie miałam pieniędzy. Miałam do wyboru to albo...

Nie przyjął tego do wiadomości. Pokręcił głową.

- Albo zniszczyć człowieka, który sam z siebie nie chce robić łajdaka?

Pochyliła głowę. Nie mogła uspokoić

drżących rąk. Przycisnęła je do spódnicy.

- Nigdy więcej nie będziesz mnie musiał widzieć. Jutro wyjadę.

Nie wiedziała jednak ani dokąd odjechać, ani co ze sobą dalej robić.

- Nie fatyguj się - odparł szorstko. - Wyjeżdżam z samego rana. I nie chcę cię więcej widzieć. Nigdy więcej.

Cofnął się.

Wyciągnęła do niego ręce, ale nie dał się ubłagać. Niepotrzebny gest zawisł w powietrzu. Jessica westchnęła.

- Powodzenia, Marku.

Skinął jej surowo i odwrócił się na pięcie, nie rewanżując się życzliwością. Porwał ze stolika rękawiczki i kapelusz i, nie patrząc za siebie ani razu, przekroczył próg. W następnej chwili zniknął jej z oczu w ciemnościach nadciągającej nocy.

Odszedł i zostawił ją w sytuacji bez wyjścia. Jessica pocieszała się, że lepiej będzie dla niej, jeśli sama nadstawi głowę, niż miałyby się przyczynić do jego krzywdy.

Dopiero po dłuższej chwili, kiedy oddalił się poza zasięg głosu, Jessica uświadomiła sobie, że nadal trzyma w ręku jego pierścień.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Deszcz ciekł po twarzy Marka chłodnymi strużkami. Owinął się ciasniej płaszczem, poprawił przemokniętą torbę i załomotał do drzwi.

Na ulicach Bristolu zaległa już ciemność nocy, a latarnik nie rozpałił jeszcze świateł u zbiegu ulic. Tylko srebrzysty księżyc rozsiewał blade światło zza postrzępionej chmury. Torba na ramieniu Marka poruszyła się i uspokoiła. Otwarto drzwi.

- Witaj, Marku.

Smite oczywiście sam witał gości w swoim domu. Starszy brat Marka stał przez chwilę w progu, po czym odwrócił się i zrobił przejście.

- Wejdz, wejdz. - Obrzucił Marka krytycznym spojrzeniem. - Nie spodziewałem się ciebie w taką pogodę. Prawdę powiedziawszy, to wcale się ciebie nie spodziewałem.

Jeszcze wczoraj Mark był pełen nadziei na przyszłość. Teraz trafił do brata w gościnę. Nie miał dokąd pójść. W drodze tutaj, po części konno, po części koleją, układał

w głowie relację, którą mógłby przedstawić Smite'owi. Czasem ogarniała go wściekłość, najczęściej jednak był tylko zmieszany. Teraz nawet nie próbował mówić. Byłoby to zbyt upokarzające.

Podał bratu przemoczone okrycie i położył skórzaną torbę na podłodze.

- Odłożyć ją? - zaproponował gospodarz. - Zresztą bardziej chyba potrzebujesz czegoś mocniejszego. Tylko mi nie mów, że ci odmówiła.

Mark wyrzucał sobie, że podzielił się swoimi nadziejami w liście do brata. Po co go, u licha, wysyłał, póki nie otrzymał od niej odpowiedzi?

- Czy możemy o tym nie mówić?

Musiał zdradzać niezwykle emocje, skoro zamiast się z nim droczyć, Smite odparł tylko:

- Jak sobie życzysz.

Ktoś mógłby uznać te słowa za nieczułe, ale Mark wiedział, że brat zrozumie go nawet, jeśli nie wspomni o swoim bólu. Zawsze tak między nimi było.

Każdy z jego pozycją starałby się olśniewać bogactwem i liczną służbą, gotową na każde skinienie. Smite oczywiście wyrzekł się podobnych zbytków. Wychowanie przez matkę odcisnęło na nim piętno, które nawet Mark ledwie rozumiał, a obcy nie mogliby za nic

pojąć. Smite był zbyt dumny, żeby przyznać się do swoich trudności, nawet przed służbą.

Nigdy się o nic nawzajem nie prosili, może więc dlatego Mark tak chętnie przynosił bratu podarunki.

- Torba się rusza - zauważył Smite.

- Doskonale. To znaczy, że twój prezent się obudził.

- Prezent? - Smite cofnął się i zrobił podejrzliwą minę.

Mark się wzruszył. Tylko Smite mógł się obawiać podarunku.

- Tak, prezent. I to dobry.

Przykłęknął obok torby i rozpiął ciężki, skórzany pasek. Ukrywał ją przed największą ulewą pod płaszczem, więc w środku była nadal sucha. Jednak kiedy wsunął rękę do środka, coś wilgotnego i szorstkiego przesunęło się po jego palcach.

- Proszę. - Wyciągnął wiercący się kłębek, znacznie cięższy, niżby się z pozoru zdawało. Podał go bratu.

Smite wpatrywał się jak oniemiały.

- Dobry Boże - rzekł po chwili. - A cóż to takiego?

- Gdzieś w dalekich zakamarkach pamięci na pewno odnajdziesz podobne stworzenia.

- Tak. - Zamyślił się Smite, wskazując

futrzaną kulkę palcem. – Możliwe. Całkiem podobne. Ale dotychczas widywałem tylko szczeniaki, które miały... oczy. A nie kłęby sierści z jednym tylko czarnym nosem na szczycie.

Rozchylił szare futro.

– A niech mnie. Oczy też tam są!

Mark podał bratu szczenię, a Smite wziął je speszony.

– Jaki to pies?

Zwierzak miał szarą, długą sierść, tylko na piersi i łapach białą.

– To potomek najprzedniejszego psa pasterskiego w całym hrabstwie Somerset. Ale nie musisz od razu kupować stada owiec. Właściciel poddał próbie jego zdolności pasterskie i okazało się, że ma znacznie silniejsze inklinacje do tarzania się w trawie.

– Hm – mruknął Smite, kładąc pieska na podłodze. Szczeniak stanął na czterech niezdatnych łapkach. – Chciałbyś pewnie, żebym się razem z nim tarzał po podłodze. Myślisz, że trzeba mi bestii, którą będę musiał w każdą pogodę oprowadzać po okolicy? Mam być niewolnikiem rzucanych i aportowanych badyli? Czy przyszło ci w ogóle do głowy, ile taki pies wymaga zachodu?

Słowa Smite'a mogły wydawać się surowe,

ale wypowiadał je niefrasobliwie i radośnie, głaszcząc psiaka, który niemal od razu zatopił ostre kły w jego mankiecie. Smite próbował zabrać rękę, ale pies zacisnął mocniej szczęki i zaczął warczeć w udawanej walce.

- Nie podpowiadaj. To element większego planu ku rozerwaniu na strzępy moich butów.

- Ani trochę - odparł Mark. - Wcale nie myślałem, że pies ci się przyda. Uznałem, że ty się przydasz jemu.

Smite był wyraźnie poruszony. Popatrzył na drobne stworzenie.

- Dziękuję - powiedział cicho. Mark wiedział, że nie powinien spodziewać się niczego więcej.

Smite wyłuskał delikatnie rękaw spomiędzy zębów zwierzaka.

- Duch, zachowuj się! - zakomenderował. - Masz, to pogryź.

Mark chwycił go za ramię.

- To moja torba, głupku.

Smite przemilczał obelgę, ale kiedy pies złapał skórzany pasek, pociągnął z drugiej strony.

- Grzeczny!

Po niemal godzinie, w czasie której pies był już dwa razy na dworze i pożarł resztki kurczęcia, Smite zwrócił się wreszcie do

Marka.

- Zwykle wysłałbym cię do hotelu, gdzie byłoby ci wygodniej. Ale domyślam się, że dzisiaj to nie najlepszy pomysł.

Mark zdążył już prawie zapomnieć, ale po tych słowach doświadczenia ostatnich tygodni znowu odżyły boleśnie. Przez cały ten czas był przekonany, że Jessica jest dla niego stworzona, aż gorzka pomyłka nie stała się ewidentna. Wspomnienie za każdym razem bolało tak samo.

- Raczej nie - przyznał, udając nonszalancję.

- Ale to nic poważnego. Nie przejmuj się.

- Hm - mruknął Smite, zwijając dokładniej kulę łachmanów. - Mówiłeś, że jest piękna i inteligentna. Domyślam się, że była też cnotliwa. A skoro jest istotą myślącą, nie powinieneś być napotkać trudności. Jej rodzice chyba nie mają nic przeciwko? Ash szybko się z tym upora.

- I ty, Brutusie? - Mark ukrył twarz w dłoniach. - Dlaczego wszystkim się zdaje, że szukam jakiejś niewinnej cnotki?

- Nie mam pojęcia - odparł Smite sardonicznie. - Może ma to coś wspólnego z tym, że napisałeś podręcznik cielesnej czystości?

Mark nie wyobrażał sobie rozmowy

z bratem pozbawionej szczypty sarkazmu. Bardzo go teraz potrzebował, był jak surowy przyjaciel. Nie dawał mu popaść w otchłań wściekłości czy rezygnacji.

- George Weston wynajął ją, żeby mnie uwiodła. Jest kurtyzaną. Możemy już zmienić temat?

- Poprosiłeś kurtyzanę o rękę?

- A gdybyś tak się odczepił?

Smite milczał dłuższą chwilę.

- Jest dla ciebie ważna?

- Poprosiłem ją o rękę. Jak ci się wydaje?

- To dotyczy przeszłości. Nie o to pytałem. Chciałem wiedzieć, czy jest dla ciebie ważna teraz. Po tym wszystkim.

- Nie mam pojęcia. Skąd niby miałbym to wiedzieć? Całkiem mnie zwiodła. Aż dziw, że się mogłem co do niej tak pomylić!

Smite położył Markowi rękę na ramieniu.

- To proste - odpowiedział głosem niskim, łagodnym i kojącym, ściskając jego ramię.

Brat nigdy nie wyrażał w ten sposób uczuć. Sztywniał zawsze, kiedy Mark go obejmował, unikał wszelkiej fizycznej bliskości wykraczającej poza uścisk dłoni. Trudno było go za to winić. Skoro więc ten sam Smite dotknął go, by dodać mu otuchy, Mark zaczął

się o siebie bać.

Sam starał się chronić Smite'a przed takim cierpieniem. Choć Mark był młodszy, przeszli przez to samo piekło i nawet jeśli czasem wymieniali ciosy, prawdziwemu niebezpieczeństwu stawiali czoło ramię w ramię.

Zwątpił w swoją ocenę sytuacji. Smite mógł mieć rację, być może tylko on jeden nie widział prostego rozwiązania. Na pewno nie myślał jasno.

Mark pragnął Jessiki, ale nie tak, jak pragnął wcześniej innych. Przy pozostałych kobietach chodziło tylko o pociąg seksualny, Jessiki pragnął całej. Chciał zdobyć jej zaufanie i szacunek, chciał, żeby poznała go naprawdę, z wszystkimi wadami. Dlatego odrzucenie aż tak bolało. Odrzuciła go całego, ciało i duszę, i siebie też nie pozwoliła mu poznać naprawdę.

- Chciałbym, żeby tak było - odrzekł.

- Ależ tak jest - zapewnił go brat. - To naprawdę proste. Doskonale wiem, dlaczego się co do niej pomyliłeś.

- Naprawdę?

- Tak. - Smite poklepał go po ramieniu. - Po prostu jesteś idiotą.

Mark roześmiał się słabo, ale przynajmniej

szczerze. Zrozumiał, że poza Jessicą istniała dla niego nadzieja. Czuł się tak, jakby go rozdarła na strzępy. Ale to było tylko wrażenie, wiedział już, że przetrwa.

- Pewnie masz rację - przyznał.

Wizytówka zaprowadziła Jessicę na piętro domu przy Cheapside. Młoda pokojówka otworzyła przed nią drzwi i zaprowadziła do wypłowiełego saloniku. Białe ściany były tak naprawdę żółte, a brązowa tapicerka wyblakła na beżowo. Nawet drewno mebli pozbawione było życia. Jessica usiadła na krześle, które zaskrzypiało niemiłosiernie.

Była bardzo zmęczona. Po wyjściu Marka całą noc pakowały ze służącą kufry. Rankiem przeniosły bagaże na dwukółkę i pognały na stację kolei w Bath. W ostatniej chwili zdążyły na czas odjazdu, kiedy okazało się, że pociąg jest opóźniony. Jessica spędziła dwie godziny na zadymionym dworcu.

Ostatnie monety ledwie starczyły na opłacenie przejazdu dla niej i Marii. Gdy już były w Londynie, napisała list do notariusza z prośbą, aby przekazał służącej środki niezbędne do przetrwania i dobre referencje. Jessica wkrótce miała już nie potrzebować pomocy.

Była obolała po długiej drodze. Dziwiła się, że samo siedzenie w miejscu może być tak męczące, ale wagon trząśł niemiłosiernie, kaleczył uszy natarczywym, powtarzalnym stukotem i niezwykłym metalicznym hałasem. Nie udało się jej choćby na chwilę zamknąć oczu. Miała za to dość czasu do namysłu. U celu podróży miała już gotowy plan.

Postanowiła znowu wykonać swój popisowy numer: przetrwać.

Rozsunięte zasłony w salonie pana Parreta ukazywały ponurą londyńską ulicę. Jessicę naszła myśl, że może to nie meble są pozbawione życia, tylko ona sama.

- Ojej!

Jessica odwróciła się na ten głos. We drzwiach stała dziewczynka, opierała się o framugę.

- Czy ty jesteś damą? - zapytała.

Jessica była pewna, że rozmawia z córką Parreta. Była bardzo szczupła, ale czarująca i dziewczęca. Nigel Parret nie kłamał, że ma piękną córkę.

- Nie - odpowiedziała Jessica. - Nie jestem damą.

Dziewczynka uśmiechnęła się zaskoczona i podeszła bliżej.

- Przecież nie jesteś dżentelmenem. -

Roześmiała się. - I nie wyglądasz na służącą.

Miała może cztery lata - była młodsza niż siostra Jessiki, kiedy ją ostatnim razem widziała. Nie była jeszcze gotowa, żeby poznać okrutne różnice między kobietami.

- Belindo - dał się słyszeć z korytarza głos Parreta. - Kochanie, gdzie zgubiłaś guwernantkę? Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie dręczyła gości.

- Panna Horace poszła spać.

Parret zjawił się we drzwiach.

- Dobrze, w takim razie muszę...

Zamilkł i popatrzył na Jessicę.

- Ach! - syknął, a cała dobroduszość ulotniła się z jego głosu. - To pani. Przez panią musiałem opuścić Shepton Mallet. Kosztowało mnie to sporo grosza... reporterko!

Jessica skinęła nieznacznie głową. Reporterka - spodobało jej się to określenie. Spróbowała nawet myśleć, że czas podróży pociągiem wystarczył, żeby zmienić powołanie.

- Wiedziałem! - Parret zagarnął córkę na ręce i zasłonił ją ciałem przed potwornym widokiem kobiety mającej zawód. - Przyszłaś się chełpić swoim wywiadem? Miałas go tylko dla siebie przez całe dni, odkąd mnie przegnał. A u mnie posucha. Na pewno jesteś

z siebie dumna.

- Nie, nie jestem dumna - odparła. - Ale mam do sprzedania materiał. Już nawet po części spisany.

- I teraz przyszłaś się przede mną płaszczyć?

- Prychnął z pogardą. - Niby dlaczego miałbym z tobą robić interesy?

- Bo inaczej pójdę do konkurencji. Co prawda nie mają twojej szacownej reputacji, ale...

- No to idź. Krzyżyk na drogę.

W odpowiedzi Jessica zdjęła przez głowę łańcuszek, unosząc spomiędzy piersi przyciężki wisior. Położyła go na naręczu notatek, które trzymała na podołku.

Parretowi oczy prawie wyszły z orbit. Był to pierścień z onyksem sir Marka.

Powoli postawił córkę na ziemi.

- Belindo, idź do guwernantki - polecił jej cicho.

- Ale ja chcę posłuchać tej pani.

- Idź już.

Zaczekał, aż córka się oddali, podszedł powoli do Jessiki i podniósł pierścień. Przyglądał się mu przez chwilę, obracając na łańcuszku.

- Jedną z implikacji naszego spotkania w Shepton Mallet - rzekł cicho - mogło być

właśnie to. Ale wolałem przemilczeć tę sprawę. Nie zależy mi na zniszczeniu reputacji sir Marka.

Jessica dokładnie przemyślała swoje możliwości. Nie знаła wielu sposobów na zdobycie pieniędzy, ale nie zamierzała się już sprzedawać. A chociaż nie kupczyła już ciałem, dla Westona sprzedawała swoje przekonania.

Sir Mark powiedział jej kiedyś, że jest przedziwnie wierna sobie. Jessica wciąż jeszcze liczyła, że może zarazem zyskać bezpieczeństwo i się sobie nie sprzeniewierzyć.

- Uważam - rzekł Parret, sadowiąc się na krześle - że czas, abyś mi opowiedziała swoją historię.

Wzięła głęboki oddech.

- Wszystko zaczęło się od tego, że spotkałam sir Marka w Shepton Mallet. Kiedy tam pojechałam, miałam jasny cel. Zamierzałam go uwieść.

Jessica opowiedziała prawie wszystko. Wystarczył retusz kilku drobnych szczegółów, aby wydźwięk jej opowieści diametralnie się zmienił. Mówiła, a Parret nie przestawał kiwać głową. Gdy skończyła, Parret sięgnął po zapiski, które sporządziła tego ranka.

- Masz naprawdę dobre pióro - powiedział zaskoczony, kiedy doczytał do końca pierwszej strony.

- Jak na kurtyzane?

- Jak na kobietę - odparł w zamyśleniu, bębniąc palcami po stole. Przewrócił drugą stronę. - Nawet jak na mężczyznę miałabyś dobre pióro.

Jessica zastanawiała się nad dobrą odpowiedzią.

- Dziękuję - odparła w końcu prosto i z wdziękiem.

Parret podniósł wzrok znad skończonej lektury. Pod zmierzwionym wąsem jego usta miały zacięty wyraz.

- To na nic - powiedział.

- W takim razie pójdę do twojej konkurencji - odparła zdeterminowana, nawet nie kryjąc rozczarowania. Miała nadzieję, że honorarium od Parreta pozwoli jej przeżyć - a nawet na jakiś czas zapomnieć o pieniądzach.

Parret spojrział na nią spode łba.

- Nie mówię o tekście - wyjaśnił. - Nie możemy pisać o tobie jako o kurtyzanie. To jednak zbyt pikantne. Może zostaniesz kobietą upadłą? A nieznanne okoliczności upadku nadadzą jeszcze tajemniczości twojej relacji. Każdy sobie dopowie to, co mu najbardziej

podpasuje.

Odetchnęła z ulgą.

- Oczywiście - mówił dalej - możesz liczyć na moją zwykłą stawkę. Jeden szyling za cal szpalty. To uczciwa propozycja, tyle samo dostałby każdy mężczyzna w tych okolicznościach.

Jessica prawie się uśmiechnęła.

- Drogi panie - rzekła, udając oburzenie - pan raczy żartować. Żaden mężczyzna nie przyniósłby takiej historii. Mówimy o najbardziej prowokacyjnym artykule w Londynie od lat! To nie żadna praca na akord, nie dam się zbyć paroma szylingami. Żądam połowy zysków.

Parret zmrużył oczy.

- Wszystkie wydatki i związane z nimi ryzyko jest po mojej stronie. Dam dwa funty i ani pensa więcej.

- Czterdzieści pięć procent. Mogę zabrać materiał do każdej gazety. Będę miała swój udział albo tobie też gratka przejdzie koło nosa.

Przyłożył dłoń w stertę zapisków, jakby chciał się ochronić przed tą groźbą.

- Dwadzieścia pięć!

- Trzydzieści, do tego pięć funtów z góry. - To by wystarczyło, żeby spłacić zobowiązania,

utrzymać się przez wiele miesięcy i mieć przed sobą przyszłość, a nie ponury, ciężki los. Nawet ulica za oknem wydała się mniej przygnębiająca.

Parret przechylił głowę na bok.

- Zgoda. Przyjmuję warunki.

Wyciągnął do niej dłoń.

Jessica uścisnęła ją ostrożnie.

- Dobrze się targujesz - pochwaliła go. - Jak na mężczyznę.

Parret wydał wargi i potrząsnął jej ręką. Tyle najwyraźniej wystarczyło, żeby kurtyzana przestała być kurtyzaną. Zarobiła właśnie na długie wytchnienie od trosk. Spodziewała się, że nim skończą się te środki, znajdzie inne źródło utrzymania i nigdy więcej nie będzie musiała sprzedawać ciała.

- Sir Mark będzie wściekły - dodała z cieniem żalu w głosie. To właśnie było dla niej najgorsze. Wiedziała, jak Mark nie cierpi wtykania nosa w jego prywatne życie - tymczasem ona wystawiała intymne szczegóły na widok publiczny.

Parret jednak nawet się nie silił na wzruszenie ramionami.

- Zawsze jest wściekły i mnie to jakoś nie przeszkadza.

Pomyślała o dniu, kiedy i ona będzie mogła

myśleć o nim z podobnym wyrachowaniem. Dużo wody musiało jednak jeszcze upłynąć.

- Zamierzam wydawać rozdział dziennie przez pięć dni. Dopiero wzbudzimy zainteresowanie! A za ostatni numer każemy sobie zapłacić podwójnie. A co do tytułu, to podoba mi się *Uwodzenie sir Marka*. Przyciąga uwagę, nieprawdaż?

- Ale co on zrobi, kiedy to zobaczy?

- Miejmy nadzieję - rzekł Parret - że strasznie się wścieknie. Potwierdzi wszystkie podejrzenia i zarobimy krocie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Gdy minęły dwa dni od przybycia Marka do Bristolu, Smite zaproponował mu pieszą wycieczkę.

- Latem mam mniej obowiązków - wyjaśnił. - A Duchowi przyda się łyk świeżego powietrza.

Skinął w stronę szczeniaka, który kręcił się u ich stóp.

W wolnym tłumaczeniu znaczyło to: przestań się wreszcie użalać i zrób coś ze sobą.

Posłali Ashowi wiadomość, że nie będzie ich przez kilka dni - bywało, że najstarszy brat wciąż się jeszcze o nich martwił, mimo że od dawna byli już dojrzałymi mężczyznami. Resztę dnia Mark spędził, planując i przygotowując się do wyprawy. Pochylił się nad mapami i rozkładami jazdy kolei. Ustalił, że udadzą się w pierw do Reading i stamtąd wiejskimi drogami pomaszerują do Basingstoke. Droga powinna im zająć cztery do pięciu dni. Zebrał informacje o gospodach, gdzie mogliby się zatrzymać na nocleg.

- Pamiętaj, żeby wybierać co mniejsze - odpowiedział mu Smite. - Tam łatwiej ich będzie przekonać do psa.

Mark nie wątpił, że choćby mieli ze sobą całą menażerię, dwaj książęcy bracia będą wszędzie witani z otwartymi ramionami. Ale znał też dziwactwa Smite'a i nie trzeba mu było dwa razy powtarzać.

Był zadowolony, że może czymś zająć myśli. A jeszcze bardziej ucieszył się, kiedy wysiedli z wagonu kolejowego w Reading i powitał ich słoneczny, ciepły dzień. Pogoda napawała taką radością, że Mark niemal całkiem zapomniał o wszystkim, co w jego życiu dalekie było od doskonałości.

Lokomotywa opuściła stację w kłębach dymu i pary, pozostawiając Marka i Smite'a na ruchliwym peronie.

Smite spojrział na brata i wskazał głową kierunek. W ten suchy dzień powozy wzbijały w powietrze pył drogi, ale Mark wiedział, że Smite po stokroć woli się krztusić kurzawą niż spędzić choć jedną chwilę dłużej w tłoczącej się zewsząd ciżbie. Dźwignął bagaż i nawet ucieszyła go perspektywa niewygód podróży. Przynajmniej oderwie się od powracających nieubłagane wspomnień o Jessice.

Na szczęście nie musieli rozmawiać. Wydostali się z peronu i wstrzymali oddech w chmurze pyłu. Dalej wabiły już spokojem i przestrzenią nieodległe pola. Do wieczora

nie będą musieli słuchać żadnych ludzkich głosów i ta perspektywa wydała się Markowi szczególnie pociągająca.

- Ejże! - dobiegł ich znajomy głos, którego w żadnym razie nie powinni byli tu usłyszeć. Smite obrócił się i spojrzał przez ramię.

Gonił ich wysoki, krzepki mężczyzna. Sadził wielkie kroki, choć jakby od niechcienia. Przez ramię miał przerzuconą torbę. Przeszedł przez drogę, prawie wcale nie patrząc na boki.

- Pomyślałem, że jak cywilizowani ludzie wstąpicie do karczmy przed wyruszeniem w drogę.

- No to się pomyliłeś - odparł Smite. - Nie planowaliśmy nic tak dramatycznego, jak wyruszenie w drogę. Chcieliśmy po prostu pójść.

Mark wpatrywał się w przybyłego zdumiony i oszołomiony.

- Ash! - zawołał dobrą chwilę poniewczasie.
- Co ty tu robisz?

- Akurat wczoraj wieczorem dostałem wiadomość o wyprawie - odrzekł najstarszy z braci. - Przecież nie mogę pozwolić, żebyście machnęli się beze mnie.

- Nie chcieliśmy się też machnąć. Mamy swoją godność.

Duch od razu zadał kłam jego słowom i skoczył na Asha, zostawiając mu dwa odciski łap na spodniach.

Ash był opiekuńczy, często do przesady. Mark spodziewał się, że coś się kryje za jego milczeniem. Nie posłał im zwyczajowego wykładu o niebezpieczeństwach pieszych wędrowek. Nie nalegał też na uzbrojonego strażnika lub podobną nedorzeczność.

Przyjazd tutaj musiał mu zająć cały poranek, a to wszystko po to, żeby spędzić z nimi jedną krótką godzinę? Mark nie rozumiał zachowania brata.

Ash nie zdradzał jednak żadnych oznak zmęczenia. Pręźnie podrzucił torbę na ramieniu.

- W porządku - zgodził się z ociąganiem Smite. - Możemy odłożyć nasze wyruszenie i machnąć się coś zjeść.

- Nie ma potrzeby. Wolałbym, żebyście nie zmieniali planów przez wzgląd tylko na mnie. - Ash uśmiechnął się szeroko. - Spokojnie za wami nadążę.

Smite popatrzył na Marka oczami jak spodki. Było to równie dobitne, jak gdyby rzucił się mu z błaganiami do kolan.

- Nadążysz?

- To chyba jasne. Idę z wami - odrzekł Ash.

Zacisnął zęby i odwrócił wzrok. – Chyba, że...

– Ale czy możesz oddać zarząd na tak długo?
– zapytał Mark.

– I zostawić na tak długo żonę? – dodał Smite, choć może nieco bardziej złośliwie.

Ash westchnął.

– Margaret sama nalegała, żebym ruszył z wami.

Mark popatrzył po Smicie. Nie umiał sobie wyobrazić, żeby Margaret odesłała Asha. Od pięciu lat byli szczęśliwym małżeństwem.

Układał już w myśli plan, jak by tu najdelikatniej zapytać, co się wydarzyło, ale ubiegł go Smite.

– Dobry Boże, Ash, co przeskrobałeś?

– Nic! – odzęgnął się Ash. – A w każdym razie nic, czego nie powinienem był zrobić.

Droga od miasta w pole była jeszcze dość szeroka, żeby wszyscy trzej szli obok siebie.

– Nic?

– Jeśli już naprawdę musicie wiedzieć – dodał Ash protekcyjnie – powoli zbliża się do rozwiązania.

– Gratulacje! – Mark walnął brata w plecy.

Smite uścisnął mu rękę, a Ash uśmiechnął się szeroko, zadowolony z siebie, jakby zrobił coś wyjątkowo inteligentnego.

– Ale teraz jestem podwójnie zaskoczony –

podjął Mark. - Zdawało mi się, że w tych okolicznościach tylko wołami pod batem można by cię było od niej odciągnąć.

Ash zeszywniał.

- Powiada, że ciągle nad nią wiszę - wymamrotał.

Mark z trudem zdusił śmiech, a Smite aż odwrócił głowę.

- Wcale nie wiszę! - bronił się Ash. - Prawda, że nie?

- Ależ w żadnym razie! - zgodził się Mark z przesadną uprzejmością.

Smite wyszczerzył zęby.

- Nigdy - odparł.

- Przez myśl by mi to nie przeszło.

- Choćby mnie przypalali.

- Wiszenie nad czymś - rzekł Mark - przywodzi na myśl zwiewnego motylka, który polatuje uroczo z kwietnego płotka na płatek i znika, gdy się kto choćby poruszy.

- A to - podjął myśl Smite - trochę za delikatne określenie. Podejrzewam, że krążyłeś nad nią jak jakiś sęp.

- Gotów pikować na pierwszą oznakę słabości.

Ash wziął się pod boki.

- Przeklęte łotry - podsumował rozbawiony - ja wcale nie...

- Ale tylko po to, żeby nieść pomoc - uspokoił go Mark. - Jesteś bodaj najbardziej uczynnym sędem, jakiego spotkałem.

Smite zachichotał.

- Acz nie najlepiej wychowanym.

- Jesteście dwoma najbardziej małostkowymi niewdzięcznikami, jakich nosiła angielska ziemia. - Choć słowa Asha były surowe, wypowiedział je pogodnym tonem. Po raz pierwszy, odkąd Jessica odrzuciła jego zaręczyny, Mark się szczerze uśmiechnął. Przyszłość nie jawiła mu się już w tak ponurych barwach. Jego bracia byli tu razem. Wszystko inne musiało więc też być możliwe.

- Ale mówiąc poważnie... - Ash odetchnął głęboko. - Nie narzucam się wam?

Nie Mark powinien odpowiedzieć na to pytanie. Popatrzył na Smite'a, a ten odwrócił wzrok.

Mark mówił Jessice, że Smite'owi trudno się z kimkolwiek zaprzyjaźnić. To i tak było niedomówienie. Nie zatrudniał służby na stałe. Nie chciał nocować w hotelach, gdzie ktoś mógłby go niepokoić. Nie zostawał w gościnie nawet u własnego brata. Specjalnie na pobyt w Londynie utrzymywał tam dodatkowe mieszkanie. Może troje ludzi na całym bożym świecie wiedziało dlaczego. Ash do nich nie

należał.

Smite zacisnął usta. Wziął głębszy oddech.

- Nie przejmuj się, Ash - rzucił. - Jest nas tu dwóch przeklętych łotrów. Będziesz pasował.

Marka czekała długa piesza wycieczka, wędrówka przeplatana rozmowami z braćmi. Miał przez cały tydzień nie zobaczyć nic, co było jakkolwiek związane z Jessicą. Wyglądało na to, że kiedy powróci do Londynu, może już całkiem o niej zapomnieć.

Nagłówek głosił: *Sir Mark - uwiedziony?!*

Jessica mogła go odczytać z drugiej strony placu. Gazeciarza oblegał tłum ludzi wyciągających monety po swoją gazetę - a była to zaledwie pierwsza część historii. Już za tydzień lub dwa Jessica będzie mogła odebrać resztę swojego wynagrodzenia od Nigela Parreta i opuścić Londyn. Dalej jej plany nie sięgały.

Została jej jednak ostatnia sprawa do załatwienia. Weszła do baru, skąd po raz pierwszy obserwowała sir Marka. Odkładała to spotkanie tak długo, jak mogła. Ale teraz wreszcie nadeszła chwila, żeby Jessica powiedziała George'owi Westonowi to, co powinna była mu powiedzieć wiele miesięcy temu i posłać go do diabła.

Czekał na nią przy stoliku w głębi mrocznego pomieszczenia. Kiedy siadała obok niego, zgrzytała zębami. Nie mogła zapomnieć, co jej zrobił, pamiętała to z krystaliczną wyrazistością. Poczowała lekkie zdenerwowanie. Wystarczyło, że był w pobliżu, a wracał ścisk w brzuchu.

Co prawda nigdy jej nie uderzył. Gdyby ktoś chciał znać jej opinię, wcale nie uznałaby go za złego człowieka. Regularnie chodził do kościoła, a kiedy był jeszcze jej opiekunem, obchodził się z nią kulturalnie. Aż do samego końca miała go za porządnego faceta.

Ale wyznaczył też nagrodę za zniszczenie sir Marka. Nie wspominając o krzywdzie, jaką jej wyrządził. Chociaż nie uważała go za podłego człowieka, nie umiała mu wybaczyć. Szczególnie teraz, gdy poznała naprawdę szlachetnego mężczyznę. Odkąd umówiła to spotkanie, walczyła ze sobą, żeby choć przez chwilę znosić jego towarzystwo.

Uśmiechnął się na jej widok.

- Gratulacje, Jess. Wiedziałem, że ci się uda. Potrzebowałaś tylko odpowiedniej zachęty.

Mark mówił do niej Jessico. Nie odbierał jej godności pełnego imienia.

- Czy to aby nie przedwcześnie? Nie czytałeś jeszcze mojego sprawozdania.

- Mogę się domyślić. - Uśmiechnął się z leniwym zadufaniem. - Pierwszy rozdział relacji ukazał się już w „London Social Mirror” pod tytułem *Uwodzenie sir Marka*. Wszystkie popołudniowe wydania podchwyciły ten refren. Nie jestem idiotą, Jess. Dobra robota. Ludzie już plotą na potęgę. A wydanie w odcinkach było genialnym pomysłem. Nikt tego już nigdy nie zapomni. Gdy Lefevre odejdzie, zajmę jego miejsce.

Jessica poczuła ciężar pierścienia, który nosiła na łańcuszku na szyi. Zastanawiała się, jak by Weston zareagował, gdyby mu go pokazała.

- Wiesz, że nie pojmuję twoich ambicji. Nigdy nie miałam cię za szczególnie wrażliwego na los ubogich.

Weston wzruszył ramionami.

- Miałbym przepuścić okazję do decydowania o tym, kto z moich znajomych będzie zarządzał wsparciem finansowym przytułków? To komisja wybiera dostawcę koców i pożywienia. Określa, co będzie produkowane i kto na tym skorzysta. Kto ma udział w decyzjach, może liczyć na niejedną przysługę. Nie mówiąc o tym, że potem większe wyzwania staną przede mną otworem.

Jessica skrzywiła się z pogardą.

- Sir Mark zmarnowałby tę okazję - dodał. - Nie ma głowy do polityki i administracji. Dla niego ważna jest jedynie filozofia i etyka. Nie tylko mnie wyświadczyłaś przysługę. Pomogłaś całej Anglii.

Pokręciła głową.

- Przyjmujesz wiele założeń. Chciałam się z tobą spotkać, bo...

Weston uśmiechnął się łaskawie.

- Wiem, po co przyszłaś. Zawsze dotrzymywałaś słowa. Masz. - Wyjął papier z kieszeni marynarki i podał jej przez stół. - Zasłużyłaś.

Jessica zaczekała, aż zabierze rękę, nim popatrzyła na czek. Nie przyszła po pieniądze, lecz żeby go przekląć.

Miała przed oczami czek na trzysta funtów. Poczwała w ustach gorycz.

- Czy to nie ciekawe? Umawialiśmy się na półtora tysiąca.

Uśmiechnął się lekceważąco.

- Daj spokój, Jess. Wiesz, że nie jestem szczególnie bogaty. I muszę dbać o reputację, nie mogę przepuszczać całego majątku na dziwki, niezależnie od tego, jakie usługi oferują.

Jessica postukała palcami w papier.

- Nie rozumiem, dlaczego twoja kondycja finansowa miałaby mnie interesować. A o twoją reputację dbam jeszcze mniej. Mieliśmy umowę. Dobiliśmy targu. Nie było żadnych niedomówień.

- No to co zrobisz? - zapytał protekcjonalnym tonem. - Pójdiesz z tym do sądu? Wiesz przecież, że nasza umowa nie była prawnie wiążąca.

Pochylił się przez stół i wyciągnął rękę do jej policzka.

- Jeśli chcesz resztę gotówki, wiesz, jak się za to zabrać.

Odrzuciła jego rękę.

- Myślisz, że niewywiązanie się przez ciebie z jednej umowy zachęci mnie do zawarcia kolejnej?

Westchnął tylko i pokręcił głową. Nie pierwszy raz tak się z nią obszedł. Kiedyś nawet nalegała na pisemny kontrakt, ale kiedy przyszło do uregulowania należności, podarł dokument, a przy okazji prawie ją zabił. Nie był podłym człowiekiem, tylko bezwzględnym skąpcem. Kolejny raz ważniejsze od danego słowa okazały się dla niego księgi rachunkowe. Jessica dziwiła się, że znowu jest zaskoczona.

- I za dwa razy tyle nawet bym cię nie

dotknęła. - Popatrzyła na czek. - Za żadne skarby.

- Nie przesadzajmy, nie byłem taki zły. Myślałem tylko, że skoro ostatnio prawiczek cię obmacywał, docenisz moje doświadczenie.

Jessica wstała.

- Kiedy sir Mark dotknął mojej ręki, dał mi większą rozkosz, niż tobie się kiedykolwiek udało.

Weston zacisnął zęby i sięgnął po czek. Niewiele myśląc, Jessica przygwoździła papier ręką i popatrzyła na niego z wściekłością. Wiedziała, że nie zasłużyła na te pieniądze - choć jemu się tak zdawało. Nie miała do nich prawa.

Zaraz jednak przypomniały się jej długie miesiące po tym, jak zerwał ich ostatnią umowę. Trawiła ją choroba, trwała w ciemności. Nie wierzyła, żeby była dla niej jakakolwiek nadzieja. Nic nie mogło jej tego wynagrodzić, nawet gdyby oddał jej każdego pensa swojego majątku. Był jej winien znacznie więcej.

Nie mogła odebrać tego, co się jej należało. Ale zemściła się, tylko Weston o tym nie wiedział. Dopiero kiedy przeczyta ostatni rozdział, zrozumie, co zrobiła.

Ale wtedy Jessica zrealizuje już czek. Nie

wiedział, gdzie jej szukać, a za kilka tygodni planowała na zawsze opuścić Londyn. To nie był akt sprawiedliwości, bo na nią nie mogła liczyć. Była jednak przekonana, że to się jej należy.

- Jess, bądźże rozsądna - upomniął ją.

Złożyła kwit i schowała go do kieszeni.

- Nie nazywam się Jess - syknęła.

- No to jak mam się do ciebie zwracać?

- Weston - odparła - więcej mnie nie zobaczysz. A jeśli będziesz mnie szukał, wyjadę.

- A gdybym nalegał?

Zniżyła głos.

- Zastrzelę cię.

- Jess! - zawołał za nią.

Jessica się nie odwróciła.

Po wiejskiej wycieczce Londyn wydał się Markowi szary.

Chociaż nie rozmawiali o Jessice, Smite musiał widzieć, że Mark jest nadal przygnębiony. Bez słowa sprzeciwu towarzyszył braciom do samego Londynu, a nawet zgodził się wziąć udział w wieczorku muzycznym. Mark podejrzewał, że zrobił to tylko po to, żeby odwrócić jego uwagę jeszcze przez choć jeden wieczór.

Była to pierwsza taka okazja, przy której zjawili się wszyscy trzej bracia Turnerowie. Mieli w mieście tyle tylko czasu, że ledwie zdążyli się przebrać i oporządzić na przyjęcie. Weszli na salę ramię w ramię, Mark pośrodku, Ash i Smite na skrzydłach.

Kiedy ich zapowiedziano, wszystkie głowy zwróciły się w stronę drzwi. Mark nie był tym zaskoczony. Ash był księciem, Mark nadal popularny, a Smite bogaty, przystojny i zawsze nieobecny, więc wyczekiwany z tym większą ciekawością.

Mark już tak długo nie był w Londynie, że zapomniał, jakimi prawami rządzą się podobne przyjęcia. Wszyscy się w niego wpatrywali. Przekonywał się, że to nic niezwykłego i tylko pobudzonej wyobraźni zawdzięcza wyraz współczucia niektórych spojrzeń. W końcu nikt nie mógł wiedzieć, co mu się przydarzyło.

Uznał, że zbiera zwyczajną uwagę należną utytułowanemu, bogatemu i popularnemu. Tym razem tylko bardziej mu ona doskwierała.

Ale dopiero kiedy popatrzył na braci, zrozumiał swoje prawdziwe bogactwo. Ash zdobył fortunę wiele lat temu, ale Mark znał głód – choć pamięć o nim rzadko do niego wracała, cały czas towarzyszyła mu jego świadomość. Jednak dla niego luksus to nie

były aksamitne kamizelki i przednie cylindry ani pyszny powóz czy marcepan podawany na srebrnych tacach.

Luksusem była pewność, że bracia zawsze staną przy nim. Nawet Smite, i nawet w takim tłumie. Przez całe życie bracia go chronili. Był bogaty już z chwilą, kiedy się urodził.

Może dzięki nim właśnie znalazł w sobie siłę i zmusił usta do fałszywego uśmiechu. Witał się ze znajomymi, których od miesięcy nie widział, i nie zwracał uwagi na ukradkowe spojrzenia i uwagi wymieniane za zasłonami wachlarzy i dłoni. Rozmawiał bez trudu i udawał, że nic się podczas nieobecności nie stało. Wiedział, że cokolwiek się wydarzy, bracia zawsze będą przy nim.

Swobodnie poprosił do tańca młodą damę, choć jej imię umknęło mu, kiedy byli sobie przedstawiani. Udawał z łatwością. Wystarczyło, że zdał się na wyćwiczony doświadczeniem instynkt.

Kiedy jednak wracał do swoich prawdziwych myśli, przypominał sobie wszystko z bolesną wyrazistością. Przy Jessice damy na balu były tylko mdłą kopia prawdziwej kobiecości. Ona była cieplejsza, pełna życia. Jego partnerka w walcu, speszona debiutantka, była całkiem ładna, ale Mark z trudem wiązał wątki

rozmowy.

Nadal bolała go myśl o Jessice. Ale cierpienie stopniowo ustępowało i rana się goiła.

- Czy pan nadal o niej myśli? - zapytała młoda dama.

Mark ściągnął brwi. Czyżby ostatnie zdania powiedział na głos? Był niemal pewien, że nie.

Debiutantka nadal się w niego wpatrywała. Nie wyrażała przy tym zwyczajowego wśród debiutantek uwielbienia, gdy z nimi tańczył.

- Kochał ją pan? - zapytała, pąsowiejąc.

Mark prawie się potknął o własne stopy.

- O czym mówisz?

- O kobiecie z gazet, przecież - odparła panienska. - Od paru dni mówi się tylko o tym. A teraz ma się ukazać ostatni odcinek serii...

- Serii? Co to za seria?

- Pan jej nie czytał? - Zdumiała się. - A mnie przyjaciółki prosiły, żebym się dowiedziała o szczegóły... Pan musiał ją czytać!

- Byłem przez kilka tygodni poza miastem. - Marka ogarnęły mdłości. Nie rozumiał, dlaczego nikt nie poinformował Asha.

Przypuszczał jednak, że skoro przybyli na długo po godzinach pracy, współpracownicy Asha wyznaczyli jednego, Jeffreysa, by przekazał złe wieści. Jeffreys musiał zostawić dla Asha raport, a służba, szczęśliwie zwolniona

z obowiązku, przemilczała sprawę.

Choć może to właśnie miał na myśli pokojowy, mówiąc, że Mark był na wsi bardzo zajęty.

- Wyjechałem z braćmi i byłem nieosiągalny.

Specjalnie wędrowali nieuczęszczanymi drogami przez samotne wioski. Mark chciał uniknąć zainteresowania. Spotykali tylko pasterzy i obwoźnych handlarzy - którzy nie przywiązywali najmniejszej wagi do życia towarzyskiego i najnowszych plotek. Co prawda podróżni w pociągu do Londynu przypatrywali mu się i poszeptywali, ale Mark nie zwracał na to szczególnej uwagi. Ludzie zawsze byli go ciekawi, a choć tym razem spojrzenia wydawały mu się wyjątkowo natarczywe, przypisał to swojemu stanowi ducha.

- Jak jej było na imię? - zapytał nieprzytomnie. Znał odpowiedź: Jessica.

- Nikt nie wie, ale pan na pewno może mi powiedzieć - odparła przymilnie.

Mark wspomniał rzucone jej na odchodnym słowa. „Napisz, że przywiodłaś mnie na skraj szaleństwa”. Wtedy wydawały się odpowiednie. Teraz zaczynał mieć wątpliwości.

Zastanawiał się z rosnącym

zaniepokojeniem, czy już cały Londyn wiedział o jego zawodzie. Czy rzeczywiście spoglądano na niego z litością? I jak mógłby zapomnieć o Jessice w tych okolicznościach?

- Kto wydał tę serię? Jaki nosiła tytuł?

- Tytuł...? - Dziewczę zarumieniło się i popatrzyło przez salę, może szukając pomocy u swoich przyjaciółek. Mark nawet bez patrzenia wiedział, że najpewniej machały do niej i zagrzewały do drążenia tematu. - Miało tytuł *Uwodzenie sir Marka*.

- A więc zostałem uwiedziony? - W skrytości ducha musiał przyznać, że tak. W każdym razie umysłem i sercem. Od cielesnego przypieczętowania ledwie się powstrzymał.

- Ależ nie, sir! - zawołała dziewczyna niewinnie. - To znaczy... to była strasznie romantyczna historia! Płakałam bez końca! Powie mi pan, sir, czy jest w tym choć trochę prawdy? Tak bardzo chciałybyśmy wiedzieć...

Skinęła głową na stronę, skąd pięć młodych dam przyglądało im się z wielką uwagą. Kiedy Mark popatrzył, wszystkie zasłoniły buzie wachlarzami.

- Nie mogę tego wiedzieć. Jeszcze nie czytałem. A co podobno zrobiłem?

- Spotkał pan kobietę, którą pana wrogowie wynajęli, żeby pana zniszczyć, ale pan o tym

nie wiedział. I potraktował pan ją bardzo uprzejmie i po chrześcijańsku, aż postanowiła tego nie robić...

Mark popatrzył na nią zdziwiony.

- I to wszystko? Potraktowałem ją uprzejmie?

Przytaknęła.

Ani słowa o pocałunkach? - dziwił się. Nawet o tym, że trzymał ją za rękę? Uprzejmość to nie było wszystko. Mark poczuł się upokorzony. Mogła choć wspomnieć o jego uczuciach, opowiadał jej o swojej matce. O Smicie też, przynajmniej po części. Nie był pewien, czy powiedział jej o tajemnicy Asha. To by była prawdziwa tragedia.

Ale nie, przynajmniej ten sekret był bezpieczny.

Mark nie dziwił się już, że jest przedmiotem kolektywnego współczucia. Wszyscy wiedzieli, że dał się omamić.

- Sir Marku, a myślę, że to samo powiedziałyby panu każda obecna tu dama... sama mogłabym się w panu zakochać, gdybym tak bardzo nie pragnęła, żeby pan kochał ją.

Mark pochwylił spojrzenie Asha przez salę. Starszy brat wzywał go do siebie z ponurym wyrazem twarzy.

Walc dobiegał końca, muzyka zaczęła

cichnąć.

- Czy pan ją kocha, sir Marku?

Wydawało mu się, że emocje już ucichły, ale teraz rany otworzyły się na nowo.

- Kocham? - odrzekł głębokim głosem. - Jak ją znajdę, zabiję.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Trzej bracia zebrali się w salonie u Asha.

Na biurku leżał raport.

- Pilne - odczytał Mark na głos. - Zapoznać się niezwłocznie.

„Niezwłocznie” było podkreślone trzy razy. Na dole Jeffrey dopisał jeszcze, że skoro Ash pozwolił sobie ekscentrycznie zniknąć, będzie się musiał zadowolić raportem pisemnym.

- Nie zauważyłem tego - rzekł przepraszająco Ash. - Naprawdę nie miałem pojęcia. Nie pojmuję dlaczego...

- Nie można ci niczego zarzucić - odparł Mark.

Zajął się wertowaniem dokumentu. Do raportu dołączono wycinki z gazet. Dziwne się Markowi wydało, że coś tak zwiewnego może zawierać ważne informacje. Pierwszy raz od wielu dni obecność braci była dla niego irytująca. Dotąd łatwo unikał drażliwego tematu. Ale myśl, że ktoś inny rozmawiałby o tym z nimi była jeszcze trudniejsza do zniesienia. Nawet londyńskie plotki nie bolały go tak bardzo.

Chciałby im powiedzieć, żeby sami to sobie

później przeczytali. Ale kiedy zajął Ashowi w oczy, zobaczył żal. Bracia byli przy nim ostatnio cały czas i nie zasługiwali na takie traktowanie.

- Jest tylko jeden egzemplarz - powiedział z westchnieniem. - Chyba... będzie szybciej, jeśli przeczytam raport na głos.

- Jakbyś mógł - odparł Ash, unikając jego wzroku.

Mark zajął miejsce na kanapie, bracia przysiedli się do niego. Jeffrey nie tylko załączył oryginalną serię, ale też komentarze. Ale Marka nie interesowało, co mówili inni. Chciał tylko wiedzieć, co napisała Jessica.

Wszystko zaczynało się od jednego wycinka.

- Kiedy spotkałam sir Marka pierwszy raz - przeczytał - powiedział mi, że mówi głosami aniołów.

Całkiem o tym zapomniał. Nie patrzył na braci, wolał nie wiedzieć, co przyszło im na myśl po tym wstępie.

- Dopiero po tygodniu zrozumiałam, że nie mówił jako święty czy asceta, tylko jako człowiek. Jako zwyczajny, porządny człowiek.

Mark nie mógł już mieć żadnych wątpliwości co do autorstwa relacji. Prawie słyszał w tych słowach jej głos. Nie przewidział tylko niepowstrzymanych emocji, które go zalały.

Nie był to gniew ani poczucie zdrady. Raczej głębokie zrozumienie, które przypominało skok do zimnej wody. Mówiła mu to, czego nie chciał słuchać, ale z czego w głębi ducha od początku zdawał sobie sprawę.

Czytał dalej.

- Przyznaję, że z początku chciałam wyrzucić mu krzywdę.

Nie było mu łatwo patrzeć na siebie jej oczami. Przez ostatnie kilka dni żył w przekonaniu, że zakpiła sobie z niego i pozwoliła mu pokochać złudzenie. Wyobrażał sobie, że jakimś sposobem przeczuła, jakiej kobiety najbardziej pragnął, i to właśnie mu dała. Czuł się wystrychnięty na dudka i był na siebie wściekły, że mimo to nadal za nią tęskni.

Teraz zdał sobie sprawę, że czyta relację kobiety, za którą ją cały czas uważał. Chociaż nie pisała o tym, domyślał się jej wątpliwości. Wyczuwał, że tak samo jak on, ona też z wolna poddawała się uczuciom. W artykule na nowo odkrywał kobietę, która zdawała mu się wytworem gry wyobraźni. Poznawał jej niezachwianą wiarę i wierność sobie.

Cały ból, ukrywany minionego tygodnia, okazał się dziecinnym grymaszeniem. Jeśli powiedziała mu prawdę, niegdyś sama została sprowadzona na złą drogę, wyrzucona z domu

i wyklęta przez rodzinę. Straciła najdroższą przyjaciółkę i nie miała na całym bożym świecie nikogo bliskiego. Mark popatrzył po swoich braciach.

Jessica nie miała niczego. Była uboga pod każdym względem.

Czytał dalej jak w magnetycznym transie. Ból nie zniknął, ale się zmienił. Jessica wyrzuciła wszelkie wzmianki o fizycznej bliskości – dotykach czy pocałunkach. Zostały tylko opisy chwil, kiedy patrzył jej w oczy i nie był w stanie odwrócić wzroku, ale i tak dało się znać czułość i bliskość, chociaż tylko on wiedział dlaczego. Finałem były jego feralne oświadczenia.

Mark rzucił okiem na ostatnie słowa i odwrócił stronę. Nie umiał przeczytać ich na głos. Zaparło mu dech.

Smite pochylił się bliżej, dając mu wsparcie. Ash położył mu rękę na ramieniu.

Mark pomyślał, że skoro ona potrafiła spisać to wyznanie w samotności, nie mając nikogo, tym bardziej on nie powinien ich przemilczeć. Podjął czytanie.

- Wyjechałam. Co innego mi pozostało? Pokochałam go z tego samego powodu, dla którego go nienawidziłam. Bo taka kobieta jak ja nie mogła mieć nadziei, że zwiąże się

z takim mężczyzną.

„Pokochałam go. Nienawidziłam”. Te słowa raz po raz dzwoniły w uszach Marka. Serce biło mu jak szalone. Czuł całą przeraźliwą samotność, jaka z nich była.

„Pokochałam go”. Po rzeczowym, spokojnym tonie wcześniejszej narracji te dwa słowa rozbrzmiewały ze szczególną mocą. Mogło to być kłamstwo albo egzaltacja.

Ale Mark czuł, że to prawda.

Dotąd trzymał się wersji, że go okłamała, ale nie rozważył przeciwnej możliwości. Wyobrażał sobie, jak sobie drwi z niego i żartuje z George'em Westonem z jego zalotów. Wierzył w to, bo w przeciwnym razie to on sam ją okłamał, kiedy obiecał jej, że nie jest sama.

Mark czuł się jak pijany, kręciło mu się w głowie. Próbował się jeszcze przekonywać, że była wobec niego nieszczerą, wzbudzać w sobie oburzenie, ale wszystko to na nic. Ostatkiem sił pochwycił się myśli, że go skrzywdziła, ale wtedy przypomniało mu się ostatnie zdanie. „Bo taka kobieta jak ja nie mogła mieć nadziei, że zwiąże się z takim mężczyzną”.

Przeklął swoją głupotę i zaciętrzewienie. Był tak skoncentrowany na własnym cierpieniu, że

nawet nie zadał sobie prostego pytania. Błagała go, żeby nie obdarzał jej uczuciem, ale przyznała też, że nie ma środków do życia. Skoro więc zniżyła się do tego, żeby próbować go uwieść, jak bardzo brakowało jej pieniędzy?

On sam był bogaty ponad wszelkie wyobrażenie. Całe życie otaczała go miłość i wierni przyjaciele.

A ona? Z kim była zmuszona przestawać? Jak miał ją znaleźć?

Te pytania nie dawały Markowi spokoju. Tak długo patrzył przed siebie nieruchomo, aż ciemność nocy sama nabrała w jego oczach kolorów. Nie poruszał się, a Ash i Smite nie przerywali ciszy.

W końcu Ash wyciągnął rękę, jakby chciał dać Markowi kuksańca, ale zmienił zdanie. Poklepał go po ramieniu. Za ich plecami trzasnęło w kominku polano.

- Ile z tego naprawdę się zdarzyło? - zapytał Ash.

- Opuściła wszystko, co mogło źle o mnie świadczyć. Opowiadałem jej o matce, więc gdyby chciała, mogła nam łatwo zaszkodzić.

- Hm - mruknął Smite.

- Chcesz, żeby gazeta opublikowała przeprosiny? - zaproponował Ash. -

Mógłbym... chociażby kupić budynek, gdzie się mieści redakcja. Uprzykrzyć właścicielowi życie.

- Tylko że to wszystko prawda. Nawet odmalowała mnie w dość przychylnym świetle. Nawet nie wspomniała, że ją całowałem.

Obaj bracia poruszyli się niespokojnie, jakby wymieniali za jego plecami ostrożne spojrzenia.

- Ty całowałeś ją? - zdumiał się Ash.

- Całowałeś? - dodał Smite. - Jakby... niejeden raz?

- A skąd wasze zdziwienie? Żyję w czystości, ale jeszcze nie umarłem. Chociaż niewiele brakowało. Naprawdę niewiele.

- No to się postarałeś - rzekł Smite. - Dobra robota.

- Wcale nie dobra - odburknął Mark.

- Ale mówiąc już całkiem wprost - dodał Ash - to czego ty chcesz? Mam sprawę wyciszyć? Nie ma problemu. Chcesz ją odnaleźć i zamknąć jej usta? Zapłacę, ile zechcesz. Tylko powiedz, a tak się stanie.

Mark sam zadawał sobie to pytanie. Czego chciał? Czuł się jak nad przepaścią, jeden nieostrożny ruch i tragedia gotowa. Poszukiwał w sobie wewnętrznego spokoju, wyciszenia... ale zaraz zmienił cel. Jessica

myślała, że nie ma szans na życie u jego boku. Nazwał kawalerów czystości bandą hipokrytów. „Kobiety nie są nieprzyjaciółkami cnoty” – mówił. – „Właśnie z ich powodu cnota jest tak ważna”. Dobrze powiedziane, pomyślał. Po co miałyby zachowywać spokój nad przepaścią, skoro najważniejsza dla niego kobieta zaraz spadnie w otchłań?

- Dobrze - odrzekł bratu. - Ash, rzeczywiście potrzebuję twojej pomocy. Posłuchaj...

Deszcz zacinał wściekle, a Jessica, przemoczona, szukała klucza do mieszkania. Wynajmowała kilka pokoi w ponurych zaułkach Whitechapel. Trzymała je od późnej wiosny, żeby mieć gdzie przechowywać dobytek i dokąd wrócić z Shepton Mallet, gdy skończy już z sir Markiem. Trudno byłoby to miejsce nazwać domem, ale dopóki Parret nie przekazał jej całego honorarium, innego nie miała.

Ulewa przyszła znieńcka. Jessica kulila się przy drzwiach i zgrabiałymi palcami mocowała się z zamkiem. Ostatni odcinek reportażu trafił do czytelników kilka dni temu, ale jakimś sposobem nieszczególnie ją to obeszło. Słyszała też, że sir Mark wrócił zeszłego

wieczoru do Londynu.

Nie chciała myśleć ani o nim, ani o tym, co mu zrobiła. Żeby przetrwać, była gotowa zapłacić nawet tak wysoką cenę.

Zamek wreszcie ustąpił i Jessica otarła strużkę wody z twarzy. Odwróciła się jeszcze w progu, żeby wyjąć poły wełnianej peleryny. Na rogu ulicy świeciła samotna latarnia, ledwo co widoczna w rześnistym deszczu. Gazowy płomyk nie dawał prawie światła, za to rzucał długie, ponure cienie.

Nagle jeden z tych cieni się poruszył. Postać, dotąd ukryta w mroku, rzuciła się przez uliczkę. Serce zabiło Jessice mocniej. Mężczyzna zbliżał się długimi susami. Cofnęła się do środka i złapała za klamkę.

- Jessico - rzekł.

Poznała go. Opadły ją przemieszane emocje: przerażenie, ulga, nadzieja. Tymczasem głos Marka był pozbawiony wyrazu i uczuć.

Jessica zrobiła jeszcze jeden krok wstecz.

- Sir Mark? Co pan tutaj robi?

Mark podszedł krok bliżej. Jego płaszcz był przemoknięty, a mokre włosy pod cylindrem lepiły się do głowy. Deszcz ciekł ciurkiem z jego brody. Wpatrywał się w nią z naciskiem.

- A myślisz, że co tu robię?

Skrzywiła się, słysząc surowy ton.

- Pewnie jesteś zły.
- Jestem wściekły.
- Ale co tu robisz w samym tylko lekkim płaszczu w środku ulewy? Bez choćby parasola? Albo...

Mark zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę. Mógłby jej wręcz dotknąć. Jessica patrzyła w cienie na jego twarzy i całkiem zapomniała, co chciała powiedzieć.

- Nie padało, kiedy wychodziłem - odparł i położył rękę na ościeżnicy, jakby chciał odciąć jej drogę ucieczki.

Serce zabiło jej żywiej.

- Przecież pada od trzeciej.
- Czekam od południa. - Mówił spokojnie i to przerażało ją bardziej, niż gdyby podniósł głos.
- A dzięki temu mam pewność, że mnie nie wyrzucisz. Taki mały rewanż.

Przypomniała sobie, jak zdawałoby się, że wieki temu sama stała w deszczu pod jego drzwiami. Chciała go uwieść, potem powiedziała, że go nienawidzi.

- Wiem, że nie jesteś ze mnie zadowolony - powiedziała i otuliła się mokrą peleryną. - Mówiłeś mi, że nie znosisz ścierać na siebie uwagi. Wiedziałam, że będziesz mną gardził, kiedy dam wszystkim przeczytać nasze prywatne rozmowy. Nie mam nic na swoją

obronę.

W zimnym deszczu ich oddechy parowały. Mark podniósł rękę i dotknął jej brody.

- Naprawdę? Zupełnie nic?

Weszła głębiej do środka.

- Zrobiłam, co musiałam, żeby przetrwać. Nie będę za to przepraszała i nie proszę cię o wybaczenie.

Mark ruszył z wolna za nią, a Jessica cofała się, aż oparła się plecami o ścianę. Mark niespiesznie oparł ręce na wysokości jej ramion. Była w potrzasku. Zagroził jej drogę ucieczki.

- Marku - błagała - wiem, że żywisz do mnie urazę...

- Urazę? - zdziwił się. - Skąd, na wszystko, co dla mnie święte, przyszło ci do głowy, że jestem zły na ciebie?

Jessica nagle nie wiedziała, co począć ze strachem, który w niej budził. Pokręciła głową. Szukała właściwej reakcji, gdy Mark pochylił się nad nią.

Dotknął jej policzka mokrą i zimną, ale tak wyczekiwaną dłonią. Był delikatny, jakby obawiał się, że Jessica rozwieje się jak zjawa.

- Kiedy mi powiedziałaś, że Weston cię wynajął, wydawało mi się, że drwisz sobie ze mnie i wszystko udawałaś. Myślałem, że ci na

mnie wcale nie zależy. Ale to akurat nie było kłamstwo, prawda?

Jessica nie mogła uwierzyć, że ją usprawiedliwia, a co dopiero, że jej wybacza!

- Mówiłam ci, że byłam zamężna.

- Miałaś czternaście lat. - Otarł krople z jej czoła i przesunął kciukiem po nosie. - Miałaś czternaście lat, kiedy ten łajdak cię uwiódł, a twój własny ojciec wyrzucił cię z domu.

Odjęło jej mowę. Owładnęło nią uczucie, którego nie umiała nazwać, więcej niż ukojenie, więcej nawet niż potężna nadzieja.

- Od tamtej pory musiałaś sobie radzić całkiem sama.

Kiwnęła głową.

Odwrócił się i zamknął drzwi. Natychmiast pokój pograżył się w nieprzeniknionej ciemności. Jessica była sama z mężczyzną, którego nawet nie mogła dojrzeć.

- Mówiłaś samą prawdę - rozległ się w głuchej pustce jego głos. Był bliski i zarazem niezmiernie daleki. - Na początku mnie nienawidziłaś.

- Tak. Ale nie trwało to długo. Nie mogło.

Dało się słyszeć jego ciche westchnienie.

- Miałem taką nadzieję. Jessico... - Zawiesił głos i odetchnął głęboko. - Proszę cię, żebyś mi przebaczyła.

- Ja tobie? - Usłyszała swoje pytanie jak głos kogoś innego. Z trudem chwyciła powietrze.

- Obiecałem, że się tobą zaopiekuję. Nie poradziłem sobie za dobrze.

Było jej wstyd, kiedy na te słowa z oczu popłynęły jej łzy. Na szczęście w ciemności mogła udawać, że to deszcz. Wyciągnęła rękę, szukając go. Chwycił ją mocno.

- Nie musisz mnie prosić o wybaczenie - odrzekła.

- Nie? W takim razie wytłumacz mi, dlaczego nie mogłem przestać myśleć o tej chwili, kiedy od ciebie odszedłem. I dlaczego mnie tu boli...

Przycisnął jej dłoń do mokrej tkaniny na swojej piersi.

- ...kiedy wspomnienie ożywa? - dokończył. - Powiedz, jak mogę zasłużyć na twoje zaufanie, jeśli wprawdzie mi nie przebaczysz?

- Nie musisz mnie prosić o wybaczenie. Wybaczam ci wszystko bez zastanowienia, odkąd dałeś mi swoją marynarkę. Chyba już wtedy prawie się w tobie zakochałam.

Podłożył dłoń pod jej plecy i przyciągnął do siebie. Zamilkła, czuła uderzenia pulsu, który brzmiał dla Jessiki jak wstęp do symfonii, cichy i spokojny, a zapowiadający wejście wielkiej orkiestry, gotowej lada chwila dołączyć i zalać ją niepowstrzymaną falą dźwięków. Wsunęła

ręce pod poły jego płaszcza, czuła napięcie całego ciała.

Pocałował ją, a zmysły porwały ją w nieopisaną przyjemność. Choć byli w mokrych ubraniach i jego usta zdawały się zimne, już po chwili było im gorąco. Chłodny aromat deszczu przemienił się w dotyk gorących warg, którymi wlał życie w jej przemarzłe ciało. Nie kryła się z pragnieniem, nie udawała, że byłaby w stanie przetrwać bez niego choć chwilę dłużej.

Był jej potrzebny jak powietrze, a nigdy nie przeżyła czegoś równie przerażającego. Tak łatwo mógłby ją skrzywdzić! Dobroć zdawała się groźniejsza od wyzwisk. Z każdym czułym dotykiem prawie krzyczała z rozkoszy i lęku. Z każdym muśnięciem jego warg traciła grunt pod nogami. Miała wrażenie, że spada. Czekala, kiedy uderzy w ziemię.

Zanurzył palce w jej włosach i po omacku wyjmował szpilki, jedna po drugiej, aż uwolnione potoczyły się gęstą wilgotną falą po karku i plecach. Łapał je w dłoń, kiedy opadały. Oderwał się od niej i odetchnął.

- Jessico - oparł czoło na jej czole. - Powinnaś była wszystkim powiedzieć, jaki ze mnie hipokryta. Prawiłem ci kazanie, jak rozwiążność krzywdzi kobiety, a nie widziałem,

jak sam ciebie krzywdziłem. Nie mów mi, że nie potrzeba mi twojego przebaczenia.

Jessicę ogarnęło wzruszenie. Zrozumiała, że i on był w uczuciach bezbronny. Szukali się nawzajem w ciemności i jednocześnie bali się siebie odnaleźć.

Znalazła zapięcie peleryny. Mokry ciężar osunął się z jej ramion.

- Marku - szepnęła drżącym głosem - nie chcę ci nigdy sprawiać bólu. Z radością dam ci wszystko, co będziesz chciał.

- Chcę tego. - Objął ją, a jej sukienka przemieęła wodą z jego płaszcza. Nie dbała o to, bo znowu szukał ustami jej ust. Pocałował ją, przyciskając do siebie. Trzymał ją mocno, ale wystarczyło, że położyła rękę na jego piersi, a natychmiast się cofnął. Zrozumiała, że nie chce jej skrzywdzić. Nie dziś.

Ale co będzie jutro? - usłyszała głos wątpliwości.

Otrząsnęła się ze zmartwień i oddała pocałunkom. Nie liczyło się dla niej nic prócz dawania i otrzymywania, dotyku warg i języka, wspólnego oddechu.

Cofnęła się na moment i w ciemności zaprowadziła go do sofy, na którą opadli. Pocałował ją znowu, nachylając się nad nią. Nawet mokry chłód ich ubrań ustąpił miejsca

gorącej i parnej wilgoci.

Mark położył dłonie na jej policzki, dotykał jak delikatnego klejnotu. Jessica była już niemal gotowa uwierzyć, że choć tej jednej nocy naprawdę będzie mu droga. Oddawała się w pełni każdej przemijającej minucie.

Guziki płaszcza wpijały się w jej skórę. Jessica zaczęła je rozpinąć, wpięrow bezwiednie, potem z przejęciem. Mark oderwał się od niej jedynie po to, żeby zrzucić okrycie, i znów powrócił do jej ust. Ale nie tylko ich wargi się stykały. Ocierali się całymi ciałami, przyciskali do siebie biodrami, jej piersi wtulały się w jego pierś. Jessica czuła się jak w raju, obejmując go i dając się obejmować. Było jej tak dobrze, aż przeczuwała, że zaraz wszystko się skończy.

Kiedy się od niej odsunął, była na to gotowa. Ale on, zamiast przerwać, przyklęknął obok niej i zagarnął spódnicę, odrzucił jej halki na biodra. Chłodne powietrze owiało jej uda, aż zadrżała z niecierpliwości.

Położył gorące już dłonie na nagich kolanach.
- Jessico - szepnął, posuwając kciuki w górę, aż zetknęły się w wilgoci. Westchnął w cudownym oszołomieniu.

A ona była jak we władzy przenikających ją sił kosmicznego eteru, gdy z początku

ostrożnie zgłębiał pieśczętą najintymniejsze zakamarki jej ciała. Odkrywał dotykiem najpierw niepewnie, potem coraz śmieiej.

- Czy tak dobrze? - zapytał, przesuwając kciukiem przez najczulszy punkt. Było jej dobrze nie do opisanania.

- Tak.

- A teraz?

Położyła dłoń na jego dłoni.

- Tutaj. Właśnie tak. O tak.

Kusił ją, dręczył, poznawał tajemnice.

- Chcę... - szepnęła, ale zamilkła z jękiem, kiedy znów jej dotknął.

- Powiedz - ponaglił mocnym głosem.

- Nie... Och Marku... Nie możemy. Musimy przestać. Zastanów się.

Znieruchomiał. Cofnął ręce, spódnice opadły. Wszystko ją bolało, ciało wołało o więcej. Ale wysiłkiem woli podniosła się z kanapy.

- Tam jest miednica, jeśli chcesz. - Wyciągnęła rękę, przypomniała sobie, że jej nie widzi, i poszukała stolika przy drzwiach. Znalazła po omacku zapalniczki, potarła raz, drugi i trzeci i wreszcie ostry zapach siarki uniósł się w powietrzu. Osłoniła cenny płomyk i zapaliła świecę. Migotliwe światło zatańczyło w pokoju, było zbyt jasne, a Jessica zbyt późno pojęła swój błąd. Jeśli Mark widział jej oczy,

mógł w nich wyczytać... wszystko.

Za jej plecami znalazł miednicę i umył ręce. Po chwili zwrócił się do niej.

- Chciałbym ci coś wyjaśnić - rzekł. Jessica z całych sił walczyła, żeby nie spuszczać wzroku z jego oczu. - Ostrzegałaś mnie kiedyś, żebym cię nie idealizował.

Podszedł do niej znowu, ale kiedy stanął przed nią, nie nachylił się do pocałunku. Okręcił ją tak, że stanęła do niego plecami, i przytulił.

- Masz tylko jedną szansę, żeby uciec.

Zsunął ręce na jej brzuch, na pasek sukienki.

- Udaremnię swój plan - szepnęła gorąco. - Udowodnię ci, że zasługujesz na miłość. I nie uda ci się mnie powstrzymać, moja droga.

Wyplątał końce paska i wypuścił go z rąk na ziemię.

- Marku?

Odpiął najwyższy guzik sukienki na karku.

- Od początku nie powinienem był cię w tej sprawie słuchać.

Dotknął ustami jej ucha, delikatnie, samego brzegu, ogrzał je gorącym oddechem. Jej sutki stwardniały, wyprężyły się, Jessice zrobiło się gorąco. A Mark już nie tylko całował ucho, ale brał je między zęby, przesuwając po nim wargami, uwrażliwiał zwinnym językiem.

Znowu popłynęła przez jej ciało fala przyjemności.

- Co robisz?

Nie odpowiedział, tylko rozpiął do końca sukienkę niespiesznymi palcami.

- Dziękuję, że zapaliłaś świecę - rzekł cicho, zsuwając sukienkę z jej ramion. Przycisnął usta do jej szyi. - Bez światła byłoby mi znacznie trudniej.

Sięgnął do sznurowadeł gorsetu i powoli rozsuptał węzółki. Zapragnęła przycisnąć materiał do piersi. Nie tylko o ciało mu chodziło, ale domagał się intymności, do jakiej od lat nie była zdolna. Bała się, że lada chwila wróca mu zdrowe zmysły i zostawi ją samą, drżącą od rozbudzonych pragnień i w nieukojonym bólu.

- Jaki jest sposób na te halki? - Znalazł dopiero pierwszy guzik, który mocował zewnętrzną warstwę.

- Co ty robisz? - ponowiła słabo pytanie.

- Dobrze wiesz co - odrzekł, pokonał trudności z pierwszą halką i zaczął mocować się z następną. - Rozbieram cię.

Druga halka opadła na pierwszą.

- To jak rozmontowywanie zegarka. - Uśmiechnął się. - W tę stronę jakoś sobie radzę, ale raczej nie umiałbym złożyć

wszystkiego z powrotem bez pomocy specjalisty.

- Marku, naprawdę musisz się powstrzymać.

- Jessica zaczęła dygotać.

Ostatnia halka spłynęła na podłogę, a Jessica została jedynie w koszuli.

- Czy tego naprawdę chcesz?

Obróciła się w jego objęciach, a Mark jak urzeczony chłonał wzrokiem jej figurę, wyzwoloną z krępujących więzów mody.

Pod jego rozpalonym spojrzeniem nawet zapragnęła się zakryć. Wyobrażała sobie, że tak może się czuć królik, kiedy dostrzega krążącego nad sobą sokoła. Ale ten sokół nie zaatakował, tylko pochylił się i pocałował ją słodko. Poczula, że prawie omdlewa, a choć była to rozkosz, strach też nie całkiem ją opuścił.

Teraz Mark dotykiem poznawał jej kształty, jakby chciał je na zawsze zatrzymać w pamięci. Miała gęsią skórę, choć nie czuła chłodu.

- Jeszcze chwila i stracę głowę - wyznała.

Odsunął się i zajrzał jej w oczy.

- No to ją strać - zasugerował i zniżył usta na szczyt piersi. Już nawet nie próbowała protestować, pochłonięta całkiem przez zalew pragnień.

- O, to ci się podoba - zauważył ochryplym głosem. - Przyszło mi to do głowy jakiś czas temu i nie umiałem przestać o tym myśleć.

Kiwnęła głową, bo całkiem zapomniała, jak się mówi. A on znowu się pochylił i powiódł językiem wokół sutka, czule i pewnie. Jego coraz bardziej urywany oddech omiatał skórę, posyłając w jej pierś potężne fale rozkoszy.

Kto inny, gdy już dał jej tyle, niecierpliwie zająłby się swoimi pragnieniami, ale Mark pieścił ją, jakby każdy dotyk języka był pierwszy, jej skóra słodka w smaku i bezcenna, a jej zadowolenie ważniejsze od jego zaspokojenia. Chłoneła ciepło jego ciała przy swojej skórze.

- Prędzej - szepnęła.

Podniósł głowę i posłał jej przekorny uśmiech, który wcześniej mogłaby przypisać tylko przebogatemu doświadczeniu.

- Czekałem na to dwadzieścia osiem lat - odparł. - Kilka godzin więcej nie robi mi różnicy.

Nie przypuszczałaaby, że ją odwiedzi, i nie uwierzyła, że będzie o niej wciąż dobrze myślał. Ale te słowa wydawały się już zupełnie fantastyczne.

Przesunął leniwie dłonią po jej żebrach, jakby chciał je policzyć. Sięgnął rąbka koszuli

i podciągnął ją do góry.

- Kilka godzin? Niezwykły z ciebie optymista...

Uśmiechnął się na chwilę, ale nie przeszkodziło mu to całować ją niżej i niżej, aż dotknął ustami pępka.

- Coś nieprawdopodobnego - szepnął. - Dotykam cię, czuję, jak drżysz... i wiem, że ja to sprawiam.

Zakręcił kciukami koła na jej biodrach i sięgnął dłonią ud. Rozchylił kolana i raz jeszcze wsunął palce w wilgoć jej pragnienia.

- Jest o wiele lepiej, niż sobie wyobrażałem...

Wyciągnęła ręce i przeczesła palcami jego włosy.

- Zaczekaj, aż będzie moja kolej, żeby dotykać ciebie.

- Jakie to przyjemne... - Rozmarzył się i spojrzał jej w oczy. - Tutaj? Czy tutaj?

Jessica czuła jego kciuk między udami.

- Tu!

Skoro się upewnił, wyzbył się nieśmiałości. Patrzył na nią i oczy mu błyszczały.

- A tu?

Przebiegły ją dreszcze.

- Taaak...

Tym razem posunął się dalej, a ona objęła go bez udziału woli.

- A tak?

- To za dużo, Marku, przestań, za mało!

Oderwał się od niej, podniósł i rozpiął kamizelkę. Pewnie ściągnął fular z szyi, ale nie spieszył się zbytnio, nawet kiedy ściągał koszulę przez głowę. Pierś miał jasną i gładką, złote włosy były ledwo widoczne w świetle samotnego płomienia świecy.

Położyła mu ręce na ramiona, napawając się kształtem silnych mięśni, które jednak drżały pod jej palcami. Przeciągnęła dłońmi po jego piersi, znalazła sutek. Wstrzymał oddech, pochylił do przodu.

- Jessico, proszę. Kochanie... Powtórz to!

Powtórzyła.

Słuchając niektórych mężczyzn, można było odnieść wrażenie, że tylko kobiece ciała składały się z krągłości. Ale ciało Marka też było stworzone z subtelnych łuków. Muskuly rąk zwieńczone palcami, pofalowany brzuch, wklęsłość, gdzie tors stykał się z biodrami. Jego ciało wyglądało jak dzieło wspaniałego rzeźbiarza.

Opuścił rękę na pas spodni, a Jessica przestraszona przykryła ją dłonią.

- Co robisz?

Przycisnął jej rękę swoją.

- Wiesz może, dlaczego wierzę w czystość?

Bo nie wierzę w wyrządzanie krzywdy, a szczególnie komuś, na kim mi zależy.

Wypuścił jej dłoń.

- Liczy się kobieta - dodał. - Nie moja duma ani reputacja. Nawet nie zasady. Powinnaś być dla mnie zawsze najważniejsza.

Ściągnął spodnie na biodra i opuścił niżej.

- Pragnąłem spokoju i równowagi - dokończył - ale ty jesteś dla mnie na pierwszym miejscu. I na każdym następnym. Zawsze, Jessico.

Jessica nie mogła w to uwierzyć. Miała wrażenie, że śni. Jak on mógł mówić to właśnie jej? Jakim cudem był nagi? Ale kiedy jej dotknął, jego ręka nie była fantasmagorią. Zaprowadził ją z powrotem na sofę, usiadł nagi przed nią i pociągnął do siebie, żeby objęła udami jego biodra. Był pod nią gorący, ich usta się odnalazły.

Nie był to tylko pocałunek, przyciągnął ją do siebie, splótł z nią palce i wypchnął biodra. Choć nie miał doświadczenia, instynkt dał mu całą potrzebną wiedzę.

Wciąż jeszcze oddychał ciężko, choć ciało już się uspokoiło. Objął ją mocno i pocałował długo i namiętnie, pomimo obezwładniającego spełnienia, jakiego oboje zaledwie przed

chwilą zaznali.

Jessica wciąż nic nie rozumiała. Nie miała pojęcia, co się stało. Mechanikę znała oczywiście doskonale, rozumiała ekstazę. Ale to była dla niej nowa przyjemność, coś, czego dotąd nie doświadczyła. Rozkosz niezwykła i niewyjaśniona. Splotła z nim dłonie, objęła go i przycisnęła się do niego całym ciałem. Ich oddechy mieszały się w intymnym rytmie.

Dopiero po dłuższej chwili pojęła różnicę. Dotąd mężczyzna brał, a ona dawała. Przez kilka chwil była niewolnicą. Tym razem jednak przyjemność należała także do niej.

Poznała coś zarazem obcego i najbliższego w świecie.

Wspólne spełnienie.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Mark zabrał ją później do łóżka.

Nie mógł się nadziwić olśniewającemu pięknu jej nagiej skóry. W niepewnym świetle płomienia świecy dotykiem rąk dopowiadał to, czego nie widziały oczy. Łuk jej ramienia. Jedwab włosów, bardziej miękki, niż śmiał przypuszczać.

Nie pojmował, jak niektórzy mogą często zmieniać kochanki. W Shepton Mallet był zadurzony, ale w porównaniu z tym, ówczesne uczucie wydawało mu się pozbawione treści. Teraz poznawał kształty i smakował, a migotliwe światło odsłaniało coraz to nowe uroki jej ciała: bladą skórę, ciemne włosy i różowe usta.

Nie miał pojęcia, jak długo jej dotykał. Dość, żeby świeca w końcu wypaliła się i zgasła, a żądza zdążyła wrócić. Jeszcze raz znalazł się razem z nią w niebie, które przeczuwał i którego nie potrafił sobie wyobrazić.

Pełnię władz umysłowych odzyskał, gdy leżał na obejmującej go Jessice.

- Próbuję i próbuję, ale nie mogę cię rozszyfrować - mruknęła.

Pocałował ją.

- To przecież łatwe. - Osunął się z niej na bok, ostrożnie, żeby nie rozerwać objęć. Miał ją już dwa razy i chwilowo nie planował trzeciej odsłony.

Jessica czekała, co powie.

- Chyba powinnaś wiedzieć o dwóch rzeczach. O przeszłości i przyszłości.

Na słowo przyszłość zamarła. Mark wyczuł napięcie. Ale odpowiedziała tylko:

- Hm?

- Co do nieodległej przeszłości, to wyznam, że nie zaryzykowałbym miłości z tobą, jeśli istniałoby ryzyko, że zostaniesz potem bez wsparcia. Zawsze jest oczywiście niebezpieczeństwo, mógłby mnie razić piorun... Ale nie zaryzykowałbym opuszczenia cię i bez funduszy dla dziecka.

Ciągle pamiętał niemowlę porzucone w Bristolu. Musiał mieć pewność, że Jessica nie musiałaby tak postąpić. I że nie taki los czeka jego dziecko.

- Myślałam o tym...

- Dlatego dziś rano przepisałem na ciebie pięć tysięcy funtów.

Usiadła gwałtownie, ściągając pościel.

- Coś ty zrobił?

- Dałem ci pięć tysięcy funtów.

Mówił spokojnie, ale jego puls szalał. Jessica podkuła nogi pod siebie.

- Nie potrzebuję ich. Nie chcę. Odmawiam.

- Szkoda, bo już na to nic nie poradzę. Pieniądze są na twoim imiennym koncie i nie mam do nich prawa, choćbym nawet zmienił zdanie.

Położył czule rękę na jej plecach. Odsunęła się.

- Chyba nie myślisz, że płacisz mi za usługi?

- To byłby absurd. Do tego czasu nie wyświadczyłaś mi żadnych usług, a kiedy cię dotknąłem, już byłaś bogata.

- Wybacz - odrzekła, wciąż naburmuszona. - Nie całkiem pojmuję, dlaczego to zrobiłaś.

Mark milczał, niepewny, jak powinien się zachować.

- Miałam już pieniądze - dodała chłodno. - Nie potrzebowałam więcej.

Wzruszył ramionami.

- No to teraz masz więcej.

Roześmiała się.

- Naprawdę nie rozumiem. Co się ze mną dzieje? Jeszcze wczoraj byłam całkiem sama, a teraz... - Pokręciła głową. - To nie przytrafia się takim kobietom jak ja.

Znowu to samo, pomyślał Mark.

- Takim jak ty? - zapytał, na siłę zachowując

spokój. - To znaczy jakim?

- Marku, jestem kobietą, która nie dochowała czystości przedmałżeńskiej.

- Jessico - sparodiował ją - może nie zwróciłaś uwagi, ale ja jestem mężczyzną, który też nie dochował czystości.

Jessica zamilkła.

- Jak myślisz, dlaczego do ciebie przyszedłem? - podjął. - Już ci kiedyś mówiłem, że nie jesteś nieprzyjaciółką cnoty. Ona jest ważna właśnie z twojej przyczyny. Po co miałbym się trzymać zasad, przez które czułaś się gorsza? Chcę, żebyś czuła się mi równa, kiedy się z tobą ożenię.

- Miałbyś wziąć mnie za żonę? Nie mówisz chyba poważnie.

- Oddałem ci dwadzieścia osiem lat czystości. To nie była zwykła zachcianka. Nie prosiłem cię o rękę z ulotnego poczucia obowiązku czy z żalu. Pragnę cię w swoim życiu. Chciałbym, żebyś poznała moich braci. Chcę mieć z tobą dzieci.

Odetchnęła niepewnie.

- Nie przekonasz mnie, że marzyłeś, żeby mieć kurtyzanę za żonę. Naprawdę staram się to sobie wyobrazić, ale wcale mi nie wychodzi.

- Hm - mruknął i wziął ją za rękę. - Masz rację. Nigdy o tym nie marzyłem. Ale teraz,

kiedy cię znalazłem, inne życie jawi się jako koszmar. Marzenia się zmieniają. Często na lepsze.

- Nie zauważyłam. - Nadal mówiła beznamiętnie, ale nie zabrała ręki. - Dwa miesiące temu marzyłam, żebym nigdy więcej nie musiała sprzedawać swojego ciała. W dzieciństwie miałam inne marzenia.

- A ja tak źle na ich tle wyglądam?

- Wierzyłam, że wyjdę za mąż. Byłam bardzo ładna, wszyscy mi to mówili. Myślałam, że pewnego dnia mój wymarzony mnie znajdzie. Poprosi mnie o rękę. Ogłosimy zapowiedzi w kościele mojego ojca i trzy tygodnie później on poprowadzi mnie do ołtarza.

Wbijąca Markowi paznokcie w skórę.

- Racja - odparł jak najnaturalniej. - Przecież twój ojciec jest pastorem.

- Był bardzo przywiązany do zasad. Nie za bardzo umiał się nami zajmować. Chyba nie spodziewał się, że będzie miał trzy piękne córki. Mama jest ładna, ale... my trzy byłyśmy jak z obrazka. Kiedy na nas patrzył, czuł się zażenowany. - Westchnęła. - A ja byłam szczególnie śmiała, nawet jeszcze zanim zmarnowałam sobie życie.

- Był zły, kiedy to się stało?

- Zły? Nie. Był przerażony. Był ubogim

pastorem. A pastor, który ma trzy piękne córki, jest w trudnym położeniu. Cały czas jest na językach. Mój upadek zmarnowałby też szanse na dobre partie dla moich sióstr. Mogłam pociągnąć za sobą całą rodzinę.

- A dużo było plotek?

- Nie. - Opuściła głowę, a włosy zasłoniły jej twarz. Dopiero po chwili je odgarnęła. - Wszyscy mu współczuli.

Mark ściągnął brwi, nie rozumiejąc.

- Nikt się nie dowiedział - wyjaśniła. - Ojciec wygnał mnie z domu i rozpowiedział, że zachorowałam i dla zdrowia pojechałam do rodziny w Bath. A po miesiącu ogłosił, że umarłam.

Mark wziął głęboki wdech.

- Och Jessico!

Niedawno myślał, jak bogaty jest dzięki braciom. Teraz poczuł to jeszcze wyraźniej. Położył jej rękę na ramieniu.

- Przestań - fuknęła na niego. - Nie musisz mi współczuć. Już mi to wszystko zobojętniało.

Nic a nic jej nie uwierzył.

- Miał rację - ciągnęła. - Ostrzegał mnie, żebym nie ryzykowałam reputacji. Odradzał mi przejażdżki z mężczyznami. I miał rację, że mnie wydziedziczył. Byłam Jessicą Carlisle, ale od tamtej pory jestem Jessicą Farleigh.

Straciłam prawo do nazwiska, kiedy straciłam rodzinę.

Zapadła bolesna, kostyczna cisza.

- Twój ojciec i ten łajdak, który cię zrujnował... - Zaznaczał punkty na jej ramieniu. - A jak mi wszystko wyznałaś, ja też cię opuściłem. Jessico, czy ktoś kiedykolwiek był po twojej stronie?

- Moje siostry - szepnęła. - Charlotte i Ellen.

Uśmiechnęła się ciepło do wspomnień.

- Dużo rozmawiałyśmy. Lubię myśleć, że gdyby miały wybór, toby mnie nigdy nie poświęciły dla swojego dobra. Ale chyba jednak tak.

Zamilkła.

- Może jednak troszkę jeszcze boli - dodała.

Oddychała miarowo. Miała nadzieję, że dokładne odmierzanie tchu powstrzyma łzy.

- Słałam ojcu listy - podjęła - więc pewnie wiedzą, że żyję i mam się dobrze. Ale od siedmiu lat nie dostałam jednej odpowiedzi. Tylko co roku sprawdzam w księgach metrykalnych, co się z nimi dzieje.

Mark spróbował sobie wyobrazić, jak by się czuł, gdyby nie miał kontaktu z braćmi przez choćby siedem tygodni, nie mówiąc o latach. Nawet kiedy byli ze Smite'em całkiem sami na ulicach Bristolu, brat był jego obrońcą. Nigdy

nie doświadczył rozłąki z nimi ani całkowitej samotności.

- Jessico...

Uderzyła go pięścią w ramię. Nie z całej siły, ale dość mocno, żeby zwrócić uwagę.

- Przypatrz mi się. I przestań się nade mną użalać. Nie mam już czternastu lat. Przeżyłam. Przetrwałam. Zrobiłam to, co konieczne. A mogło być znacznie gorzej.

- W jaki sposób?

- Mógł mnie nie zabrać ze sobą do Londynu - odparła bez wahania. - Mogłam trafić do stręczycielki albo burdelu. Już w pierwszym tygodniu poznałam Amalie, a ona nauczyła mnie, jak sobie radzić i unikać najgorszych błędów. Więc się nade mną nie użalaj, Marku. Udało mi się przetrwać.

- Ale nie musisz na tym poprzestawać. Wyjdź za mnie. Zerwij z tamtym życiem.

Oparła się plecami o jego pierś i po omacku położyła palce na jego ustach.

- Przestań. Najważniejsze, czego mnie nauczyła Amalie, to kiedy można bezpiecznie zostać, a kiedy trzeba odejść.

- Chcesz mnie zostawić? - Coś chwyciło Marka za serce. - Nic z tego.

- Nie wiesz jeszcze wszystkiego - odparła cicho. - Jest jeszcze jedna sprawa.

- Coś gorszego od wyrzucenia z domu czternastolatki?

Nie odpowiedziała od razu. Objął ją i przytulił mocniej. Czuł, że ręce jej drżą. Nie odepchnęła go. Głaskał ją i rozczesywał jej włosy, a Jessica poddawała się pieszczotom. Mimo to Mark wiedział, że się do tego zmusza, bo cała była napięta jak struna.

- To było po tym, jak odkryłam, że jestem w ciąży.

Mark zamarł zaskoczony, a Jessica zamilkła. Oddychała szybciej.

- Byłam ostrożna, ale to nie zawsze zdaje egzamin. Kiedy zrozumiałam, co się stało, i powiedziałam o tym... opiekunowi... minęło kilka miesięcy.

Mark poczuł ścisk w gardle. Słowa go zawiodły. Przemógł się i wykrztusił wreszcie:

- Wyrzucił cię?

- Nie - odparła zachrypnięta. - Był nawet miły. Tak mi się zdawało. Powiedział, że się wszystkim zajmie i żebym się nie martwiła. Myślałam, że...

Przerwała opowiadanie. Może miała nadzieję, że zaopiekuje się nią i dzieckiem? - przypuszczał Mark. Zapewne mógłby to zrobić.

- Przy następnej wizycie zaproponował mi

wyjątkową herbatę. Powiedział, że zmieszano ją specjalnie dla niego i chciał, żebym spróbowała. Miała mieć szczególny smak. Niby ekskluzywny eksperyment dla nielicznych.

Mark nie próbował już nic mówić. Przycisnął ją tylko mocniej.

- Ale to nie była tylko herbata. Także mięta polej, aminek i Bóg jeden raczy wiedzieć co jeszcze, a zaparzone bardzo mocno. Było gorzkie, ale dodał mleko i posłodził. Nawet nie wiedziałam, co mi daje. Mówił, że jemu smakowało. Więc wypiałam wszystko, żeby go nie dotknąć. Zawsze należy być uprzejmą.

Mark słuchał, jakby się zamienił w słup soli.

- Nie wiedziałam! - powtórzyła już na krawędzi płaczu. - Nie wiedziałam.

- Co on... co to było...? - zapytał Mark, choć sam już dobrze wiedział.

- To była mieszanka na zaburzenia miesiączkowania - odparła. - A w odpowiednich dawkach...

Łzy Jessiki spływały na jego ramię. Mark też poczuł łzy w oczach. Trzymał ją przy sobie jak najmocniej, bał się wypuścić ją z rąk.

- Potem mi powiedział, że nie był pewien dawki, więc dla pewności potroił ilość, jaką proponował aptekarz. Tego wieczoru

zaczęłam krwawić. Krew płynęła bez końca, prawie umarłam. A kiedy przyjechał doktor i dowiedział się, co się stało... - Głos uwiązł jej w gardle. - Ten doktor... leczył wiele kurtyzan...

Mark położył jej chłodną rękę na czole. Nie wiedział, co powiedzieć.

- Czulałam się jak idiotka - podniosła głos. - Kiedy się upewniłam, że jestem w ciąży, byłam przestraszona. Martwiłam się i nie wiedziałam, co robić. Ale gdzieś w głębi poczułam się szczęśliwa, bo już miałam nie być sama.

Ucichła.

- Odebrał mi to wszystko - dodała bezbarwnie. - Bez pytania. Nie dał mi nawet prawa głosu.

Opuszczało ją napięcie. Jessica zaczęła dygotać.

- Kiedy o tym myślę, przypominam sobie, że wszystko przetrwałam, ale tamto prawie kosztowało mnie życie.

- Nie płacz, proszę, Jessico. Przetrwałaś, i dzięki za to Bogu.

- Musiałam się wyrwać. Skończyć z tym. I dlatego chciałam cię uwieść. Potrzebowałam pieniędzy, żeby już nigdy do tego nie wracać. Nigdy więcej.

- Nie martw się tym już. Nie dręcz. Rozumiem.

- Ale to jeszcze nie koniec. Tamten lekarz powiedział mi, że prawdopodobnie stałam się po tym bezpłodna. Chcesz mieć rodzinę, a ja nie mogę ci jej przypuszczalnie dać.

Markowi przyszedł na myśl ciemny zaułek sprzed tylu lat.

- Jest wiele dzieci, którym brakuje rodziców. Ja mam rodzinę. Chciałbym dzielić ją z tobą.

- Ale co z nią będzie, jak za ciebie wyjdę? - Wbiła mu w rękę paznokcie. - Mężczyzna, który mi to zrobił... to George Weston.

Ze wszystkich niespodzianek, jakie mu mogła zgotować, ta była najbardziej przykra.

- George Weston - powtórzył bezmyślnie. - George Weston?

- Jeślibyśmy się pobrali, nie mogłabym go unikać. Należy do twojego towarzystwa. - Ścisnęła mocno jego ramię. - On cię nienawidzi. Wszystkim powie, kim byłam. Mnie możesz mówić, że jesteś takim samym grzesznikiem, ale towarzystwo się raczej nie zgodzi.

- Niech się powieszą - odparł szorstko. - Nie zależy mi.

- Ale mnie tak. Jeśli zostanę twoją żoną, nie będę mogła go unikać. Ani zapomnieć. Nie

mogę żyć z tymi wspomnieniami.

Obok zgrozy poczęło w Marku narastać inne uczucie. Była to wściekłość. Zaczął się obawiać, że weźmie nad nim górę. Już samo to, że Weston wyznaczył nagrodę za skompromitowanie go, było straszną zniewagą. A czyn wobec Jessiki był po prostu odrażający. Przypomniawszy sobie, jak Jessica wzdrygała się na każdy dotyk. Weston dokonał ohydnej napaści, gorszej nawet niż przemoc fizyczna. Był to gwałt na całym jej życiu, skutek którego omal nie umarła.

- Do diabła z Westonem - rzucił gniewnie. - Do diabła z tym wszystkim! Znajdziemy jakieś rozwiązanie.

- Jak to my? Jesteś ty i jestem ja.

Mark nie zgadzał się z nią, ale znał lepszy sposób niż dyskutować z jej słowami. Uznał, że już najwyższy czas, aby otoczył ją opieką i dał oparcie, jakiego dawno w nikim nie miała.

- Nie opuszczę cię - zapewnił z przekonaniem. - Ani dla reputacji, ani majątku, ani nawet ze strachu o życie wieczne. Rano wszystko rozwiążemy. Nie poddam się z powodu jednej skończonej kanalii.

- A jeśli cię wyproszę?

Uśmiechnął się półgębkiem.

- Po prostu przestanę cię słuchać.

W tej właśnie chwili, pomimo wszystkiego, co Jessica mówiła, Mark poczuł, że się uśmiechnęła.

Równowaga, pomyślał. Spokój.

Właśnie tego teraz potrzebowała. Ale słyszał też inny głos.

Teraz jest pora spokoju, szeptał. Jutro będzie czas zemsty.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Z nadejściem poranka Mark miał już gotowy plan zemsty. Szybko wytropił zwierzynę. Weston miał stałe przyzwyczajenia, więc odnalezienie go nie nastęczało trudności.

Słońce stało wysoko, podczas gdy Weston przemierzał łąki Hyde Parku. Jak na ironię Mark przydybał go akurat, gdy spieszył na spotkanie z człowiekiem, który miał w jego mniemaniu wyznaczyć go na swojego następcę w Komisji Praw Najuboższych. Zwolnienie stanowiska dopiero co ogłoszono.

- Weston - zawołał Mark z daleka.

George Weston zwolnił kroku, zatrzymał się i odwrócił do niego zaskoczony. Na widok Marka dał wyraz rozdrażnieniu.

- Sir Marku. - W jego ustach zabrzmiało to jak obelga.

Lecz po wysłuchaniu opowieści Jessiki każde słowo z ust Westona brzmiałoby dla Marka jak obelga. Podszedł bliżej.

- Słyszałem, że zajmuje cię praca komisji?

Weston skrzyżował ręce na piersi. Wokół nich przechadzali się liczni spacerowicze. Mark wiedział, że kiedy się tu pojawi, ściąganie

na siebie uwagę. Po cichu nawet na to liczył. Czuł się prawie zrelaksowany w opływającym go potoku obojętności.

Już za chwilę miało się to całkiem zmienić.

- A jaki w tym twój interes? - warknął Weston.

Mark uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Zamierzam dopilnować, żeby stanowisko przeszło ci koło nosa.

- Ciekawe, jak tego dokonasz, świętoszku.

- Wybacz, że to mówię - odparł Mark najspokojniej w świecie - ale myślisz, że kogoś zaciekawia zatrudnienie przez ciebie kobiety, by mnie uwiodła? Jakie by to było piękne posłowie do opowieści, której ostatni odcinek ukazał się kilka dni temu. Jak potem będzie wyglądała twoja pozycja w towarzystwie...

- To... - zająknął się Weston i zniżył głos. - Niczego nie możesz udowodnić.

A po chwili:

- Nawet nie wiem, o czym mówisz - dodał poniewczasie.

- Ależ mógłbym to łatwo udowodnić - odpowiedział Mark. Nie taki miał jednak plan. Nie miał zamiaru zwracać na Jessicę takiej uwagi. Wyświadczyłby jej niedźwiedzią przysługę, gdyby powszechnie zaczęła się koiarzyć z Westonem.

- Co by ci zostało, gdyby opinia publiczna poznała prawdę? Wszyscy zobaczyliby, jakim jesteś tchórzem. Dla swoich niecznych zamiarów najmujesz kobietę, a na koniec nawet się z tej umowy nie wywiązujesz?

Weston zrobił krok w jego stronę i zacisnął pięści.

- Nie jestem tchórzem. Nie chcesz ze mną zadzierać. Ostrzegam cię, sir Marku.

- Przeciwnie - odrzekł Mark i uśmiechnął się pobłaźliwie. - Jestem przekonany, że cały się trzęsiesz. Nie tak łatwo udawać władczy, kiedy jest się twojego wzrostu.

Pozorny spokój Marka był zaledwie cienką barierą, jaka dzieliła Westona od kipiącej w nim furii. Nie mógł się doczekać, kiedy poniesie go temperament. Zdawało mu się, że wszystko następuje przeraźliwie wolno. Mark mógłby łatwo uniknąć ciosu, wystarczyło mu zrobić jeden krok wstecz. Pięść Westona wędrowała też przedziwnie powoli.

Gdyby jednak się cofnął, wszyscy w Hyde Parku nie mogliby zaświadczyć, że Weston zaatakował jako pierwszy. Za czerwoną zasłoną wściekłości Mark ledwo poczuł uderzenie. Jego głowa odskoczyła, a siła ciosu rzuciła go na ziemię. Wokół rozległy się okrzyki, ludzie poczęli się zbiegać.

Mark podniósł się lekko.

- Regularnie boksuję - rzucił Weston, przyjmując postawę. - I dużo strzelam. Chcesz repetę? Mówiłem, żebyś ze mną nie zaczynał.

- Ja w ogóle nie boksuję - odparł Mark, stojąc swobodnie na szeroko rozstawionych nogach, podczas gdy Weston podskakiwał jak piłeczka. - Nie chciałem z tobą zaczynać. Ale miałem nadzieję, że będę mógł z tobą skończyć.

Mark nie potrzebował uczyć się boksu, szczególnie przy niedawno zmienionych zasadach, które miały zapewnić kulturę na ringu. Ale jako dziecko przeżył na ulicach Bristolu. Miał za sobą znacznie bardziej surowy trening.

Kiedy Weston wyprowadził drugie uderzenie, Mark zszedł płynnie z linii ciosu, chwycił nadgarstek Westona i korzystając z jego pędu, rzucił nim o ziemię.

Weston stęknął boleśnie, gdy jego płuca obity się o żebra. Mark oparł się leniwie o pień drzewa i zaczął czekać.

- Podciąłeś mnie - oskarżył go zaskoczony Weston. - Ale nie uda ci się mnie pokonać w zapasach.

Mark nie musiał długo na niego czekać. Uśmiechnął się, a Weston całkiem stracił nad

sobą panowanie. Z wrzaskiem rzucił się na Marka, ale ten nie miał zamiaru się z nim mocować. Znowu zszedł mu z drogi i złapał jego ramię. Weston rzeczywiście był silny. Całą siłę włożył w unieruchomienie pochwyconej ręki, więc kiedy Mark okręcił go wokół siebie i puścił, mógł tylko popatrzeć zadziwiony przez ramię na oddalającego się nieprzyjaciela. W ostatniej chwili zdążył zasłonić twarz dłońmi, kiedy na jego drodze wyrósł potężny pień.

Wokoło podnosiły się coraz głośniejsze okrzyki.

Oddech Marka nawet nie przyspieszył.

Weston odwrócił się, stając niepewnie na nogach. Podniósł rękę do ust, wypluł ząb i przez chwilę patrzył na niego z niedowierzaniem.

- Ty kanalio! - wydyszał i raz jeszcze ruszył do przodu. Tym razem zachował ostrożność i dystans, ale zaraz nie wytrzymał i rzucił się na Marka, który zszedł mu z drogi i przyłożył łokciem w kark, na dokładkę przytrzymał padającego za rękę i wygiął ją pod nienaturalnym kątem. Prawie czuł pod palcami, jak wyłamuje się staw barkowy.

Musiał co prawda przyznać Westonowi, że zniósł to po męsku. Nie krzyknął, tylko grymas

na jego twarzy zdradzał ból.

- Pokój - szepnął. - Pokój. Nie wiedziałem...

Cofnął się i oparł o drzewo.

Mark podszedł bliżej.

- Doprawdy, sir Marku. - Weston mówił tak cicho, że Mark go ledwo słyszał. - Poddaję się.

Jak przez mgłę Mark pamiętał ostatni raz, kiedy wpadł w taki szal. Studiował w Eton i walczył z bandą uliczników. Chociaż błagali o litość, nie przestał ich łąć. Przez wiele lat czuł się winny na myśl o takich chwilach. Bał się, że napady furii są dowodem, że niewiele mu brakuje do matczynego szaleństwa.

Teraz, gdy Weston się przed nim kajał, zrozumiał jedno. Po tym, jak wygarbował tamtym łobuzom skóry, bali się dręczyć innych. Było mu wstyd, ale nie miał racji. Słuszny gniew miał swoje miejsce w życiu i czasami, żeby naprawić pewne krzywdy, trzeba stawić czoło prześladowcom. Tym razem nie zamknął wściekłości za szklanym murem, tylko zbliżył się jeszcze do Westona.

- Chyba się nie zrozumieliśmy - rzekł groźnie. - Wiem, co zrobiłeś Jessie Farleigh.

- Co jej... zrobiłem? Wynająłem ją, żeby się do ciebie dobrała. Ta suka... zabrała moje pieniądze, a ja...

Mark złapał go za włosy i wykręcił z całej

siły. Weston zasyczał z bólu.

- Mówię o herbacie - wycodził Mark.

- Och! - Weston próbował się wyrwać, ale tylko bardziej się skrzywił. - Jak rany, ona ciągle o tym? Oszczędziłem jej bólu podjęcia tej samej decyzji samodzielnie!

- Okradłeś ją z tej decyzji. Prawie ją zabiłeś!

- To był wypadek!

Mark pozwolił, by znowu opanował go gniew. Trzymając Westona za włosy, huknął jego głową o pień.

- Au! - jęknął Weston. - Możesz sobie być komisarzem, tylko mnie już nie bij.

Na litość też była właściwa pora. Mark uznał, że jeszcze nie nadeszła.

- Jesteś żaloszny - podsumował go i po raz ostatni uderzył jego głową o drzewo. Kolana ugięły się pod Westonem, a przez zbiegowisko gapiów przeszły stłumione okrzyki. Gdy Mark puścił jego włosy, Weston bezwładnie osunął się na ziemię. Mark długo wpatrywał się w zwiotczone ciało u swych stóp. Słyszał tylko szum krwi w uszach, ledwo czuł chłodny powiew wieczoru. Wreszcie przykucnął i zbadał puls leżącego. Był mocny i spokojny.

Mark wiedział już, że nie oszalał. Nie stracił panowania nad gniewem, lecz go wykorzystał. Był z siebie całkiem zadowolony.

- Niechże ktoś wezwie lekarza - rzucił przez ramię. - Jest cały, tylko jak się ocknie, głowa go będzie cholernie bolała.

Podniósł się i odszedł spokojnym krokiem. Odprowadzał go pomruk gawiedzi.

- To był sir Mark - ktoś rzucił.

- Weston sobie musiał porządnie nagrabić - odparł kto inny - że sir Mark go tak poturbował. To taki dobry i ciepły człowiek, ten sir Mark.

- No to co zrobił?

- Na pewno coś paskudnego - dorzucił kolejny głos. - Widziałem też, że pierwszy uderzył sir Marka. Bez powodu. No to chyba ma nierówno pod sufitem?

Łatwo było zniszczyć komuś reputację. Mark wyczuwał w tym przewrotną sprawiedliwość. Strzepnął rękę, która dopiero teraz zaczynała go boleć, i skierował się do następnego punktu marszruty.

- Zgadnij, co mam.

Mark stanął późnym wieczorem we drzwiach Jessiki. Miał na sobie znoszony kapelusz z szerokim rondem, które osłaniało jego twarz. Ale z tak bliska, nawet w mroku, Jessica dojrzała siniak na jego policzku.

Wpuściła go do środka. Zamknął za sobą

drzwi.

- Zapomniałeś - odparła ponuro - że wszystko już jest w gazetach.

Uniosła dowód oskarżenia z nagłówkiem: „Sir Mark: walczy z Westonem, zdobywa nadzwyczajne pozwolenie”.

- Ciesz się - dodała - że Parret nie spekuluje na temat natury pozwolenia, a mógłby.

Mark ściągnął kapelusz i uśmiechnął się do Jessiki łobuzersko.

- No to zgadywanie mamy z głowy.

- A nie za wcześnie aby nabyłeś tego pozwolenia?

- Zawsze jestem punktualny.

Zrzucił płaszcz i powiesił na haku.

Dawno temu Jessica marzyła o małym wiejskim domku i spokojnym życiu w towarzystwie Amalie. Ale, zastanawiała się, czy nie brakowało jej wtedy odwagi, żeby chcieć więcej. Wcześniej nadzieja była tylko źródłem bólu. Teraz już nie mogła się z nią rozstać, prawie wierzyła w przyszłość z Markiem. I to nie tylko z nim, ale z całą rodziną.

Kiedy odczytywała nagłówki przez plac, jej myśli pobiegły do sióstr. Teraz, jako żona sir Marka, mogła nawet liczyć, że znowu je ujrzy. Skoro wszyscy wierzyli, że nie żyje, spotkanie

musiałoby się pewnie odbyć w tajemnicy. Dla nich jednak nie musiała chyba pozostać martwa.

Kiedy sobie uświadomiła, co robi, Jessica natychmiast zdławiła te myśli. W ten sposób unikała rozczarowania. Nadzieja bolała.

Domyślała się, że śliwa na policzku Marka też musiała go boleć. Zanurzyła chustkę w zimnej wodzie i zrobiła mu okład.

- Ach! - westchnął. - Bardzo przyjemne.

Do wody dorzuciła ziół i ich słodki aromat wypełnił powietrze. Atmosfera przypominała sen, Jessica miała wrażenie, że są w wiejskiej chacie, a nie w domu w brudnym Londynie. Położyła ręce na ramionach Marka i zaczęła masować.

- Czy Weston wrzeszczał? - zapytała. - Korzył się przed tobą?

- Istotnie.

- Jaka przyjemna satysfakcja.

Prychnął przez materiał.

- Wiesz, że tak? Żałuję, że nie mogło cię przy tym być.

- A artykuł w gazecie był naprawdę uroczy. - Westchnęła znowu. - Chciałabym...

- Tak?

Dotknął ciepłymi palcami jej dłoni, chłodnych od kompresu.

- To, co zrobiłeś, było naprawdę wspaniałe. Nie przypuszczałam, że przyjdzie mu zapłacić za to, co zrobił.

Mark domyślił się, że za jej słowami kryje się niedopowiedziane zastrzeżenie. Nie poczuła się dzięki temu lepiej. Żadne lanie nie mogło jej zwrócić tego, co straciła. Myślała o Westonie z obrzydzeniem, jakby był robakiem, który się kryje przed światłem. Nie czuła się lepiej - tylko on czuł się gorzej.

Mogła się z tego cieszyć, ale była to radość doprawiona goryczą.

- Ukochana - rzekł Mark, odkrywając jedno oko. - Wyjdiesz za mnie, prawda?

Znowu wezbrała w niej nadzieja. Ręce jej drżały.

- Nawet jeśli Weston zniknie i zamilknie, ktoś inny może mnie rozpoznać - odparła z żalem. - A w gazecie napisali, że jesteś najpewniejszym kandydatem na komisarza. Cały czas będziesz pod baczłą obserwacją. Może nawet bardziej niż teraz, choć trudno to sobie wyobrazić. Prędzej czy później prawda wyjdzie na jaw. Zostaniesz upokorzony.

- Nie znasz mojego starszego brata, księcia Parford. - Mark się uśmiechnął. - Już on o to zadba, żeby nam włos z głowy nie spadł.

- Nawet księżę nie zatrzyma plotek.

- Przestań się zamartwiać.

Jego głos brzmiał niefrasobliwie, ale Jessica widziała, że zadrgała mu powieka i skulił nieco dłoń, jakby przelotnie pomyślał o zaciśnięciu pięści.

- Będziesz komisarzem. A nawet tego nie chcesz.

- Cóż - odparł niezobowiązująco, ale nie zaprzeczył. - Ale pragnę ciebie.

Jessica wiedziała, jak łatwo zmieniają się niektóre pragnienia. Z początku mężczyźni byli zawsze gotowi dawać jej wszystko. Ale kiedy zaspokojone pragnienia stawały się codziennością, stopniowo coraz łatwiej było jej odmawiać.

Trudno jej było zaakceptować szacunek Marka. Ale wiedziała, że nie przeżyłaby jego niechęci.

Wyciągnęła do niego rękę. Nie wierzyła w nadzieję. Wierzyła w teraźniejszość.

- Pójdiesz ze mną do łóżka? - zapytała. Jego pytanie nadal pozostało bez odpowiedzi. Wziął jej dłoń ciepłą, pewną ręką.

- Tak - powiedział zachrypłym nagle głosem.
- Pójdę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kiedy Jessica się obudziła, Mark spał jeszcze przy niej. W świetle bladego poranka wyglądał niewinnie i bardzo młodo. Prawie obawiała się go dotknąć, żeby nie rozproszyć czaru, który go przywiódł.

Czuła się jak w dzieciństwie, kiedy otworzyła oczy w gwiazdkowy poranek. Towarzyszyło jej to samo uczucie odświeżającego oczekiwania, że zdarzy się coś cudownego, jeśli tylko wybiegnie dniu naprzeciw. Ale z Markiem mogła być tak blisko tylko w łóżku. Choć rozmawiał z nią wczoraj w szlachetnym uniesieniu, była pewna, że tak naprawdę zdaje sobie sprawę, że nie pasuje do jego życia. Nawet on nie pasował do jej życia. Został nobilitowany jako nadworny moralista jej królewskiej mości, był pupilkiem Londynu. Nazywał się sir Mark – a ona była tą, której się udało jako pierwszej go uwieść.

Jej niewinność już dawno umarła – niemal dosłownie. Wciąż mogła zamknąć oczy i zobaczyć nekrolog, który ojciec zamieścił w gazecie. Nie wierzyła, że jest Ginewrą, a on Lancelotem. Była kurtyzana. Żaden rycerz,

choćby nie wiadomo jak biegły w sztuce wojennej, nie miał szans w walce z tyłoma wiatrakami.

Położyła dłoń na jego ciepłym i szorstkim policzku. Jak mogłaby go odprawić? I czy rzeczywiście dał jej pięć tysięcy funtów?

W tym momencie Mark otworzył oczy, zamrugał dwa razy i popatrzył na nią.

- Nie ma nic do jedzenia - poinformowała go ponuro.

- Nie szkodzi. - Usiadł, rozcierając oczy. Jessica była przekonana, że teraz wróca mu zdrowe zmysły i zmieni co do niej zdanie.

- Dzień dobry - rzekł i nachylił się do jej ust. Na chwilę uwierzyła w obietnicę tego pocałunku. Uwierzyła, że będzie się z nim budziła przez tysiąc, przez dziesięć tysięcy poranków.

Odsunęła się od niego. Łatwo było jej go kochać, kiedy się zdawał poza jej zasięgiem. Ale teraz już nie wiedziała, co myśleć. Wiedziała tylko, że dotąd traciła wszystko, co było jej drogie.

- Trzeba się było lepiej zaopiekować twoimi ubraniami - mruknęła. - Leżą porozwalane po podłodze. Pewnie są całe wymięte.

- Wieczorem rozwieszę je przy ogniu. Jak już zaśniesz.

Rzuciła mu złowrogie spojrzenie. Był czasem dla niej zbyt dobry.

- Na pewno zostaną jakieś zagniecenia, ale nic gorszego. Pomożesz mi zawiązać fular?

- Pewnie, z całej siły - odburknęła.

Wzruszył ramionami, otrząsając się z jej ponurego nastroju.

- Przestań się zadreć. Chodź, zjemy razem śniadanie.

- Mówiłam ci przecież...

- Nie tutaj.

- Chcesz ze mną jeść śniadanie wśród ludzi? Oszalałeś!

Na te słowa oczy rozbłysły mu przekornie. Jessica chciałaby cofnąć swój okrzyk.

Mark jednak odezwał się całkiem spokojnie.

- Chcę z tobą przeżyć całe życie „wśród ludzi”. Pamiętaj o tym, proszę.

Dla niej jednak nawet śniadanie wydawało się niemożliwe. Wyobraziła sobie, jak sir Mark wchodzi do pubu i zamawia herbatę i przekąski. Tu w Londynie w parę chwil otoczyłby go tłum. Wymięte ubranie i jej niegodne towarzystwo szybko odebrałoby mu dobrą reputację. A potem jego sympatia do niej łatwo mogłaby się odwrócić.

- Ale myślałem o miejscu raczej prywatnym.

- Ale służba...

- ...przyzna, że moja wybranka jest piękna i czarująca - dokończył za nią. - Nie zapomniałaś jeszcze, jak to się robi, prawda?

Jessica wzdrygnęła się i zasłoniła oczy ręką. Zrobiło się jej wstyd za to, jak go potraktowała z samego rana, i to tylko dlatego że nie chciał jej opuścić. On już czuł się jej mężem, a ją było stać tylko na wątpliwości i rozpacz.

- Masz rację - przyznała. - Na pewno poczuję się lepiej po śniadaniu.

Uznała, że nie powinna go dręczyć za niepopelnione wciąż grzechy.

- Pomożesz mi się ubrać? - zaproponowała. - Potem ja pomogę tobie.

Ubierała się niezmiernie długo, po części z powodu wątpliwej pomocy z jego strony. Zaledwie zdążyła nałożyć koszulę, a już Mark wygładzał materiał na biodrach. A zamiast mocniej zawiązać gorset, przycisnął ją mocno do siebie i całował w kark, wędrując po niej dłońmi. Odwróciła się do niego twarzą, żeby mu surowo nakazać panowanie nad sobą, ale wykorzystał okazję i zamknął jej usta czułym pocałunkiem.

Całował ją delikatnie, potęgując odczucie ulotności chwili. Jessica miała wrażenie, że przyszłość już nastaje na ich szczęście. Mark zdawał się jednak tego nie dostrzegać.

Przycisnął ją całym ciałem do ściany i tym razem oszczędził na czułości. Całował ją porwany gorączką, mocno i szybko.

- Podnieś mnie - szepnęła, kładąc sobie jego dłonie na biodrach.

Jego szaleńcza miłość odbierała moc wszystkim wątpliwościom. Jessicę porwała potęga pasji, każdy pocałunek był bardziej rzeczywisty od całego jej lęku.

Oboje osiągnęli szczyt, połączeni w ekstazie. Po chwili, wśród gęstych, głębokich oddechów, Mark pocałował ją raz jeszcze.

Był pierwszym mężczyzną, który to zrobił. Dotąd każdy jej mężczyzna, gdy zaspokoił swoje cielesne pragnienia, zapominał o niej. Jessica z wolna zdobywała siłę, by stawić czoło swojemu strachowi. Otworzyła oczy i napotkała jego wzrok. Patrzył na nią już od kilku chwil.

- Marku - szepnęła.

- Tak?

- Dzień dobry - powiedziała i uśmiechnęła się do niego.

Dopiero teraz udało im się ubrać. Jessica znalazła dla Marka znoszoną pelerynę, żeby mógł się okryć przed deszczem i ukryć przed ciekawskimi. Gdy nałożył jeszcze swój wielki kapelusz, nikt nawet na niego nie spojrział.

Mark zamienił słowo ze stangretem i powóz zabrał ich w chybotliwą podróż. Przez dziesięć minut Jessica się nawet słowem nie odezwała; złożyła głowę na jego ramieniu i razem wyglądali na drogę przez okienko. Wreszcie popatrzyła na niego.

- Dokąd jedziemy? Byłam przekonana, że wybrałeś dla nas niewielki hotel nieopodal.

Mark pogłaskał ją po wierzchu dłoni.

- Musisz się uzbroić w trochę cierpliwości. Nie jedziemy do żadnego hotelu.

- To może powinienesz być się zdać na mnie? Znam się na anonimowości chyba nawet lepiej od ciebie.

Położył palec na jej ustach.

- Nie mówiłem, że chcę, żebyśmy byli anonimowi. Zależało mi na miejscu prywatnym.

- A jest jakaś różnica?

Powóz podskoczył na wyboju.

- Tak. Ani przez chwilę nie chciałem cię ukrywać - odparł. - Nie jesteś żadnym moim wstydlwym sekretem.

Jessica poczuła się odrobinę niepewnie.

- Co to za pomysły? Dokąd mnie wieszysz?

Przez okno powozu widziała tylko mijane budynki, nie była pewna, gdzie jest.

- Jedziemy do Mayfair.

- Do Mayfair?

Spojrzał na nią dość niespokojnie.

- W odwiedziny do mojego brata - wyznał niepewnie.

Jessica zerwała się na równe nogi, huknęła głową w dach powozu i przy okazji przygryzła sobie język. Ale ból jej nie otrzeźwił, tylko spotęgował narastające przerażenie.

- Do bjata! - Spuchnięty język nie działał, jak należy. - Nie mówisz powanie!

- Przeciwnie - odparł z krystaliczną dykcją. Skłonił ją, żeby wróciła na siedzenie. Pogładził ją po głowie i znalazł rosnący guz. Rozmasował go delikatnie, łagodząc uraz.

- Przestań. - Wyrwała mu się. - Psujesz mi fryzurę. Nie jestem ubrana na spotkanie z księciem.

W jej głosie zabrzmiały pierwsze dźwięki paniki.

- On mnie wyrzuci na ulicę, jak tylko mnie zobaczy! Oszalałeś, że prowadzisz kurtyzanę do księcia Parford?

Mark pokręcił głową.

- Mylisz się. Idę przedstawić bratu przyszłą żonę. A że akurat jest księciem? Ash... wierz mi, że nie dba o takie rzeczy. Nikogo nigdy znikąd nie wyrzuci tylko dlatego, że nie pasuje do jakiegoś wizerunku. Wierz mi, Ash

z radością cię przyjmie.

- Marku - odparła błagalnie - ja jestem kurtyzana. Nie należę do twojego świata. Zniszczę twoją reputację.

- Wiesz, jak dużo bym zyskał, gdybym stracił reputację? Żadnych reporterów czyhających na moje potknięcia. Nikt nie grzebałby w moich odpadkach...

Westchnął i oparł się z rękami za głową, rozmarzony.

- Prawdziwy raj. Chciałabyś zamieszkać na wsi?

Kiedyś też tego pragnęła. Ale teraz nie była już sama i wiejski domek nie byłby już miejscem leczenia bolesnych wspomnień, tylko budowania nowego życia. Byłaby otoczoną sympatią i szacunkiem lady Turner. Siła wyobraźni prawie rzuciła ją na kolana.

- Kochasz mnie? - zapytał zwyczajnie. - Tak powiedziałaś.

Jessica popatrzyła na niego wytrącona z toku myśli, niepewna, co odpowiedzieć.

- Tak myślałem. - Uśmiechnął się do niej szeroko. - Rozumiem, że się denerwujesz, ale poczekaj, aż poznasz moich braci. Pokochają cię.

- Uch! - odrzekła.

- Nie martw się.

- To najbardziej bezwartościowe słowa, jakie można od mężczyzny usłyszeć. Nie martw się! Nie przestanę tylko dlatego, że ktoś uważa to za niepotrzebne.

Wypuścił głośno powietrze.

- No to się martw, skoro masz na to melodię.

Nic to nie dało. Jessica była nadal przestraszona, tym bardziej że koła powozu zachrzęściły na żwirze i przestały się obracać. W następnej chwili lokaj w liberii otworzył drzwiczki. Mark wysiadł pierwszy i podał jej rękę. Znalazła się przed drzwiami rezydencji z wapienia. Wziął ją pod ramię i wprowadził przez w porę otwarte przez służbę drzwi.

- Sir Marku - powitał go kamerdyner. Najwyraźniej nie zwrócił wcale uwagi na wygnieciony strój. Mimo to Jessica zobaczyła jak żywy nagłówek popołudniowej gazety: *Sir Mark: Zwrot ku rozpuście?*

- Czy zastaliśmy Asha przy śniadaniu? - zapytał Mark. - Jest Smite?

- Nie, proszę pana, i tak, pan Smite Turner właśnie spożywa śniadanie. - Kamerdyner zamilkł, kontemplując swoje słowa. - Pan Smite Turner poinformował mnie, że ostatnie dwie doby gościł pan u niego i że pan może być nie w formie.

Jessica uznała, że kamerdyner dał w ten

sposób do zrozumienia, że bracia Marka zajęli się już dementowaniem ewentualnych pogłosek.

- Rozumiem - odrzekł Mark. - Czy Ash jest w gabinecie?

- Tak, proszę pana.

- Pewnie jest zajęty. Przekaż mu, proszę, żeby zajrzał do niebieskiego salonu, jak znajdzie chwilę.

- Tak, proszę pana.

- To... - Mark zamilkł i spojrzał na Jessicę z ukosa.

Jaka niezręczność, pomyślała. Pewnie zapomniał, jak się naprawdę nazywam.

- To - powtórzył - jest moja narzeczona. Przekaż Ashowi, że przyszliśmy.

Kamerdyner popatrzył na nią w milczeniu, najwyraźniej oczekując, że się przedstawi. Kiedy to nie nastąpiło, skinął głową.

- Oczywiście - powiedział.

- A! - zatrzymał się jeszcze Mark. - I każ nam podać herbatę.

Zaprowadził Jessicę do pokoju na prawo.

Jessica była przekonana, że Mark pochodzi z bogatej rodziny. W końcu bez mrugnięcia przekazał jej pięć tysięcy funtów szterlingów. Dopiero jednak w tej chwili zrozumiała, jaką fortuną dysponują. Miała wrażenie, że

przechadza się po królewskim pałacu. Błękitne aksamitne poduszki wyściełały krzesła z palisandru. Jedną ze ścian ozdobił arras, na stole stał globus, gdzie bursztyny, turkusy i lapis-lazuli wyobrażały państwa.

A jej nazwiska nie warto było wymieniać. Położyła palec na Afryce i zakręciła globusem. Mark podszedł do niej.

- Nie przedstawiłem cię, jak należy - rzekł cicho.

- Zauważyłam. - Kontynenty umykały pod jej spojrzeniem.

- Uznałem, że dopóki nie porozmawiamy z Ashem i nie ustalimy najważniejszego postępowania, najlepiej będzie z tym poczekać. - Wyciągnął rękę i zatrzymał obrót ziemi. - Kiedy już powiemy służbie, kim jesteś, nie będzie odwrotu.

- Oczywiście - zgodziła się, choć nie poczuła się przez to bardziej na miejscu. Ten pokój był przeznaczony dla kogoś innego - dla ludzi bogatych i darzonych szacunkiem. Nawet kryształowe kinkiety rzucały tęcze na ściany.

Ich uszu dobiegły z hallu ciężkie i szybkie kroki.

- Szybko poszło. - Mark odwrócił się do wejścia.

Drzwi rozwarły się energicznie.

- Marku - zawołał mężczyzna od progu - coś ty sobie, na Boga, myślał?

Trzema krokami przesadził pokój i objął Marka w gniewnym, wydawałoby się, uścisku.

- Ty idioto - podjął przybyły. - Przez tydzień się nad sobą rozczulasz, a potem znikasz nagle bez słowa na dwa dni? Wiem tylko tyle, co Margaret wyczytała w gazetach. Przyszło ci do zakutego łba, jak się martwiłem?

- Przestań gderać, Ash. Jestem dorosły. Mówiłem ci, gdzie się wybieram. - Mark cofnął się o krok i Jessica pierwszy raz przyjrzała się jego bratu. Byli do siebie kompletnie niepodobni. Książę Parford miał mocniejszą budowę i słuszniejszy wzrost od Marka; co przystało raczej robotnikowi niż parowi i człowiekowi interesu. Miał ciemnobrązowe włosy i ogorzałą cerę.

- Że niby gderam - gderał Ash. Zmierzył Markowi czuprynę. Jessicę zalały wspomnienia. Kiedyś też należała do rodziny. Jeszcze bardziej ją zabolalo, kiedy Parford popatrzył na nią z nową nieufnością w oczach. Ledwie zauważalnie, a jednak odczuła to, jakby zatrasnął jej drzwi przed nosem.

- Dużo się u nas ostatnio o tobie mówi - rzekł książę.

Mark też się do niej odwrócił.

- Ash, pozwól, że ci przedstawię Jessicę Farleigh.

Księżę przyjrzał się jej i powoli wyciągnął prawicę. Jessica mrugnęła dwa razy i uścisnęła jego rękę.

- Dobrze więc. Musimy was chyba wybronić od szubienicy w sądzie opinii publicznej.

- Chyba musimy - zgodziła się odważnie Jessica.

Skinął przyjaźnie, ale zaraz dodał ciszej:

- Jeśli skrzywdzisz mojego brata, sam cię własnoręcznie powieszę.

Z jakiejś przyczyny groźba znacznie pomogła jej poczuć się swobodnie.

Księżę cofnął się o krok i skinął na Marka.

- Chodź, musimy zamienić słowo w gabinecie.

- Nie próbuj dystansować Jessiki. Jej to dotyczy tak samo...

- Odsuść, Marku. - Ash przewrócił oczami. - Wczoraj wróciła Margaret, nie słuchałeś mnie? Chce porozmawiać z Jessicą. Chodzi o jakieś babskie sprawy. Mamy się wynieść i zostawić je same.

- Skoro tak... - Mark się rozchmurzył. - Polubisz Margaret. A ona ciebie. Jestem jej ulubionym szwagrem.

Jessica miała wrażenie, że księżne nie za

bardzo lubią kobiety, które czyhają na cześć ich szwagrow, a już szczególnie ulubionych.

- Od razu mi lżej - odparła z przekąsem.

Ale Mark był już prawie za drzwiami.

Po jego wyjściu salon wydał się jej bardziej ponury i mniejszy. Kiedy się poznali, Mark mieszkał w odosobnionym wiejskim domu całkiem sam, a kilkoro służby odwiedzało go tylko czasami. Wtedy miała wrażenie, że jest zaledwie niebogatym ziemianinem, żyjącym za marne kilkaset funtów rocznie. A nawet wtedy dystans między nimi wydawał się jej ogromny.

A teraz przyglądała się kandelabrom z rżniętego kryształu. Ciemne drewno boazerii odcinało się od złota, beżu i purpury. Uniosła wzrok i popatrzyła na sufit obrębiony wykwintną sztukaterią jak błękitnozłotym krajobrazem. Czuła się jak w królewskich komnatach ubrana w worek. Wyciągnęła palec, żeby dotknąć nieprawdopodobnie delikatnej wazy, aby się tylko przekonać, czy to możliwe. Wydawała się jej z innego świata, podobnie jak cała reszta wystroju.

Naraz usłyszała za sobą kroki i obróciła się w jednej chwili, splatając ręce za plecami. Czuła się jak złodziejka przyłapana na wypychaniu kieszeni klejnotami.

Ale to nie księżna Parford zajrzała do salonu,

o ile książkę nie był jeszcze bardziej liberalny od Marka.

- Panno Farleigh - rzekł mężczyzna, szczuplejszy i wyższy od Marka. Był ubrany na granatowo i miał krucze włosy i niebieskie oczy. Jego twarz zdradzała pewne podobieństwo do Marka - ale nie miał jego czystości wejrzenia.

- Pan musi być Sm... panem Turnerem - poprawiła się.

- Słyszę, że mój brat wyjawiał pani moje odpychające imię. - Nie uśmiechnął się wcale, a Jessica poczuła się niezręcznie. Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie nawzajem jak obce kocury, niepewne, co ze spotkania wyniknie. Jessica bała się, że jak odwróci wzrok, to ten drugi rzuci się drzeć z niej pasy.

- Nie gryzę - wyznał w końcu i podszedł bliżej.

- Pan jest sędzią pokoju, prawda?

Usiadł przy niej.

- Nieczyste sumienie? Bez obaw. Moja jurysdykcja nie rozciąga się na Londyn.

Jessica odwróciła przestraszona wzrok.

- To miał być żart - rzekł tytułem wyjaśnienia. - Chyba źle to rozegrałem.

Podrapał się po karku.

- Witam w rodzinie - rzekł po chwili

namysłu.

Jessica podejrzewała zasadzkę.

- Chyba pan nie chce mieć ze mną cokolwiek wspólnego?

- Czy Mark w ogóle pani o mnie mówił? - Smite wzruszył ramionami. - Mieszkam sam w Bristolu i doprowadzam miejscowe szlachciury do szału, bo czasem zwolnię jakiegoś szubrawca tylko dlatego, że jest w moim przekonaniu niewinny zarzucanej mu zbrodni.

- Och.

- Wołają mnie: Panie Sądzie - dodał. - Zwykle bym się oburzał, ale to i tak dużo lepsze od Smite'a.

- Zatem pan na równi z Markiem wsławił się w towarzystwie.

- To prości ludzie tak mnie nazywają.

Ciągle się nie uśmiechał, ale Jessica dostrzegła podejrzany błysk w oku.

- A szlachta?

- Wasza miłość - odparł, poprawiając się w krześle, po czym puścił do niej oko. - To oczywiście prosto w twarz. Za plecami tymczasem...

Roześmiała się, a on wreszcie się do niej uśmiechnął.

- Tylko to ma znaczenie - oznajmił

uroczyście. – Niech sobie za plecami gadają, co chcą. Najważniejsze to być na tyle silnym, żeby nie potrafili ci tego cisnąć w twarz.

Jessica odetchnęła głębiej.

– Co zatem powinnam zrobić, Panie Sądzie? – zapytała nieśmiało.

– Dla pani dobra lepiej, żeby wyszła pani za mojego brata.

– Chyba pan nie mówi poważnie! A skandal...?

– Będzie wielki – odparł spokojnie. – Ale nie doprowadzi go do żadnej ruiny. Mógłbym wymieniać zalety mojego brata, ale jeśli ich pani nie zna, to nie zasługuje pani na niego. Wydaje się pani osobą inteligentną, ale jak dotąd pani decyzje świadczą o charakterze godnym jaszczurki.

– Jaszczurki!

– Proszę mnie źle nie zrozumieć. Jaszczurki nie są głupie. Ale na pierwszą oznakę niebezpieczeństwa zawijają się i dają drapaka.

– To takie zabawne – odparła. – Mark powiedział mi kiedyś, że przypominam mu pana!

– Doprawdy? – Popatrzył na nią z krzywym uśmiechem. – To chyba nie najlepiej świadczy o nas obojgu.

– Pan wcale nie jest okrutnym, surowym

sędzią, o jakim mi mówiono - rzekła Jessica, grożąc mu palcem. - Oszukano mnie!

- Powiem to tylko jeden raz - rzekł bardzo cicho - inaczej nie zrozumiesz, bo Mark zdaje się tego nie dostrzegać. Bardzo chcemy cię polubić. Gdybym to ja miał odpychającą żonę, nie zrobiłoby to większej różnicy. Ale Mark... Gdyby jego żona mnie nie znosiła, toby była katorga dla nas wszystkich. Widzisz, to on nas trzyma ze sobą tak blisko.

Popatrzył jej w oczy i odwrócił wzrok. Jessica nie wiedziała, co na to rzec, ale doskonale go rozumiała. Przypomniała sobie, jak jej kiedyś z uśmiechem powiedział, że lubi siebie. Teraz nie widziała w tym już nic dziwnego. Wszyscy wokoło też go lubili.

- Poza tym - dodał nieco głośniej - to mnie uczynił powiernikiem twojego funduszu. A jak miałbym pełnić rolę powiernika, jeśli ci było trudno mi zawierzyć? To taki plan, żebyś poczuła się trochę bezpieczniej.

- Skoro już o tym mowa... - odrzekła Jessica, ale usłyszała szelest za plecami. Odwróciła głowę i podskoczyła na równe nogi z dźwiękiem, który niestety najbardziej przypominał głos myszy.

- Nie chciałam cię przestraszyć - uspokoiła ją kobieta, stojąca w drzwiach. Ubrana była

w ciemnozieloną jedwabną suknię z siecią czarnej koronki. Jej włosy opadały łagodnymi falami. Obserwowała Jessicę dużymi, żywymi oczami.

- Margaret. Pani Farleigh - dokonał prezentacji Smite. - Zostawię was same, żebyście mogli swobodnie porozmawiać.

- Czy... - zaczęła Jessica i ugryzła się w język. Nie wiedziała, jak wyrazić swoją prośbę. Trudno jej było się na głos przyznać, że się boi innej kobiety.

- Nie będziesz nam przeszkadzał - zapewniła go księżna, wchodząc do salonu. Ale Smite pokręcił głową.

- Nie, moja droga - odparł. - Nie śmiałbym. I z tymi słowy wyszedł.

- Usiądź, proszę - zaproponowała księżna i poklepała krzesło tuż obok. Jessica usiadła najdalej, jak tylko mogła.

- Mów mi Margaret.

- Wasza miłość.

Księżna zmrużyła oczy.

- Ty musisz być Jessica. Mark pisał mi o tobie. Zjechałam do miasta, jak tylko się dowiedziałam o wypadkach w Shepton Mallet. Nigdy nie widziałam, żeby był tak poruszony.

- Bardzo mi przykro...

Księżna zbyła to ruchem ręki.

- Mój mąż doradziłby ci, żebyś nigdy nie przeproszała w dobrym towarzystwie. Od razu rzucają się do gardła.

Zamilkła. Jessica siedziała sztywno, z rękami na kolanach.

Akurat służący przyniósł herbatę.

- Z mlekiem? - zapytała księżna. - Z cukrem?

Księżna Parford była urodzoną damą. Od dziecka chłoneła kulturę osobistą i wyszła za mąż tak wysoko, jak to było możliwe. Jessica nie rozumiała, dlaczego traktuje ją tak uprzejmie.

- Nie, dziękuję. Nie pijam... herbaty.

- W takim razie proponuję kawę lub czekoladę. Na co tylko masz ochotę.

Jabłkowa brandy nie wchodziła już w rachubę. Jessica pokręciła głową, więc księżna poczęstowała się sama.

- Oczywiście przyszedłam tu z ukrytym motywem. Chciałam poznać kobietę, która tak zawróciła Markowi w głowie.

- A opowiadał, że byłam kurtyzaną?

- Przyznaję, że nie. - Odstawiła filiżankę. - W każdym razie nie wprost. Ash mi o tym powiedział. Ale przyznasz, że jeśli mam cię wszystkim przedstawić, będę potrzebowała znacznie lepszej legendy. Dlatego tu jestem.

Mark jest zbyt delikatny, żeby pytać, a Ashowi nawet by to nie przyszło do głowy. Więc... jak duże jest niebezpieczeństwo, że zostaniesz rozpoznana?

- Nie byłam bardzo sławną kurtyzaną...

Księżna odchrząknęła niecierpliwie.

- Wybacz, że jestem taka bezpośrednia w sprawie delikatnej i niezręcznej. Niestety muszę się dowiedzieć. Jeśli sypiałaś z połową mężczyzn w Londynie, po prostu to powiedz, a wyprawimy cię na wieś, nim prawda się rzeczy wyjdzie na jaw.

- O nie. - Jessica zacisnęła powieki. Mówiła ciszej. - Nie z połową. Nawet nie z ćwiertcią. Ani z choćby znaczącym ułamkiem. Miałyśmy z moją przyjaciółką Amalie pewną zasadę. Każdy mężczyzna to ryzyko...

Otworzyła oczy. Zamilkła w samą porę, nim przedstawiła księżnej Parford, jak należy sobie dobierać opiekuna.

- To nieistotne - podjęła właściwy wątek. - Już jeden to za dużo. I wielu o mnie słyszało, choć niewielu znało.

Księżna skinęła dostojnie głową.

- W takim razie będziecie mieli skromne, rodzinne wesele, a potem daleką podróż poślubną. A potem będziecie mogli zamieszkać na wsi i założyć rodzinę. Czy Jessica Farleigh

to twoje prawdziwe nazwisko czy wymóg profesji?

- Nazywam się Jessica Carlisle.

- Doskonale. Użyjemy na zapowiedziach twojego prawdziwego nazwiska, żeby nie wzbudziły podejrzeń.

Księżna uniosła filiżankę do ust.

- Jeśli wyjdę za Marka, wasza miłość, to obiecuję nie przeszkadzać. Prawie się nie będziemy widywały...

Margaret odstawiła herbatę.

- Nie będziemy się widywały? Moja droga, siedziba Parfordów jest na wsi. Chyba mnie źle zrozumiałaś. - Wzięła Jessicę za rękę. - Byłam zbyt obcesowa. Myślę o tobie jak o siostrze, odkąd Mark zapytał mnie w liście, czy wypada mu zabrać cię na przechadzkę. Nigdy nie miałam siostry, a żaden z moich szwagrów dotąd nie przedstawił mi swojej wybranki.

Jessica przycisnęła dłonie do serca. Nie przypuszczała, że kiedykolwiek będzie jeszcze mogła nazwać kogoś siostrą, odkąd Amalie odeszła.

- Nie mogłaś myśleć, że Mark zwiąże się z kimś o mojej reputacji.

- Nie - zgodziła się łatwo Margaret. - Ale zrozum, kim jest dla naszej rodziny Mark. To

dobry człowiek i bracia daliby się za niego pokroić. A to oznacza, że jesteśmy gotowi zrobić dla ciebie wszystko – dopóki go nie skrzywdzisz.

Minęło bardzo dużo czasu, odkąd ktokolwiek zrobił coś dla Jessiki.

– Od tego jesteśmy rodziną – dodała księżna.

Pierwszy raz od bardzo dawna Jessica zaczęła wierzyć. Może naprawdę miała szansę? Mogłaby wyjść za Marka i zostawić za sobą koszmar przeszłości. Jak na tak ulotne uczucie, tym razem nadzieja okazała się wyjątkowo uporczywa.

Jessica spojrzała w bok.

– Czy mogłabym się jednak napić herbaty? – zająknęła się.

– Ależ oczywiście – usłyszała odpowiedź. – Musimy zaplanować wasz ślub.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Mark zostawił Jessicę pod opieką Margaret. Jego narzeczona patrzyła za nim błagalnie, ale wciąż musiał czegoś dopilnować. Ten obowiązek odkładał już w swoim przekonaniu stanowczo zbyt długo, a przypominała mu o nim każda błękitna rozeta napotkana na ulicy. Wydarzenia w Shepton Mallet wykazały mu dobitnie, że popełniał błąd, unikając GKC. Odkąd całkiem zdyskredytował Westona, praktycznie został już wyznaczony na komisarza, choć nie była to przyjemna myśl. Jeśli miał podjąć te obowiązki, nie mógł się uchylać od odpowiedzialności.

Dlatego już wkrótce znalazł się w klubie Daniela dla młodych dżentelmenów, organizacji tak ekskluzywnej, że żadna tabliczka na drzwiach nie informowała o jego istnieniu. Kto nie wiedział, gdzie jest, nie spełniał wymogów członkostwa.

Mark nie był członkiem, ale pomimo to wszedł do środka. Odźwierny z błękitną opaską na ramieniu nawet nie zajrzał na listę i nie zatrzymał go lawiną wymówek. Kiedy

Mark powiedział, czego mu potrzeba, poważnie skinął głową.

Odźwierny wziął od Marka płaszcz i kapelusz i przekazał innemu. Przez szparę we drzwiach garderoby Mark dojrzał rzędy kapeluszy z błękitną kokardą. Wkraczał do samej jaskini zbójców.

W głębi, przy stołach, rozprawiali półgłosem liczni młodzi mężczyźni. Ponad połowa z nich miała na ramionach błękitne opaski. Nie rozlegały się wybuchy śmiechu ani wezwania do zakładów, jak w innych podobnych lokalach. Klub Danielsa miał znacznie poważniejszą reputację. Tutaj zbierali się przyszli przywódcy narodu, na których w przyszłości czekały miejsca w parlamencie i tytuły książęce.

Odźwierny zaprowadził go do osobnego pomieszczenia, w którym znajdował się samotny mężczyzna. Nazwisko Mark słyszał wielokrotnie, ale było to ich pierwsze osobiste spotkanie. Mężczyzna był nieomal w wieku Marka; aż dziw, że ich ścieżki nie przecięły się w Eton czy Oksfordzie. Mark zastanawiał się, gdzie w takim razie Jedidiah Pruwett odebrał wykształcenie.

Jego oczy kryły się za oprawkami okularów, miał rzadką brodę i krótko przycięte włosy.

Jedynym kolorowym akcentem jego ciemnego ubioru była błękitna opaska na ramieniu – wykrochmalona i gładko rozprasowana. Nie podniósł wzroku, kiedy Mark wszedł cicho do środka, przystawił sobie krzesło i usiadł obok. Pruwett czytał Biblię, poprawiał okulary na nosie i wydawał się całkowicie nieświadomy jego obecności.

Mark czekał. Pruwett przerzucił kartkę, podniósł wzrok – i upuścił księgę na stół, rozlewając szklankę bezbarwnego płynu.

– Sir! – zawołał i zerwał się z miejsca, prawie wywracając krzesło. Próbował jednocześnie chwycić oparcie i ratować Biblię przed zalaniem, ale zaplątał się w nogawki i z całym kramem wylądował na podłodze.

Mark podniósł Biblię i wyciągnął do niego rękę. Pruwett przyjął ramię z ciężkim westchnieniem.

– To takie deprymujące – wyznał, stając znowu na nogach. – Nigdy bym sobie nie wyobrażał, że tak pana powitam, sir. Zwykle nie jestem aż taki niezręczny, pod słowem honoru. To dlatego, że tak mnie pan zaskoczył.

Pruwett wciąż jeszcze nie wypuścił ręki Marka; potrząsał nią w górę i w dół jak szalony.

– Musi pan wiedzieć, jak bardzo go cenię.

Świeci pan dla mnie godnym przykładem. Zanim przeczytałem pana książkę... - Zarumienił się. - Byłem jak zgubiony. Założyłem GKC, żeby pomóc innym odnaleźć drogę tak, jak uczynił to pan ze mną.

Mark poczuł się trochę niezręcznie.

- Dziękuję - odparł.

Pruwett wysuplał z kieszeni chustkę i rozłożył na zalanym stole.

- Czym więcej mogę panu służyć?

Mark przybył tu prosić, żeby Pruwett raczej starał się mniej mu przysłużyć. Ale ten unikał jego wzroku. Podszedł do drzwi i wezwał służbę. Podczas gdy służący wycierał stół i podłogę, między nimi trwała cisza.

- Czy myśli pan o aktywniejszym zaangażowaniu w sprawy GKC? - Pruwett przygryzł wargę. - Będziemy zaszczyчени.

Mimo swoich słów Pruwett wyglądał bardziej na zdenerwowanego niż zaszczyconego.

- Żywię do pana wielki szacunek - dodał i tym razem zabrzmiało to szczerze.

- Pochlebia mi pan. Nie spodziewałem się, że ktoś weźmie sobie moje myśli do serca, nie wspominając o tysiącu zwolenników. Jestem wdzięczny, ale - to rzeczywiście niezręczna sytuacja - GKC to nie całkiem moja bajka.

Pruwett wyraźnie się rozluźnił.

- W takim razie tym bardziej cieszę się z pańskiej towarzyskiej wizyty. Obiecuję niczego więcej nie wylewać, jeśli zgodzi się pan wypić ze mną drinka.

Mark westchnął ciężko.

- Nie. Ciężko mi to mówić, bo wiem, że pan ma dobre intencje. Ale mówiąc, że to nie moja bajka, miałem na myśli, że pana praca mi się nie podoba.

Pruwett zbladł jak ściana. Mark czuł się tak, jakby kopnął szczeniaka, ale nie istniał przyjemny sposób na to, co miał do powiedzenia.

- GKC sugeruje, że kobiety są naszymi wrogami i powinniśmy ich unikać. Taka stygmatyzacja nie prowadzi do niczego dobrego.

- Z całym szacunkiem, sir, nie w tym jest tu rzecz. Chodzi o poczucie braterstwa, o coś, co połączy mężczyzn dobrej woli.

- Ale ucieka się pan do niegodnych środków.
- Mark zmarszczył brwi. - Nie rozumiem, dlaczego nie możecie po prostu być cnotliwi bez tego całego klubu.

- Mężczyźni muszą mieć się czym zająć, inaczej znowu się zwrócą ku burdelom dla rozrywki.

- A to taka dobra rozrywka rozpowiadać, jak

długo się pozostaje w czystości?

- To nie jest rozrywka, ale kwestia standardów odpowiedzialności. - Pruwett poprawił okulary. - Bez tego szerzyłaby się tylko hipokryzja. Spotkania, tajne znaki, wszystko to jest potrzebne, żeby się nawzajem wspierali i pragnęli czystości zamiast upadku.

- He? - rzucił tylko Mark. Coś zaniepokoiło go w oczach Pruwetta.

- Proszę się rozejrzeć! - Pruwett z każdą chwilą zyskiwał swadę. - Ci, którzy zebrali się tutaj, wszyscy mają swoje sprawy. Ale proszę pomyśleć o trzecich synach, chłopcach, którym nie brakuje niczego prócz celu w życiu. Donikąd nie zmierzają. Legitymują się nazwiskiem i korzystają z marnych przyjemności. Chciałem, żeby mieli coś do roboty.

Zamilkł i dodał po chwili:

- Sam chciałem mieć coś do roboty.

- Chcesz mi powiedzieć, że założyłeś GKC z nudów?

Pruwett otworzył szeroko oczy i nagle Mark zrozumiał, co go dręczyło w jego spojrzeniu. Zwykle okulary powiększały wizualnie oczy, ale pomimo to jego oczy pozostały niezmienione.

Mark wyciągnął rękę i bez ostrzeżenia zdjął

mu okulary z nosa. Przypatrzył się szkłom.

- Sir...

- To zwykłe szkło. - Mark przyjrzał się teraz Pruwettowi. Bez okularów jego nos zdawał się większy. Mark wyobraził go sobie bez brody. - Davies? Peter Davies?

Pruwett, a może Davies, skulił się na krześle, jakby stracił resztki animuszu. Okazało się, że Mark poznał go w Oksfordzie. Davies był rozpustnikiem i zatracańcem, wielokrotnie kpił sobie z Marka.

- Czy to wszystko jest jednym wielkim żartem? - zapytał go.

Pruwett-Davies wyrwał mu okulary i założył z powrotem na nos.

- Żartem? - wydawał się urażony. - Ostatnie lata życia spędziłem, od fundamentów budując GKC, i to bez jakiegokolwiek pomocy z twojej strony!

- Pamiętam, jak się zachowywałeś.

- Ja też pamiętam, dziękuję. Wolałbym, żebyś mi nie przypominał. Byłem nieodpowiedzialnym durniem.

Westchnął i zgarbił się, ukrył twarz w dłoniach. Przez chwilę nawet było go Markowi szkoda.

- Naprawdę! - mamrotał Pruwett-Davies. - Serio, ocaliłeś mnie. Kupiłem tę twoją książkę,

żeby się ponabijać, ale jak przeczytałem pierwszy rozdział, to mi nie było wcale do śmiechu. Poczułem wstyd. Myślałem, że jestem mężczyzną, a byłem bezwartościowym śmieciem. Tylko się rozbijałem i przepuszczałem kieszonkowe. Przez wiele miesięcy próbowałem znaleźć dla siebie chwalebne zajęcie, tak jak pisałeś. Ale nikt nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. Chyba przeszarżowałem z dowcipami.

Pruwett odkrył twarz i wyprostował się nieco.

- No to przybrałem panięskie nazwisko matki i wybrałem biblijne imię. Wszystko odbyło się zgodnie z wymogami prawa, to nie żaden pseudonim. Peter Davies był zakałą, a jego życie - kpina. Ale Jedidiah Pruwett ma cel. Ty mi dałeś ten cel, ale nawet tobie nie pozwolę, żebyś mi go odebrał. Nawet jeśli to jeden wielki żart, to nie pozwolę się z niego śmiać.

- Wcale tak nie myślę - odparł Mark. - Ale nie chciałem, żeby twoja... żarliwość... komuś zaszkodziła.

Pruwett poprawił ostrożnie okulary.

- Przyznaję, że może GKC brakuje... umiaru. Ale czym innym miałbym się zajmować?

Mark usiadł obok i położył mu rękę na

ramieniu. Nie przyszedł tutaj, żeby się z nim zaprzyjaźnić. Jego Gwardia Kawalerów Czystości niemożliwie uprzykrzała mu życie. Przy tym Petera Daviesa też nie darzył szczególną sympatią. Mimo to zrobiło mu się go Żal.

- Wiesz, naprawdę nieźle sobie poradziłeś. Ilu członków liczy GKC?

- Kilka tysięcy.

- I to ty stworzyłeś strukturę organizacji i napisałeś statut? Organizowałeś zebrania, zaprojektowałeś karty członkowskie i broszury? Wzięłeś na siebie dużą odpowiedzialność.

Pruwett pokiwał głową, nie całkiem jeszcze obłaskawiony.

- Wymyśliłem też system sesji grupowych i raportów. To naprawdę pozwala im się trzymać w korbach. Chciałbym wierzyć, że trochę pomogłem. Chciałem po prostu dostać szansę, a skoro nikt mi jej nie dawał, to sam ją sobie stworzyłem.

W tym momencie przyszedł Markowi do głowy pomysł - wspaniały i przewrotny.

- Pruwett - zagał - czy czystość ciała jest twoją szczególną pasją, czy po prostu zależy ci na tym, żeby się dobrze wszystkim przysłużyć?

- Ja... sir, chciałem powiedzieć... - zaplątał

się Pruwett. – Sir, próbowałem się zająć czymś innym. Czymkolwiek. Naprawdę. Ale nikomu nie byłem potrzebny.

Mark uśmiechnął się szelmowsko.

– Och, drogi panie Pruwett – rzekł. – Nawet pan sobie nie wyobraża, jak wielką może mi pan wyświadczyć przysługę. Nie tylko mnie, jest pan potrzebny Anglii! Musi pan kogoś poznać. Zrozumie pan swoje prawdziwe powołanie.

Jessica wróciła pod wieczór do swojego mieszkania. Do tego czasu Margaret upewniła ją w przekonaniu, że to nie sen. Zaraz mieli dać zapowiedzi, a ślub – za parę dni. Aż się jej w głowie od tego wszystkiego kręciło.

Nie przypuszczała, że na całym bożym świecie jest tylu życzliwych ludzi. Miała wrażenie, że nawet okrutny los nie mógłby jej tego wszystkiego teraz odebrać. Usiadła w fotelu i pozwoliła sobie na chwilę uwierzyć nie tylko w uprzejmość, ale życzliwość, szczęście i... miłość.

Z zadumy wyrwało ją pukanie. Lecz kiedy otworzyła drzwi, nie stał w nich wyczekiwany Mark. Był to Nigel Parret. Pomyślała od razu, że przyszedł jej pogratulować – i oczywiście wydębic zaproszenie na ślub i wesele, żeby

uprzędzić konkurencję. Ale chociaż gazety – również ta należąca do Parreta – rozpisywały się o specjalnym zezwoleniu dla Marka, tożsamość wybranki pozostawała wciąż tajemnicą. Te radosne myśli prysły od razu, kiedy zwróciła uwagę na ponury wyraz twarzy gościa.

Parret wręczył jej kopertę.

– Dostałem to dzisiaj. Nadawca uznał, że skoro wydałem twój artykuł, to wiem, gdzie cię znaleźć.

Koperta była rozcięta. Jessica popatrzyła na niego podejrzliwie, ale Parret tylko wzruszył ramionami.

– Dziwisz mi się?

Koperta była zaadresowana do niej. Choć nie, pomyślała. Widniało tam nazwisko Jess Farleigh, jak ponure wspomnienie.

Przejrzała szybko treść:

Jess,

pewnie jesteś z siebie dumna, że mnie okpiłaś. Jeśli to jego zezwolenie znaczy to, co myślę, że znaczy, to w końcu jednak udało ci się uwieść Turnera. I zdaje ci się, że za niego wyjdiesz i się wkupisz do socjety.

Ale ja cię znam i wiem, co zrobiłaś. Jeśli weźmiesz z nim ślub, zrobię wam z życia

piekło. Księżna Parford zbliża się do rozwiązania. Ciekawe, co powie, kiedy jej dziecko będzie przez ciebie pośmiewiskiem rówieśników?

I tak za niego nie wyjdiesz. Ale jak go sprzedasz i napiszesz, że się na mnie rzucił z powodu dziwki - to obiecuję, że przynajmniej nie pozwę cię o tę kradzież w barze. Spotkamy się jutro o piątej rano na Harford Square. I przyda mi się jego pierścień.

Pod koniec pierwszej strony ręce się jej już trzęsły, a kiedy skończyła, była już z powrotem w swoim dawnym świecie samotności i przerażenia.

- Paskudne - dodał Parret - ale możesz mieć pewność, że ja tego nie wydrukuję.

- To bardzo uprzejme - szepnęła.

Parret prychnął.

- Książę by mnie zaraz pozwał o zniesławienie. Nie da się na tym zarobić.

Uśmiechnęła się blado.

- Bardzo dobrze udajesz chciwca, Parret. Ale czy mógłbyś zostawić mnie samą?

Położył jej rękę na ramieniu dla otuchy i wyszedł.

Jessica oparła się o drzwi. W jednej chwili

wszystko było znowu po staremu.

Przez siedem lat walczyła o przetrwanie. Żyła w ciągłym strachu i niekończących się zmartwieniach. Mięśnie miała bez przerwy napięte. Przez siedem lat nie знаła nic innego.

Przez jedną chwilę miała nadzieję i wiarę, że to już przeszłość. A teraz i to minęło. Mark uosabiał najlepsze, co się jej w życiu przytrafiło – a teraz nie tylko on jej nie mógł wyzwolić, ale ona miała go pociągnąć na dno.

Kiedy Mark wreszcie zjawił się we drzwiach, Jessica była już półżywa ze strachu. Uciekłaby, gdyby tylko wiedziała, jak umknąć swoim pragnieniom.

Jednym uśmiechem wlał w jej serce odrobinę otuchy. Wziął ją za ręce i od razu poczuła się bezpieczniej. Ale w głębi ducha pozostało jej przekonanie, że to wszystko złudzenie, które sama tworzy w desperackiej potrzebie oparcia.

– Mam dobre wieści – oznajmił jej radośnie. – Znalazłem nowego komisarza praw najuboższych. Ani Weston, ani ja nie nadawaliśmy się na to stanowisko. Ale jest ktoś, kto ma doświadczenie administracyjne i zacięcie do pracy dla dobra społecznego. Cieszy się nawet pewną estymą w całkiem szerokich kręgach. Wystarczyło, że

przedstawiłem kandydaturę i dokonałem prezentacji. Za trzy dni, jak się już pobierzemy, nic już nie będzie mnie trzymało w Londynie.

- Pobierzemy się? - odezwała się nieswoim głosem. - Za trzy dni?

- Ile razy mam ci to powtarzać? Nie masz się czym martwić. Nikt nie zrobi ci już krzywdy.

Nie, pomyślała. To ona miała skrzywdzić jego. I nie tylko jego. Miała być klinem, który pozwoli Westonowi rozdzielić ich rodzinę.

- A ja cię kocham. Chyba cię już przekonałem.

Jessica nie wątpiła już w jego miłość. Przerazało ją, jak strasznie przyjdzie jej cierpieć, kiedy go utraci.

- Marku - powiedziała nieobecny głosem - nie możesz uciekać od prawdy. Wiesz, kim jestem.

- Jesteś kobietą, która potrafi mnie pokonać w słownej szermierce. Jesteś gotowa się spierać do upadłego, i nie myśl, że cię za to nie uwielbiam. Kocham cię, Jessico. Wiem, że tobie też na mnie zależy. Czy coś więcej ma znaczenie?

- Jesteś utytułowanym bratem księcia. A ja dziwką.

Złapał ją za nadgarstek.

- Nie mów tak o sobie. Nikomu bym na to nie pozwolił, więc i ty nie możesz.

- Dobrze. Niech będę kobietą upadłą.

- I myślisz, że dbam o takie bzdury? Nawet moja matka mówiła, że za upadkiem kobiety zawsze stoi mężczyzna.

Wreszcie usłyszała coś, z czym mogła dyskutować. Tylko tak mogła zwyciężyć obehwładniającą rozpacz. Zrozumiała, że nie wygra z Westonem, ale może zniweczyć jego zamiary. Gdyby Mark od niej odszedł albo nawet ona sama go zostawiła, Westonowi pozostałyby tylko pomówienia o flirt, a to socjeta łatwo przełknęłyby jako zwykłą zawiść.

- Nie, Marku, mnie nikt nie popchnął. To ja wybrałam tę drogę.

- Uwiódł cię mężczyzna. A twój własny ojciec wolał cię uśmiercić...

- Mogłam przecież odmówić - tłumaczyła Jessica. - Do niczego mnie nie zmuszał.

- Miałaś czternaście lat!

- Nie byłam już dzieckiem. Sam mi mówiłeś, że jako dziesięciolatek odróżniałeś dobro od zła. I ja wiedziałam, co robię.

Pragnęła, żeby te argumenty przemówiły do niego. Gdyby odszedł, mogłaby zniknąć z jego życia, i Weston nie zrujnowałby jego reputacji.

Ocaliłaby go wraz z całą rodziną.

- Przecież...

- Nie wybielałam go, ale to był też mój wybór. Chciałam z nim jechać do Londynu. To mogło być głupie i niewłaściwe, ale nie chcę, żebyś mi odbierał decyzję. Życie mi się nie przydarzyło. Ja je przeżyłam.

Mark był coraz bardziej dezorientowany.

- Jessico, przecież nie uważam, że jesteś niezdolna do decyzji.

- A co ja mam myśleć, jeśli według ciebie jestem czysta jak gołębica? Nie jestem dzieckiem ani kotkiem, którego ratujesz z paszczy wilka. Jestem dorosłą kobietą, więc nie rozwiązuj moich problemów, jeśli cię o to nie proszę.

Nawet nie musiała udawać wściekłości. Była naprawdę zła, że szczęście znowu ją omija.

Mark pokręcił głową. Zaczynało mu się udzielać rozdrażnienie.

- Jessico, chcę ci pomóc.

Wiedziała, że gdyby mu pokazała list, na pewno zaczęłyby działać. Ale nie wątpiła też, że Weston znalazłby sposób, żeby rozpowszechnić swoje oskarżenia.

- Nie zmienię tego, kim jestem - odparła. - Na parę dni uwierzyłam, że mogę być tą, za którą mnie masz. Poznałam, jak to jest nie być

w czyichś oczach dziwką. Ale to złudzenie. Kiedy pryśnie, będę znowu nikim. Ale wtedy sam będziesz chciał się mnie pozbyć.

- Przestań. - Chwyił ją za ramiona. - Skończ z tym. Gdybym mógł się ciebie pozbyć, już bym to dawno zrobił. Długo czekałem na kobietę, z którą chciałbym spędzić życie. Znalazłem ją. To ty. Posłuchaj mnie i przestań panikować. Kocham cię.

- Chcesz kochać kobietę skrzywdzoną. Nie mnie. To ja błądziłam. To ja podejmowałam decyzje. Wybrałam swoje życie i nauczyłam się sztuki przetrwania. Przyznajesz się do swoich grzechów, ale odbierasz mi moje.

- Jessico. - Zrobił krok w jej stronę.

- Umiałam naciągnąć mężczyzn, żeby płacili mi wielkie sumy za to, co mogli kupić na każdym rogu za kilka szylingów. Jeśli tego we mnie nie widzisz, to jesteś powierzchowny. Zakochałeś się w złudzeniu.

- Niełatwo ci było samej. Nie winię cię.

- A dlaczego nie? - szepnęła. - Ja sobie nie umiem wybaczyć.

Pierwszego wieczoru, kiedy spróbowała go podejść, uśmiechnął się do niej. I to właśnie, bardziej niż Weston, jej przeszłość i lęk przed jutrem, było dla niej barierą nie do przekroczenia.

- Lubię cię - dodał. - Bardzo cię cenię. Chciałbym, żebyś mi pozwoliła się chronić.

- Nie potrzebuję opiekuna! - wybuchła w końcu. - Nie obchodzi mnie, czy nazywa się mężem, kochankiem czy naiwniakiem. Wiem, jak to jest, kiedy traci się władzę nad swoim życiem.

- Nie będę cię przepraszał, że zależy mi na tobie. Dlaczego tak się na mnie uwzięłaś?

- Bo w tej chwili przypominasz mi George'a Westona - krzyknęła.

Nie mogłaby powiedzieć nic gorszego. Mark pochylił się i zacisnął zęby ze złości. Jessica starała się uwierzyć, że tego właśnie powinna oczekiwać po kolejnych latach - wybuchów gniewu, a nie uczucia. Nie dawała sobie szansy na miłość.

Lepiej to zniszczyć od razu, myślała. Lepsze dla niego, bo jej jedno więcej kłamstwo nie mogłoby chyba zaszkodzić. Więc chociaż wiedziała, że jest dla niego niesprawiedliwa, skierowała palec w jego pierś i wypaliła:

- Jesteś całkiem taki sam jak on. Ciskasz mi w twarz pieniądze, a nawet mnie nie zapytasz o zdanie. Nie prosiłam cię o pomoc. Przyprawiasz mnie o mdłości.

- Na pewno tak nie myślisz - odparł cicho.

- Nie? Przy tobie czuję się nic niewarta. Nie

pozwalasz mi zadbać o własne życie. Ty już wybrałaś dla mnie rolę. Pewnie jeszcze ci się zdaje, że tylko ty możesz mi dać szczęście?

- Jessico - szepnął. - Proszę...

Jeszcze jeden cios, myślała, i skończy się cały strach.

- Ty i Weston jesteście ulepieni z tej samej gliny. Dziwię się, że tyle mi zajęło, żeby to zobaczyć. Nie wyjdę za ciebie. Nie mogłabym cię znieść.

Mark zbladł jak płótno.

- Chyba powiedziałaś już wszystko - odparł cicho.

- Nie. Wynoś się z mojego domu.

Wyszedł. Nie zostawiła mu wyboru. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, jednym ruchem zrzuciła wszystko z biurka. Papiery zafurkotały i pióra rozsypały się po pokoju. Nic to jednak nie pomogło. Na nic też się zdało, że zwinęła się na nich w kłębek z zaciśniętymi pięściami. Każdy oddech wyrywał jej z gardła nieukozone łkanie.

Dokonała tego. Uwolniła się od wszelkiego strachu o przyszłość. Teraz już nic nie mogło jej zniszczyć.

Okazało się, że jest zdolna przetrwać wszystko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Jessica nie wiedziała, jak długo wpatrywała się w otaczający ją chaos. Inkaust całkiem wsiąkł w dywanik. Dopiero kiedy dzwony obwieściły nadejście północy, otrząsnęła się z apatii i podniosła głowę. Nie pozostało jej już nic, jak tylko uprzątnąć bałagan.

Drżącymi rękami zaczęła zbierać szkło śliskie od atramentu. Jeden odłamek wymusknął się jej z palców, a ona odruchowo próbowała go złapać i rozcięła sobie dłoń. Syknęła i przycisnęła rękę do piersi.

Jeszcze kilka miesięcy temu zdawało się jej, że nigdy już niczego nie poczuje. Ból był nieprzyjemny, ale i tak lepszy od pustki, która wtedy ją otaczała.

Utraciła Marka, ale przynajmniej odnalazła siebie.

Z tą myślą popatrzyła jeszcze raz na list od Westona. Zmięła go w kulkę i rzuciła ze złością w kąt pokoju, ale zaraz podniosła go i rozprostowała.

Przekląła się w duchu za kłamstwa, które sama sobie opowiadała. Nie odnalazła nic prócz pewności wielu samotnych lat.

Odwróciła się od wszystkiego, co było jej drogie, i pozwoliła, by George Weston znowu odebrał jej wolność.

Nie, nie tym razem, buntowała się w duchu.

Opanowała ją niepohamowana furia, tak silna, że wystarczyło jej, żeby wypełnić całą pustkę.

Złożyła list w równe ćwiartki. Zdziwiła się, że ręce już jej nie drżą.

- Nigdy już nie będę bezradna - przyrzekła sobie nad kartką papieru, schowała ją do kieszeni i sięgnęła po pelerynę.

- Sir Marku.

Mark odpoczywał w swoich pokojach w londyńskiej rezydencji starszego brata. Popijał w fotelu brandy - nie jabłkową, bo jej smaku nie mógłby znieść - ale niewiele jeszcze zdążył wypić. Na słowa kamerdynera podniósł wzrok.

- Ma pan gościa - wyjaśnił kamerdyner. - Wprowadziłem ją do tego samego salonu, co poprzednio.

To musiała być Jessica. Mark chciałby się ucieszyć z jej wizyty, ale zabrakło mu przekonania. Kiedy dotarł do domu, uświadomił sobie, że gniew i strach Jessiki prowadzą do tego samego. Był przekonany, że

kiedy ochłonie, będzie go chciała przeprosić.

Nie wiedział jednak, jak sprawić, żeby jej wybuch się nie powtórzył.

Podniósł się ociężale i poszedł się z nią spotkać.

Nie usiadła, lecz przemierzała niespokojnie salon, krążąc wokół sofy. Jej widok aż zaparł mu dech, tak była piękna. Dla samego uroku przebaczyłby jej tamten napad furii, gdyby nie był pewien, że to będzie się powtarzało raz za razem, zaklęty krąg strachu i oskarżeń. Nie chciał tego, a ona tym bardziej zasługiwała na lepsze życie.

Znieruchomiała na jego widok.

- Mark - szepnęła.

Pragnienie, żeby wziąć ją w ramiona, walczyło w nim z pokusą, żeby odwrócić się i odejść bez słowa. Jessica musiała widzieć, że się ze sobą zмага, bo skinęła głową i sięgnęła do kieszeni.

- Otrzymałam to dziś po południu.

Podszedł do niej na tyle, żeby wziąć list.

Przeczytał i pojął, że Jessica nie bała się o siebie, tylko o niego. Domyślał się, że to się może już nie zmienić. Powoli rozpalał się w nim ogień gniewu.

- Mógłbym go zabić - powiedział, zdawało mu się, głosem spokojnym i całkiem

zwyczajnym. Ale kiedy spojrział na Jessicę, poblądła strasznie. Najwyraźniej gniew i strach były w jej duszy nierozzerwalnie powiązane. Przypomniął sobie, że mówiła mu już o swojej bezsilności.

Podszedł bliżej.

- Mógłbym go zabić - powtórzył łagodniej - ale to chyba by ci nie pomogło. Przyrzekłem ci, że jestem gotów walczyć za ciebie. Ale teraz to się nie wydaje najlepsze wyjście.

Skinęła głową.

- Dotąd zawsze sama się ratowałaś z opresji - dodał. - A ja tylko się przyłączyłem do twojej drużyny.

Oddał jej list.

- Nie dam mu zniszczyć twojej reputacji - odparła, unosząc dumnie głowę.

- Wiem. Ale chciałaś mu pozwolić zniszczyć siebie.

Wypuściła głośno powietrze.

- Tak - przyznała łagodnie. - Ale przyszło mi coś do głowy.

Popatrzyła mu w oczy.

- Stać mnie na więcej.

Właśnie to tak bardzo pragnął od niej usłyszeć.

George Weston wśród porannej mgły

wyszedł na Harford Square. Szumnie nazwany plac był raczej niewielkim parkiem z kępą drzew w jednym rogu. Weston z napuszczonym wyrazem twarzy od razu podszedł do Jessiki. Wciąż jeszcze nosił ślady niedawnego starcia z Markiem.

- Wiedziałem, że będziesz rozsądna - powiedział na powitanie. - Dawaj swoje świadectwo i jego pierścień.

- Obawiam się, że muszę ci odmówić - odparła.

Zza Jessiki dobiegł odgłos kroków.

- To przez ciebie wyrwano mnie z wyrka o tej przeklętej porze? - dał się słyszeć głos. - Nie jesteś zbyt uprzejmy. Wcale.

Weston popatrzył przez jej ramię.

- Godwin? - zdziwił się. - Co ty tu do cholery robisz?

- Nie domyślasz się? - odezwał się Mark. - Jest twoim sekundantem.

Mark wyjaśnił Jessice, że tylko Godwin będzie się nadawał do tej roli. Wybrał go, bo miał duże poczucie humoru, a co najważniejsze, potrafił trzymać język za zębami. Kiedy dowiedział się, że jest potrzebny, przybył natychmiast, bez zbędnych pytań i nie zważając na osobliwą porę.

- Turner? - Weston zatrząsł się ze złości. -

Turner? Chcesz się ze mną strzelać? Kto się tam jeszcze wlecze za tobą?

- Poznaj doktora Aagsleya - przedstawił go Mark. - Jest zwyczaj, żeby lekarz był obecny przy takich okazjach.

Jessica zaczęła powoli ściągać rękawiczkę.

- Nie wystarczy ci, że mnie obijeś? - Twarz Westona przybierała coraz czerwieńszy odcień. - Chcesz mnie jeszcze wyzwać na pojedynek? I to dla dobrego imienia dziwki? Nawet ty nie jesteś chyba aż takim...

Jessica spoliczkowała go rękawiczką.

- Nie bądź durniem, Weston. Sama będę się z tobą pojedynkować.

Nigdy by się na to nie zdecydowała, gdyby widziała jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Dobrze jednak знаła Westona i jego umiejętności strzeleckie. Z trzydziestu kroków znacznie łatwiej trafiał w cokolwiek, czego nie brał na cel.

- Ty? - Odrzucił głowę i roześmiał się szyderczo. - Ty! A to doskonały żart. Miałbym stanąć przeciwko takiej jak ty? Prędeej piekło zamarznie.

Jeszcze raz trzasnęła go w twarz rękawiczką, a kiedy tarł policzek, wyciągnęła z kieszeni spodnicy nabity pistolet.

- Nie bardzo masz wybór - odparła. - Albo

się będziesz ze mną pojedyńkował, albo zastrzelę cię na miejscu jak psa. Ostrzegałam cię już, żebyś mi dał spokój.

Mówiła spokojnie, ale w środku cała dygotała.

- Nie mogę się strzelać - burknął Weston. - Nie mam swoich pistoletów.

- O, proszę, tu są - oznajmił radośnie Silas Godwin i spojrzął na Westona spode łba. - Czy coś nie tak?

- Oczywiście, że nie tak! - odwarknął Weston. - Nie będę się strzelał z kobietą. To bardzo... niekulturalne. Całkiem nie w porządku, Jess.

- Nie mów do mnie Jess - syknęła i wymierzyła broń w jego brzuch.

- Ależ Jess!

Odsunęła się od niego.

- Uważasz, że jestem bezbronna? Że nie potrafię działać? Nie jestem twoją własnością. I tak za długo ci pozwalałam tak myśleć.

- Daj spokój, Jess. Jesteś zdenerwowana. Ale bądźmy rozsądni.

- Nie będę twoją ofiarą. - Głos zaczął jej drżeć ze złości. - Jestem bardzo rozsądna. Tylko tak mogę się cię pozbyć. Nie dam się wykorzystywać.

- Jess, oboje wiemy, że nie potrafisz strzelać.

Ten pomysł jest niedorzeczny.

- Tak ci się tylko zdaje. Powtarzasz sobie, że jesteś bezpieczny, bo kobieta nie potrafi cię skrzywdzić. Ale może wcale nie strzelałam tak źle? Niczego więcej mi nie odbierzesz.

Popatrzył na nią protekcjonalnie.

- Skoro nalegasz na te idiotyzmy... Ale kiedy wyjdę bez szwanku, porozmawiamy inaczej. - Popatrzył niespokojnie na Marka. - O ile w ogóle dane nam będzie rozmawiać, bo co poniektórzy dali się już poznać, że brakuje im taktu i ogłady.

- Nie boksuje według twoich zasad - odrzekł Mark cicho. - Lepiej się zastanów nad sobą.

- A co ja takiego zrobiłem?

- Weston - wtrąciła się Jessica. - Przez ciebie byłam trzy cale od śmierci. Dlaczego myślisz, że ci to puszczę płazem?

Ziewnął przeciągle.

- Miejmy to już z głowy.

Serce biło Jessice jak szalone, kiedy stanęła naprzeciwko Westona. Sekundanci, Mark i Godwin, odliczali kroki, co zdawało się trwać w nieskończoność. Wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć, że sama się będzie rozprawiać z Westonem.

Odwrócili się do siebie. Weston był niewyraźną postacią, niknącą prawie we mgle.

Godwin wypuścił chustkę z ręki.

Nie musiała strzelać pierwsza. Stała nieruchomo, trzymając nerwy na wodzy. Nie mógł jej trafić, nie w tej mgle i na taki dystans. Całkowicie przekraczało to jego możliwości.

Skrawek zwiewnego białego materiału opadł na ziemię. W tej samej chwili Weston wymierzył broń w Marka. Zrobił to na tyle szybko, że Mark nie zdążył zareagować.

Na widok ukochanego mężczyzny w śmiertelnym niebezpieczeństwie, Jessica bez wahania nacisnęła spust.

Oba wystrzały huknęły równocześnie. Ktoś krzyknął. Dym czarnego prochu spowił ją gęstą chmurą. Jessica nie czekała, aż mgła opadnie. Popędziła na złamanie karku, czując na sobie lodowate palce strachu.

Obaj byli na ziemi, ale to Weston leżał, a Mark przykucnął obok i uciskał ramię zakrwawioną chustką. Godwin chodził w tę i we w tę, robiąc za tło scenki.

- Od początku miałem na pieńku tylko z sir Markiem - wyjaśnił Weston. - To była jedyna rozsądna decyzja.

- To ze wszech miar nietypowe - mamrotał pod nosem Godwin. - Nietypowe ze wszech miar.

- Dokładnie - zgodził się z nim Weston

i skrzywił się, kiedy Mark docisnął opatrunek.

- Tutaj od początku nie obowiązywały honorowe zasady.

- Czy należy to zgłosić? - dopytywał się Godwin.

- Miałbym przyznać, że postrzeliła mnie kobieta? Nigdy w życiu! - Weston popatrzył na Jessicę. - Spudłowałam.

- Ty spudłowałeś - odparł Mark. - A stałeś o sześć kroków.

Podszedł lekarz. Przykląkł obok Westona i zbadał ramię.

- Kości są nietknięte - oznajmił. - Kula przeszła wprost przez ramię. Ale wystarczyłyby trzy cale w bok...

Wyciągnął butelkę z torby.

- Proszę, przyda się panu.

- Nie spudłowałam - rzuciła z nonszalancją Westonowi, kiedy podnosił buteleczkę do ust. - Ja byłam trzy cale od śmierci, więc postanowiłam i tobie dać te trzy cale.

Popatrzył na nią i zbladł.

- Następnym razem nie będę taka wyrozumiała. Obrzucałeś mnie błotem, ale tak naprawdę nic na mnie nie masz. Możesz mnie co najwyżej zawstydzić. Ja za to... mogę ci odebrać życie. To - wskazała ranę - ma ci uprzytomnić, że jeśli będziesz dalej nękał mnie

lub moich bliskich, ręka mi nie zadrży. Ale przecież nie będzie następnego razu, prawda, Weston?

Weston pokręcił głową. Tym razem po raz pierwszy Jessica była pewna, że może mu wierzyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Mark nie przypuszczał, że Alton Carlisle, pastor w podlondyńskim miasteczku Watford, może nie znać jego nazwiska. Kartę wizytową podał służącej, która otworzyła drzwi plebanii.

Ta najwyraźniej trafiła bezzwłocznie w ręce pani Carlisle, bo zaledwie kilka sekund później to właśnie ona stanęła w drzwiach. Zaprosiła go do środka, gestykulując nad wyraz energicznie.

- Pan Carlisle jest w ogrodzie - rzekła jakby bez tchu. - Natychmiast po niego pójde.

Wprowadziła go do niewielkiego saloniku, wypełnionego światłem pogodnego poranka. Koronki na meblach były odrobinę pożółkłe, ale panował tu ciepły, domowy nastrój.

- Bardzo proszę, niech pan usiądzie.

Pani Carlisle nie zostawiła go samego, tylko wychyliła się do przedsionka i zawołała:

- Ellen! Zejdz. Mamy bardzo ważnego gościa, musisz mu dotrzymać towarzystwa.

Mark co prawda usłyszał niewyraźną odpowiedź, ale nie wychwycił słów. Pani Carlisle stała do niego plecami, więc nie widział jej reakcji, ale młoda dama, która

weszła do salonu, zadzierała buntowniczo nosa. Zerknęła raz na Marka i odwróciła wzrok. Mark łatwo odgadł, jaką informację przekazała jej matka ruchami brwi: „Patrz, jaka wspaniała partia! Bądź dla niego miła!”.

Mark już przywykł, że podtyka się mu czternastoletnie dziewczynki. Lecz Ellen Carlisle najwyraźniej nie lubiła być nikomu podtykana. Włosy miała jeszcze zaplecione w dziecięce warkoczyki. Założyła ręce na piersi, jakby rzucała mu wyzwanie.

Tak, pomyślał. To bez wątpienia siostra Jessiki.

- Zawsze się pan zjawia niezapowiedziany? - zapytała surowo, kiedy matka nie mogła jej już usłyszeć.

Mark wzruszył ramionami.

- Myśl o mnie jako o Janie Chrzycielu. Sam w sobie nie mam aż takiego znaczenia. Przybyłem, żeby przygotować drogę komuś dużo ważniejszemu.

Teraz wyraźnie ją zaciekawił.

- Mam uważać pana za Jana Chrzyciela? Ma pan niemałe mniemanie o sobie. A ja akurat nie zabrałam srebrnej tacy.

Mark już ją lubił. Wyjął zegarek i postawił na stole.

- Urocze. Ale nie martw się, za dokładnie...

sześć minut i dwadzieścia dwie sekundy oszalejesz na moim punkcie.

Przewróciła oczami.

- Tylko niech pan o tym nie wspomina tacie, bo zrobi sobie nadzieję. I wykorzysta to jako pretekst, żeby uprzykrzyć mi życie. Jak zwykle.

- Nie przejmuj się - odparł. - Nie bardziej chcę się z tobą ożenić niż ty wyjść za mnie.

Naburmuszyła się i rzuciła mu niezadowolone spojrzenie. Mark prawie się na to roześmiał. Oczywiście, nie miała ochoty za niego wychodzić, ale odebrał jej całą zabawę odrzucania zalotów.

- Nie masz się co dąsać - rzekł na to. - Jesteś naprawdę śliczną młodą damą, ale chyba jednak trochę dla mnie za młodą. Poza tym oddałem już serce twojej siostrze.

Panienka Ellen otworzyła szeroko oczy.

- Charlotte? Ona ma już męża.

- Nie Charlotte. Jessice.

Cała wystudiowana obojętność zniknęła momentalnie.

- Jessica! - Każda sylaba brzmiała niedowierzaniem. Ręce opadły jej do boków i nagle pobiegła do niego przez pokój, uklękła przy nim i wzięła go za rękę.

- Zna pan Jessicę? Mnie nawet nie wolno

o niej mówić, nigdy. Ale wszystko u niej dobrze? Jak pan ją poznał? Czy mogę się z nią zobaczyć? Zrobię wszystko...

- Ellen! - Ostry głos przeciął powietrze jak bicz. - Co to zachowanie ma znaczyć? Sir Marku, bardzo pana przepraszam za moją córkę.

Mark zdał sobie sprawę, jak to musiało dla niego wyglądać. Ellen klęczała przy nim z lśnącymi od łez oczami i trzymała go za rękę. Siostra Jessiki popatrzyła na ojca i przygryzła wargę.

To przecież pan Carlisle ogłosił śmierć swojej córki. Do niego były adresowane listy, które posyłała i na które nigdy nie otrzymała odpowiedzi. Wyrzekł się jej i przez lata wszystkich okłamywał na ten temat.

Ale w oczach Marka nie wyglądał na potwora. Był szpakowatym, szczupłym mężczyzną o twarzy raczej zawstydzonej niż surowej. Uniesiony podbródek Jessica odziedziczyła po nim.

Mark podszedł do niego i wyciągnął rękę.

- Sir Mark Turner - przedstawił się.

- Alton Carlisle - odrzekł pastor. - Do usług. Znam pana książkę i z prawdziwą radością korzystałem z niej przy niejednym kazaniu. Tym większy zaszczyt dla mnie witać pana

w moim skromnym domostwie. Czy zostanie pan na obiedzie? Obiecuję, że takie ekscesy się już nie powtórzą.

- Musi pan wybaczyć panie Ellen - odrzekł Mark, zniżając głos. - Jest bardzo poruszona. Widzi pan, właśnie się dowiedziała, że mam zamiar ożenić się z pana córką.

- Z moją córką? - Pan Carlisle najwyraźniej nie zrozumiał. Mark zobaczył w wyrazie jego twarzy moment, kiedy myśli nabrały rozpędu. Musiał uświadomić sobie korzyści, jakie przyjdą mu z takich koligacji. Zięć, na którego sama królowa patrzy życzliwym okiem, na dokładkę z książęcej rodziny - to przemawiało do wyobraźni. W pewnej chwili nie udało mu się skryć uśmiechu, gdy uświadomił sobie, że jego własna córka usidliła najbardziej pożądanego kawalera w pięciu hrabstwach.

Już po kilku sekundach pastor energicznie przytakiwał.

- Moje pozwolenie - wyrzucił z siebie w końcu. - Ależ oczywiście. Ma je pan.

- Już wyznaczyłem dla niej fundusz powierniczy na pięć tysięcy funtów - odrzekł w tonie pogawędki Mark. - Na wyłączny użytek jej oraz dzieci, jeśli się takowych dochowamy.

- Ależ oczywiście. - Pan Carlisle pokręcił

głową z niedowierzaniem. – Proszę wybaczyć moją tępotę, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że śnię. Nie byłem nawet świadomy, że pan jest zaznajomiony z moją córką. Na pewno nie byliście sobie przedstawieni.

Przeczesał rzednące włosy.

– Jeśli jeszcze powie mi pan, że zdobył pan specjalne zezwolenie, a wielka ceremonia ma się odbyć w samej katedrze Świętego Pawła w Londynie, to już na pewno nie będę w stanie panu uwierzyć.

– Tutaj sen się kończy – odrzekł Mark. – Postanowiłem jednak nie pojmować jej za specjalnym zezwoleniem. Chcę, żeby to pan ogłosił zapowiedzi przed wiernymi w pana parafii. Chcę, żeby powiedział pan wszystkim, że pana córka wychodzi za mnie, i wymienił ją z imienia.

Ellen, która nadal klęczała obok fotela, rozplakała się cicho.

– Oczywiście, oczywiście. Będzie, jak pan sobie życzy. Wszystko wedle życzenia.

– Jeszcze jedno – dodał Mark.

– Cokolwiek pan rozkaże.

– Od tej chwili, kiedy napisze do pana list, życzę sobie, żeby pan zawsze odpisywał. A kiedy stanie w progu pana domu, co nastąpi dokładnie... – rzucił okiem na zegarek leżący

na stole - za dwie minuty, ma pan ją zaprosić do środka.

Pan Carlisle popatrzył na Marka wstrząśnięty. Potem spojrział na Ellen, która podkuliła pod siebie nogi na podłodze. Z powrotem popatrzył na Marka.

- Wnioskuje pan słusznie - przerwał milczenie Mark. - To nie jest sen, a ja nigdy wcześniej nie spotkałem panny Ellen. Cały czas mówię o pana najstarszej córce, Jessice.

Pan Carlisle przystawił sobie krzesło i usiadł ciężko.

- Nie mogę ogłosić zapowiedzi dla Jessiki. Wszyscy sądzą, że zmarła.

- W takim razie trzeba sprostować tę informację. A jak się pan do tego zabierze, to już szczerze mówiąc, nie jest mój problem.

- Musiałem zadbać o pozostałe córki. Spadłoby na nie całe odium, gdyby się wydało, że ich siostra się pohańbiła.

- Rozumiem - odrzekł Mark - że się pan bał. Musiał pan myśleć o swojej pozycji i reputacji. Ale skoro już mowa o przyszłości panny Ellen, to pomyśleliśmy, że księżna Parford mogłaby zająć się organizacją jej sezonu. Mam wrażenie, że pan nie rozumie, jaką panu składam propozycję. Ożenię się z pana córką. Mój brat przyjmie ją w rodzinie z otwartymi

ramionami. Jeśli zdaje się panu, że pospołu z nim nie jesteśmy w stanie przeciwdziałać każdemu możliwemu skandalowi, to jest pan w wielkim błędzie.

- Sir Marku, być może nie rozumie pan...

- To pan tu czegoś nie rozumie. Nie przyszedłem prosić, żeby pozwolił mi pan pojąć za żonę swoją córkę. Przyszedłem zaproponować, żeby moją żonę uczynił pan na powrót swoją córką.

- Tak. - Carlisle podniósł się i przemówił łamiącym się głosem. - Tak. Pan uważa, że tego nie pragnę? Myśli pan, że nie czytałem każdego jej listu i nie szukałem sposobu, by odmienić jej los? Myśli pan, że choć jednej nocy nie żałowałem tego, co się stało? Nie wiedziałem, co mogę innego uczynić. A kiedy zacząłem działać, było już za późno. Nieodwracalnie!

Marka świerzybiło, żeby przypomnieć mu, że miał siedem lat, żeby coś zrobić. Że wszystkie te lata przepuścił, choć wiedział, jak Jessica cierpiała. Ale teraz był czas przebaczenia.

- Jeszcze nie jest na to za późno - rzekł. - Jessica czeka za drzwiami. Proszę, podejdźcie ją przywitać. Bardzo się za wami wszystkimi stęskniła.

Trzy tygodnie później

Nic nie pomagało Jessice uspokoić rozdygotanych nerwów. Był ranek dnia jej ślubu.

Chodziła na próbę główną nawą. Układała włosy. Siostry rozpraszały ją, bawiąc się z jej suknią i przypinając kwiaty do rąbka spódnicy. I samym faktem, że były tuż obok. Cudownie było znów mieć siostry. Spędziła z nimi ostatnie tygodnie. Podczas pierwszej mszy ojciec przedstawił ją wiernym i ze wstydem przyznał, że powiedział nieprawdę o jej śmierci. Nie wspomniał o jakiegokolwiek winie Jessiki. A kiedy ogłosił zapowiedzi, wszystko inne przestało się liczyć. Przez resztę czasu Jessica wraz z siostrami mogły do woli przyjmować gości i rozmawiać ze sobą.

Był z nimi też Mark. Wybierał się z nią, Charlotte i Ellen na długie spacerunki, podczas których jak przystało, trzymali się za ręce. Jessica jadała w towarzystwie jego braci; Mark prowadził z jej ojcem filozoficzne dysputy i godzinami komentowali i spierali się nad tekstami.

Od wczorajszej kolacji nie miała za wielu okazji widzieć się z nim sam na sam. Ale i tak wyrwał ją z towarzystwa na kilka minut

i całował za murem ogrodu – czule i słodko, ale i z mocą trzytygodniowej tęsknoty. Całował ją tak długo, aż oboje byli pijani niecierpliwością, a Jessica z trudem utrzymywała się na miękkich od pragnienia kolanach. Kiedy w końcu oderwał się od niej, szepnął jej na ucho: Jutro. Nareszcie!

Nie sądziła, że ktokolwiek zauważył ich zniknięcie, ale kiedy wróciła do towarzystwa, młodsza siostra wyszła jej naprzeciw i wyjęła z jej włosów zaplątaną gałązkę.

– Ale masz szczęście – powiedziała Ellen, rzucając skryte spojrzenia na boki. – Wygląda na to, że sir Mark nie widzi w cnotliwym zachowaniu nic praktycznego.

Jessica czuła niemal fizyczny ból, kiedy musiała znowu opuścić siostry. Kręciły się przy niej, Ellen wygładzała jeszcze kokardy sukni. W końcu nadeszło długo wyczekiwane jutro. Motyle tańczyły w jej brzuchu. Charlotte poszła, żeby zająć obok męża miejsce w pierwszej ławie, a Ellen udała się na miejsce druhny. Sekundy ciągnęły się jak minuty. Przez ten krótki moment Jessica była znowu zupełnie sama.

Wtedy właśnie w zakrystii ukazała się głowa niskiego człowieczka.

– Panie Parret, a cóż pan tutaj robi?

- Zaprosiła mnie pani - odparł z szerokim uśmiechem. - Chciałem też coś pani pokazać.

Wręczył jej gazetę. Jessicę całkiem zatkało. *Sir Mark: wreszcie po ślubie!* - widniało w nagłówku.

- Kiedy zabrzmiał weselny dzwon - chełpił się reporter - wszystkie inne gazety będą już kopiowały szczegóły mojej relacji.

Tego ranka - czytała Jessica - sir Mark Turner pojął za żonę pannę Jessicę Carlisle, córkę wielbnego Altona Carlisle'a z Watford. Z radością donoszę miłym czytelnikom, że wybranką jest nie kto inny, jak dama, której reportaż ujrzał światło dzienne na naszych łamach. Pozwolę sobie przytoczyć informacje o tej niezwykłej osobie, jakie udało nam się skompletować w trakcie drobiazgowego dochodzenia.

W świetle artykułu skandal, w którego wyniku została wyklęta przez rodzinę, polegał na przyjęciu przez nią propozycji pracy dla londyńskiej gazety. I tyle. Okazała się jedynie ambitną młodą osobą. Była to niezwykle łaskawa wersja wydarzeń.

- Panie Parret. - Pokręciła głową. - To przecież stek kłamstw.

- Bzdura - uprzejmie nie zgodził się Parret. - Była pani reporterką, a jak dla mnie zupełnie

młodą. Dzieli nas całe dwadzieścia lat.

- Rozumiem, że nie mógł się pan oprzeć okazji do zarobku - zadrwiła z sympatią.

Parret uśmiechnął się blado.

- Ten egzemplarz przekazuję pani całkiem za darmo. Pani szwagier odwiedził mnie wczoraj i powiedział, co pani zrobiła. Pan Turner, nie książkę.

- A z czym konkretnie zwrócił się do pana Smite Turner? - zapytała niepewnie.

- Powiedział, że nalegała pani na założenie funduszu na rzecz mojej drogiej Belindy. - Parret odchrząknął. - Wystarczy na opłacenie wydatków sezonu i posag. Za coś takiego mogę nawet kłamać na rzecz konkurencyjnej reporterki.

- Tak panu powiedział? - Jessica skryła uśmiech. Wyobrażała sobie Smite'a w tej roli. Byłby chłodny i zdystansowany. Tylko że Jessica nigdy nie zwróciła się do Smite'a z taką prośbą. Musiał sam wyjść z tą inicjatywą.

- Powinien pan coś wiedzieć... - zaczęła, ale Parret szybko uciął jej słowa.

- Nie czas już na kłótnie. - Podniósł rękę i poprawił jej welon. - Nakład wydrukowany, a oto nadchodzi twój ojciec. Może lubi pani, jak sir Mark przestępuje na pani widok z nogi na nogę, ale jej królewskiej mości chyba nie

każe pani czekać.

- Jej wysokość!

- O tak. - Parret położył jej rękę na ramieniu i odwrócił ku drzwiom. - I nie miałem z tym nic wspólnego. To tylko pewien książę posłał jej wysokości redakcyjną kopię pewnej gazety. Po tym już nikt w całym Londynie nie będzie śmiał patrzeć na panią z góry.

Co prawda, Jessica i Mark nie planowali mieszkać w Londynie. Niemniej miło było wiedzieć, że ta możliwość wciąż jest aktualna.

Spuścił wzrok.

- Dała pani mojej córce posag - mruknął - więc odwdzieczyłem się.

Parret z zaczerwienionymi ze wzruszenia oczami pchnął ją delikatnie do wyjścia. Ruszyła nieprzytomnie i pozwoliła się zaprowadzić do głównej nawy. Organy grały pięknie, a przez witraże sączyło się kolorowe światło i rozbijało się na posadzce. Zaszleściły suknie, kiedy goście powstali, by ją powitać. Morze twarzy, dawnych i nowych, starych znajomych i całkiem nieznanym. Była tu jej matka i siostry. Byli jego bracia i dzieci, które zdążyły dorosnąć.

I jej królewska mość!

Jessicę ogarnęło nagłe przerażenie. Nie mogła zrobić kroku, bała się stanąć przed

tyloma ludźmi. Przemocą uspokoiła oddech i popatrzyła pod ołtarz.

Tam, na przedzie, w srebrzystobiałym fraku, czekał na nią Mark. Uśmiechnął się i w jednej chwili zyskała całą potrzebną odwagę. Książęta, królowe i cały jej strach zniknęli.

Przed nią była tylko przyszłość.

Jessica ruszyła jej na spotkanie z otwartym sercem.

Tytuł oryginału: Unclaimed
Pierwsze wydanie: Harlequin Books S.A, 2011
Redaktor serii: Dominik Osuch
Opracowanie redakcyjne: Dominik Osuch
Korekta: Lilianna Mieszczńska

© 2011 by Courtney Milan
© for the Polish edition by Harlequin Polska sp. z o.o.,
Warszawa 2015

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Books S.A.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy wydawnictwa Harlequin i znak serii Harlequin Powieść Historyczna są zastrzeżone.

Wyłącznym właścicielem nazwy i znaku firmowego wydawnictwa Harlequin jest Harlequin Enterprises Limited. Nazwa i znak firmowy nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Harlequin Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-1278-6

Powieść Historyczna 45

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o. | www.legimi.com